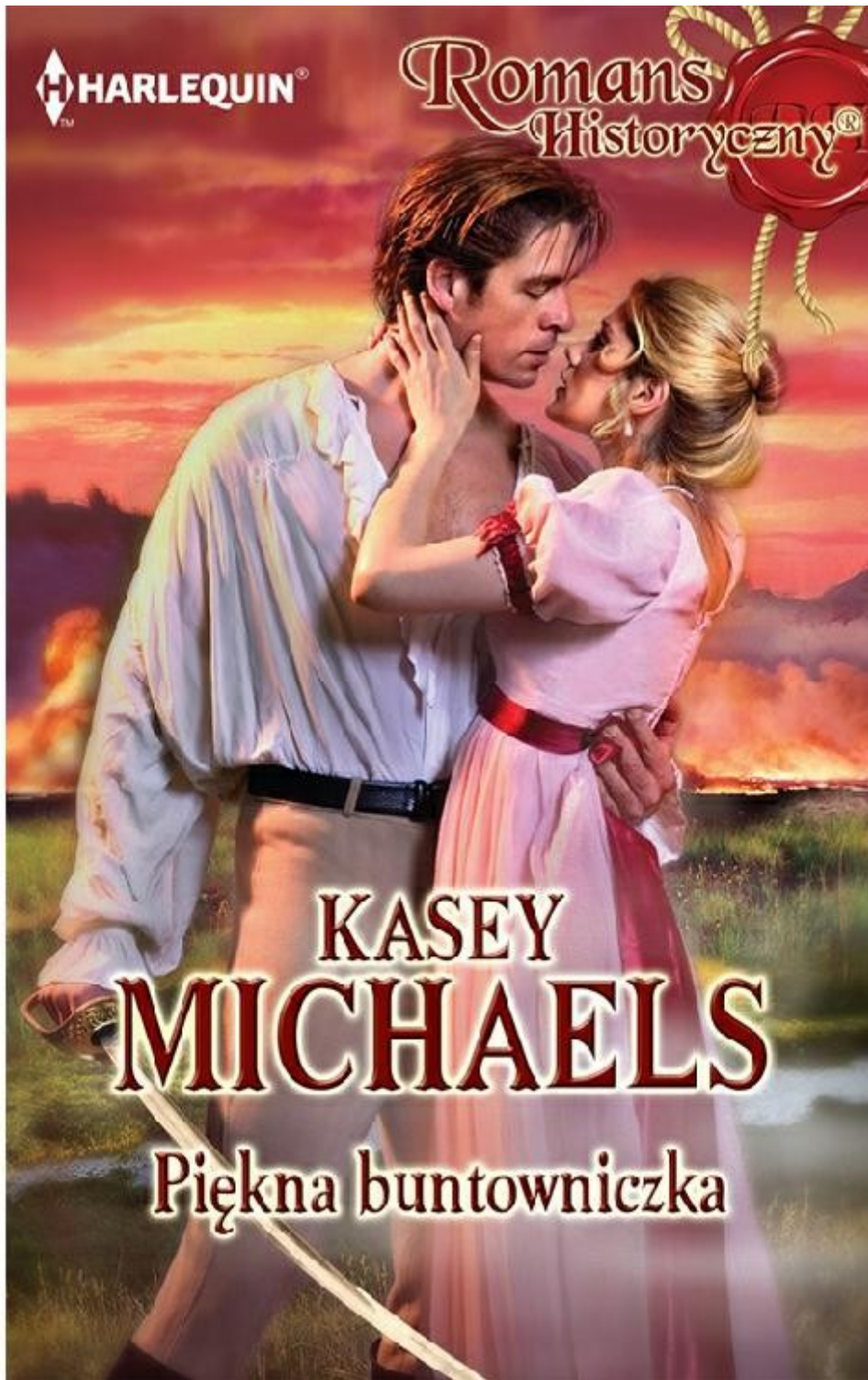


 HARLEQUIN®

Romans
Historyczny®

KASEY
MICHAELS

Piękna buntowniczka



Kasey Michaels

Piękna buntowniczka

Tłumaczenie
Ewa Bobocińska

PROLOG

Rok 1815, marzec

Francuzi znowu okryli się hańbą, a tak się go wypierali. Paryż czeka!

Napoleon Bonaparte, z bożej łaski cesarz Francuzów, powrócił na czele blisko tysięcznej armii złożonej z dawnych członków gwardii, którzy przez ponad rok dobrowolnie dzielili z nim wygnanie na Elbie.

Nadszedł wreszcie rozstrzygający dzień. Król wysłał przeciw niemu wojska z rozkazem wyeliminowania jego i wiernej mu „bandy rozbójników”. Obie, równie liczne armie stanęły naprzeciw siebie.

Bonaparte zsiadł z konia i zrobił dziesięć miarowych kroków w stronę królewskich oddziałów. Niski, drobny mężczyzna, samotny pomiędzy dwiema armiami. Nieuzbrojony. Bezbronny.

– Żołnierze piątego korpusu! – W nieruchomym powietrzu jego donośny głos bez trudu dotarł do oddziałów królewskich. – Czyżbyście mnie nie znali? Czy jest wśród was choć jeden, który pragnie zgładzić swojego cesarza? Jeśli tak, przepuście go, pozwólcie mu to zrobić. Oto jestem!

Po tych słowach gwałtownym ruchem, który wyrwał westchnienia z gardeł żołnierzy po obu stronach linii demarkacyjnej, szeroko rozłożył poły prostego, szarego surduta, odsłaniając pierś.

Po chwili pełnej napięcia ciszy z obu stron rozległ się okrzyk:

– *Vive l'Empereur! Vive l'Empereur!*

Z tysięcznej armii w jednej chwili zrobiła się dwutysięczna. Bonaparte wsiadł na konia i z wysokości siodła zmierzył ją wzrokiem, a potem stanął w strzemionach.

Z powagą, bez słowa, wskazał ręką Paryż.

Świat zadrżał...

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Becket Hall, Romney Marsh

Po obiedzie Ainsley Becket usiadł w salonie w ulubionym fotelu i przysłuchiwał się rozmowie swych dorosłych już dzieci. Dyskutowały, oczywiście, o wyczynach Bonapartego w ciągu tych kilku tygodni, jakie upłynęły od opuszczenia przez niego Elby.

Ten temat dominował również po śniadaniu i lunchu. Co zrobi Bonaparte? Gdzie najpierw uderzy? Czy alianci powierzą główne dowództwo Żelaznemu Księciu? I czy Wellington zdoła pokonać człowieka, z którym, co istotne, nigdy nie zmierzył się w boju?

Ainsley przyglądał się dzieciom w zamyśleniu. Bardzo się od siebie różniły, ale nic w tym dziwnego. Siedmioro z nich adoptował.

Morgan była już żoną i matką, mieszkała pod Londynem w wiejskiej posiadłości swego męża, Ethana Tannera, księcia Aylesford, który całymi dniami przesiadywał w Ministerstwie Wojny.

Najstarszy syn, Chance, jak wynikało z listu, również wrócił do pracy w ministerstwie.

Ainsley pociągnął z kieliszka łyk brandy z poczuciem głębokiego, egoistycznego zadowolenia, że obaj służyli Koronie, nie narażając się na bitewne ryzyko, po czym zerknął ukradkiem na Spencera, bujającego na kolanie swego malutkiego synka Williama, i na Mariah Becket, która uśmiechała się do nich obu.

Czy Spencer zapragnie zostawić swą niewielką rodzinę, by znów wyruszyć na wojnę? Ainsley postanowił porozmawiać z nim na osobności i spróbować go przekonać, że wystarczająco zasłużył się dla kraju w Ameryce i teraz powinien skoncentrować się przede wszystkim na żonie, synku i drugim dziecku, które rosło już w łonie Mariah.

Eleonora i jej mąż Jack siedzieli obok siebie przy kominku. Eleonora trzymała na kolanach stertę paryskich gazet. Nie doczekała się jeszcze własnego dziecka i starannie ukrywała przed światem swój ból. Ainsley jednak widział cierpienie najstarszej córki.

Callie, najmłodsze dziecko Ainsleya, jedyne, jakie urodziła mu jego zmarła żona Isabella, kłóciła się zażarcie z Cortlandem, który stwierdził właśnie, że powinien kupić patent oficerski w formowanej pośpiesznie armii Wellingtona. Te zbierane na chybcika ochotnicze oddziały musiały stawić czoło cesarzowi Francuzów, bo większość regularnej, zaprawionej w bojach armii została wysłana do walki z Amerykanami. W obecnej chwili oddziały Napoleona dwukrotnie przewyższały liczebnie Anglików.

Courtland, solidny jak zawsze, prawdziwa opoka rodziny Becketów, doszedł do wniosku, że w tej sytuacji wstąpienie do wojska to jego święty obowiązek.

Dla siedemnastoletniej Callie nie ulegało jednak wątpliwości, że Courtland należał wyłącznie do niej.

– Court, ty i Jack macie tutaj aż nadto obowiązków – stwierdził Ainsley spokojnie. Nie musiał wyjaśniać, że chodziło o zapewnienie ochrony miejscowym przemysłowcom. Courtland kiwnął głową, że zrozumiał, ale nie krył niechęci.

– Jestem pewien, że ty i Jacko doskonale dalibyście sobie radę bez nas. Zresztą, nie zabawilibyśmy długo. Dopadniemy Napoleona i wsadzimy go za kratki w ciągu paru miesięcy, może nawet tygodni.

– Powiedziałeś: dopadniemy, Court? – odezwała się Callie, jak zawsze zdecydowana i stanowcza, co odróżniało ją od większości dobrze wychowanych młodych panien. – Popraw mnie, jeśli się mylę, tato, ale wydaje mi się, że to marszałek Ney obiecywał zdeponowanemu obecnie królowi Ludwikowi, że przyprowadzi mu Bonapartego w kajdanach i postawi w żelaznej klatce u stóp tronu. – Uśmiechnęła się słodziutko do Courta. – Czy mówiłeś o tej samej klatce, Courtlandzie? Zauważ, że Ney znowu łąsi się do Bonapartego jak piesek, kuli się na poduszce u jego stóp i liże mu buty na przeprosiny.

Mariah Becket parsknęła śmiechem i zabrała małego Williama z kolan męża.

– Załatwiła cię, Court. Mężczyźni! Robią wiele hałasu i składają mnóstwo obietnic. Spencer? Do zobaczenia na górze. I uprzedzam, że podzielę cię książką w łeb, jeśli choćby przemknie ci przez myśl, żeby znowu odpowiedzieć na zew surm bojowych.

Wszyscy obecni zaczęli czekać, aż Mariah opuści salon z dzieckiem na rękach, a potem ryknęli śmiechem, bawiąc się kosztem biednego Spencera.

– Krótka cię trzyma, co, stary? – zapytał Jack Eastwood z rozbawieniem, za co został natychmiast skarcony przez miłość swego życia. Wystarczyło jedno wymowne spojrzenie wyrazistych oczu. Morgan czy Mariah dałyby swoim mężom kuksańca

pod żebra, ale drobnej, subtelnej damie Eleonorze wystarczyło spojrzenie, by jej Jack potulnie wymamrotał: – Wybacz, Spence.

– Nie ma sprawy. – Spencer podszedł do stolika z trunkami i nalał sobie kieliszek wina. – Sam wiem, że nie mogę jechać na wojnę. Podobnie jak wy dwaj. Ze względu na regularne rajdy Czarnego Ducha, a jeszcze bardziej na niepewność, gdzie następnym razem pokaże się nasz stary znajomy, Edmund Beales. Co będzie, jeśli zachowa się jak Talleyrand i zerwie porozumienie z państwami koalicji, podobnie jak opuścił Bonapartego po fiasku jego sierpniowej próby ucieczki z Elby? Bonaparte pewnie teraz za nim nie przepada.

Gdy padło nazwisko Edmunda Bealesa, w pokoju zapadła cisza. Ainsley, jak zwykle, wrócił pamięcią w przeszłość, do czasów, gdy uważał Edmunda za swego najlepszego przyjaciela i partnera. Zanim został przez niego zdradzony. Zanim Isabella zginęła z jego ręki. Zanim siedemnaście lat temu, po masakrze na wyspie, schronili się w Anglii, szukając bezpieczeństwa na odludnych trzęsawiskach Romney Marsh. Zanim dowiedzieli się, że Edmund pozostał przy życiu i tak głęboko wziął sobie do serca rady szalonego geniusza Machiavellego, że uwierzył, iż jego przeznaczeniem jest decydowanie o losach połowy świata. Zanim... zanim... zanim...

– To prawda. – Callie przerwała milczenie, żeby przegnać cień smutku z oczu taty. – Beales nie może zobaczyć żadnego z was, choć natknęliście się już na niego wszyscy przy tej czy innej okazji. Więc możesz się odprężyć, tato, żaden z twoich chłopców nie ucieknie na wojnę. Poza Rianem, oczywiście – dodała i jej śliczna twarz spochmurniała na wspomnienie pożegnania z bratem, który kilka tygodni temu odjechał z patentem oficerskim w kieszeni i z trudem skrywaną niecierpliwością.

– Nasz durny brat jest w gorącej wodzie kąpany i pewnie będzie chciał odgrywać bohatera – mruknął Spencer i potrząsnął głową. – Pozostaje tylko mieć nadzieję, że jego pułk będzie bez końca czekał w Belgii i nie postawi nawet stopy na francuskiej ziemi.

– Amen, Spencerze. Nadal nie mieści mi się w głowie, że Francuzi powitali Bonapartego z otwartymi ramionami, choć zaledwie rok temu go przeklinali – powiedziała Eleonora, kartkując leżącą na kolanach gazetę. – Posłuchajcie tytułów z „Moniteura”, pisma tak kiedyś lojalnego wobec cesarza. To numery z kilku ostatnich tygodni. Pomóż mi, kochanie, bo zsuwają mi się z kolan na podłogę.

Podowała Jackowi część gazet i poprosiła, żeby zaczął od najstarszych.

– Z przyjemnością. Zaczniemy od tego. „Korsykański wilkołak wylądował w Cannes”.

– Właśnie, wilkołak – podkreśliła Eleonora. – A tu następny numer, wydany zaledwie w kilka dni po tamtym. „Tygrys pojawił się w Gap, wysłano przeciwko

niemu wojsko i kariera żalostnego awanturnika zakończyła się w górach”. Napisali, że zginął!

Jack sięgnął po kolejną gazetę.

– I potem musieli to odszczekać. „W rzeczywistości ten piekielny zdrajca zdołał dotrzeć do Grenoble”.

Eleonora odczytała tytuł z późniejszego numeru.

– „Tyran dotarł do Lyonu, sparaliżowane grozą miasto nie podjęło próby oporu”. Tato, czy twoi agenci we Francji nie informowali przypadkiem, że Bonapartego powitały wiwaty i bukiety kwiatów?

Ainsley kiwnął głową.

– Chyba nie spodziewałaś się znaleźć prawdy w gazetach kontrolowanych przez rząd, Eleonoro? Wydaje mi się, że nauczyłem cię większej przenikliwości. Bądź tak dobra i przeczytaj resztę. To całkiem zabawna lektura, choć raczej z gatunku czarnego humoru.

Jack podniósł następne pismo, przebiegł je wzrokiem i uśmiechnął się ponuro.

– O, widzę, że nie ma już wilkołaka, tygrysa i tyrana, zaczynają pisać o nim po nazwisku. Wystarczyło tylko kilka dni. „Bonaparte szybkim marszem zmierza na północ, ale nigdy nie wejdzie do Paryża”.

– I ostatnie dwa. – Eleonora pokręciła głową. – „Jutro Napoleon stanie u naszych bram”. I wreszcie: „Jego Wysokość jest w Fontainebleau”. Jego Wysokość!? Co za hipokryci! Jeśli Francuzi z taką łatwością zmieniają skórę, to czy Bonaparte może spać spokojnie?

Ainsley dopił brandy i wstał, żeby wrócić do gabinetu i map, nad którymi śleczął, odkąd usłyszał o ucieczce Bonapartego. Śledził na bieżąco trasę pochodu Napoleona, bo dzięki pieniądzom wiadomości z Francji napływały nieprzerwanie do Becket Hall. Trafnie przewidział, że pierwszym celem Bonapartego będzie Cannes. Teraz zwrócił oczy na północ, na okolice Brukseli. Logika wskazywała, że tam właśnie powinno dojść do starcia między Wellingtonem a cesarzem. Podzielił się już swymi przewidywaniami z Chance'em i Ethanem, ale nie miał specjalnej nadziei, że ich zwierzchnicy z Ministerstwa Wojny wezmą pod uwagę ostrzeżenia anonimowego człowieka.

A Rian – Boże miej go w swojej opiece – był już w Belgii.

– Remy pisał mi, że... – Ainsley nie musiał tłumaczyć córce, iż Remy był jego

paryskim informatorem – ...zaraz po przybyciu do Paryża Bonaparte stanął na schodach swego pałacu, popatrzył na spokojne miasto i powiedział: „Pozwolili mi wejść, tak jak pozwolili innym odejść”. To odpowiedź na twoje pytanie, Eleonoro. Ten człowiek ma pełną świadomość, że jego władza wisi na włosku. A to oznacza, że bardzo niedługo wymaszeruje z Paryża, by zmierzyć się z państwami koalicji, nie będzie czekał, aż po niego przyjdą. Musi udowodnić, że nadal jest najpotężniejszym człowiekiem w Europie.

Courtland, który ślęczał godzinami nad tymi samymi doniesieniami i mapami co Ainsley, sprzeciwił się.

– Rosjanie i Austriacy nie zdążą dołączyć do nas przed końcem lipca, a ani Anglicy, ani Prusacy nie są tacy głupi, żeby zetrzeć się z Bonapartem przed zgromadzeniem się wszystkich wojsk sprzymierzonych.

Ainsley uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Nie twórz optymistycznych scenariuszy, Court, świat nie dostosuje się do twoich nadziei. Staraj się myśleć takimi kategoriami jak nieprzyjaciel. Czy mógłbyś podać lepszy powód, by Bonaparte wyruszył natychmiast? Jego żołnierze łakną zwycięstwa Małego Kaprała w znoszonym, szarym uniformie, nawet gdyby miał ruszyć do boju z mniejszą armią, niżby tego pragnął. A on z pewnością nie chce, by pierwsza bitwa była akcją defensywną i rozegrała się na francuskiej ziemi. Nie, Bonaparte jest przede wszystkim żołnierzem. Wojna została wypowiedziana przez koalicję, ale to on przejmie inicjatywę i zaatakuje. Gdyby tylko ci głupcy z Ministerstwa Wojny to zrozumieli!

– Módlmy się, aby tak się stało, tato. Więc... więc Rian może być bliższy pierwszej w swym życiu bitwy, niż nam się zdawało? – zapytała Eleonora i wsunęła rękę w dłoń Jacka.

– Przeklęta dziewczyna!

Wszystkie głowy zwróciły się w stronę Mariah, która stanęła w drzwiach z twarzą zaczerwienioną z gniewu, ściskając w ręku pęk jasnoblonde włosów. Wyciągnęła rękę przed siebie i potrząsnęła nią ze złością.

Ainsley spojrzał na włosy i po plecach przebiegł mu lodowaty dreszcz.

– Fanny?

Mariah kiwnęła głową, nie mogła wydobyć z siebie głosu. Poprzedniego wieczora Fanny Becket skarżyła się podczas obiadu na ból głowy, wcześniej wstała od stołu i odeszła do swojego pokoju.

– Kilka razy pukałam dzisiaj do jej drzwi, ale nie doczekałam się odpowiedzi. Wiesz, jaka ona jest. Od wyjazdu Riana chodziła nadąsana, więc postanowiłam... postanowiłyśmy z Eleonorą pozwolić jej zostać na górze, dopóki głód nie zmusi jej do zejścia na dół. Ale co za dużo, to niezdrowo, więc dziś wieczorem zażądałam klucza i... i nie znalazłam jej w pokoju.

Callie odwróciła się na krześle i zapytała:

– Uciekła? Zostawiła list?

– Nie musiała – stwierdził Ainsley i usiadł ciężko, nagle przytłoczony ciężarem swych lat. – Wszyscy wiemy, dokąd pojechała twoja siostra.

ROZDZIAŁ DRUGI

Fanny Becket schowała się u wylotu cuchnącej alejki prowadzącej na nabrzeże, na którym panował gorączkowy ruch. W zapadającym zmroku klębili się tam żołnierze i konie w oczekiwaniu na rozkaz wejścia na pokład. Nerwowo dotknęła palcami *gad*, swojego specjalnie spreparowanego zęba aligatora zawieszono na szyi na złotym łańcuszku. Odette, jej stara niania, a zarazem kapłanka voodoo, nalegała, by wszyscy Becketowie zawsze nosili talizmany.

Odette każdej wiosny odnawiała ochronną magię każdego z *gad*, więc czyż Fanny mogła zostawić tak potężną broń przeciw złemu *loa* i wrogim duchom, wybierając się na wojnę?

Dobry Boże, pomyślała, wybierała się na wojnę!

Jechała przez całą noc i cały dzień, by dotrzeć do Dover, zanim doścignie ją pościg i odstawi z powrotem do domu, ale już od dwóch godzin tkwiła w tej uliczce i nie wiedziała, co dalej. Musiała przebyć kanał La Manche i dostać się do Ostendy, skąd prowadziła droga w głąb lądu, do Brukseli.

Do Riana.

Jej klacz, Molly, stała posłusznie za swoją panią i trącała od czasu do czasu pyskiem jej szyję, prosząc o poczęstunek. Fanny w roztargnieniu sięgnęła do kieszeni kurtki Riana, wyłowiła ostatni kawałek zabranej z domu marchewki i podała klaczy.

Jej plan był szaleństwem, musiała to teraz przyznać, spoglądając na wałęsających się wszędzie wokół żołnierzy, ale desperackie czasy wymagały desperackich czynów. W końcu Rian powiedział jej przecież, że była ładna, nawet jeśli z niej kpił, nawet jeśli udawał, że kochał ją jak siostrę, choć nie łączyły ich więzy krwi.

Ale zawsze byli razem, jak daleko Fanny sięgała pamięcią. Od dnia, w którym jako trzyletnia dziewczynka klęczała obok mamy w ładnym, bielutkim kościółku na wyspie, ksiądz wziął do rąk kielich, a mama pochyliła głowę i trzykrotnie uderzyła się pięścią w piersi, po razie przy każdym dzwonku u ołtarza.

Po trzecim dzwonku zaczęły wszędzie wokół wybuchać pociski armatnie, Fanny zadarła głowę do góry i zobaczyła nad sobą błękitne niebo i kawałeczki dachu sypiące się na nich jak krople deszczu, a zaraz potem mama popchnęła ją na podłogę

i nakryła własnym ciałem.

Tam, na wpół zgniecioną ciałem martwej matki, znalazł ją potem mężczyzna, który po przyjeździe do Anglii przybrał nazwisko Ainsley Becket. Nie tylko ona zdołała przeżyć atak hiszpańskich piratów, wśród ocalonych był również Rian. Oraz trzy kobiety, które mieszkały obecnie w Becket Village.

Jednak pozostałe matki wraz ze swymi dziećmi oraz czwórką maluchów osieroconych tego dnia przetrwały tylko po to, by w kilka miesięcy później zginąć podczas najazdu Edmunda Bealesa na wyspę.

Piraci. Rozbójnicy. Ciepły, biały piasek i czyste, błękitne wody. Śmierć. Wszędzie śmierć.

Fanny niewiele pamiętała. Tylko matkę, bijącą się w piersi, dach spadający im na głowy... i Riana. Starszy zaledwie o kilka lat chłopiec zawsze trwał przy niej, trzymał ją za rękę, chronił, a tego ostatniego dnia objął ją chudymi ramionkami i zaniósł w gęstwinę drzew, daleko od zdradzieckiego Bealesa.

Ona również była gotowa na wszystko, by go chronić.

Poprawiła kolorowy szal, pod którym ukryła barbarzyńsko skrócone jasne włosy, i skontrolowała, czy poły płaszcza zasłaniały zgniecioną spódnicę, narzuconą na bryczesy, kiedy dotarła do Dover.

– Nie idź za mną, Molly. – Klacz pochyliła głowę, jakby zrozumiała.

Fanny wyszła z cienia i podeszła do szczupłego chłopca w szkarłatnym mundurze 13 Pułku Kawalerii. Wybrała go ze względu na młodość i wzrost.

– Odpywacie dzisiaj, przystojniaku? – zapytała i obeszła dookoła chłopca. Zmusiła tym manewrem młodzika, by odwrócił się tyłem do grupy żołnierzy z jego pułku, którzy odpoczywali po wyczerpującej żegludze z Cove, podczas której ich okręt został uszkodzony i musiał zawinąć do Dover, aby dokonać napraw i uzupełnić zaopatrzenie, zanim popłynie w ślad za dwoma pozostałymi do Ostendy.

To było niewiarygodne szczęście – Odette powiedziałaaby, że dobry omen – iż Fanny natrafiła tutaj, w tym zatłoczonym porcie, na żołnierzy z 13 Pułku. Z regimentu Riana – regimentu cudownych, dzielnych Irlandczyków z County Cork i okolic. Rian uznał za stosowne walczyć w szeregach Irlandczyków, choć z Irlandią łączyło go tylko pochodzenie i imię.

Chłopak, do którego zwróciła się Fanny, był jeszcze niemal dzieckiem. Spuścił głowę i przełknął z trudem, jabłko Adama na jego szyi podskoczyło niemal do samej brody.

– Tak, panienko. Przegonimy Napoleonka gdzie pieprz rośnie, dostanie, na co zasłużył.

Fanny zmierzyła go wzrokiem. Tak, odpowiedni, pomyślała. Był od niej wyższy najwyżej o kilka cali.

– Niech cię Bóg błogosławi, chłopcze – powiedziała śpiewnie. – Może chciałbyś zabrać coś ze sobą? Ostatni pocałunek od wdzięcznej dziewczyny z County Clare? Albo i coś więcej niż pocałunek?

Młodziutki żołnierz rozejrzał się dokoła i zwilżył językiem wargi.

– Nie mogę uwierzyć, że proponujesz mi coś takiego za darmo?

Fanny uśmiechnęła się.

– Za kogo ty mnie bierzesz, dzieciaku? Za jedną z upadłych kobiet? – Podniosła rękę i pogłaskała go po brzoskwiniowym policzku, na którym dopiero zaczął pojawiać się pierwszy puszek. – Żaden dzielny żołnierz nie powinien iść do boju, zanim nie pozna dziewczyny, prawda?

– Ja już poznałem – zapewnił żołnierz, zaczerwieniony po uszy. – Poznałem mnóstwo dziewczyn. – Jedną rękę zacisnął na karabinie, a drugą objął łokieć Fanny, która zręcznie złapała jego wierzchowca za uzdę i pozwoliła chłopcu poprowadzić się w głąb zaułka, czyli dokładnie tam, gdzie chciała się z nim znaleźć. – Ale musimy się pośpieszyć, żeby starszy sierżant nie zauważył mojej nieobecności, jasne?

I dość obcesowo popchnął Fanny na wilgotny, ceglany mur. Trzymając ją mocno jedną ręką, drugą oparł karabin o ścianę, żeby rozpiąć bryczesy.

To jej ułatwiło zadanie. Zamknęła oczy, wyszeptała krótkie „Tak mi przykro”, wyciągnęła z kieszeni płaszcz pistolet i z całej siły uderzyła żołnierzyka w skroń.

Fanny, choć młoda i smukła, była wysoka jak na dziewczynę i wyjątkowo silna. Ugięła się tylko trochę pod ciężarem bezwładnego chłopca, ale zaciągnęła go w głąb uliczki i delikatnie ułożyła na ziemi.

W pięć minut później ponownie wyłoniła się z zaułka, ale tym razem prowadziła za uzdę Molly oraz czarnego wierzchowca i miała na sobie szkarłatny mundur z białym pasem na ukos, a na ramieniu karabin. Przy nieprzytomnym chłopcu zostawiła małą sakiewkę oraz parę spodni i koszulę, żeby miał co na siebie włożyć, kiedy się ocknie.

Trzymając się pomiędzy dwoma końmi i nie podnosząc głowy, dołączyła do

grupy mężczyzn, którzy szykowali się już do wejścia na pokład. Przemknęło jej przez myśl, że może właśnie ocaliła życie młodego Irlandczyka, natomiast o własnym losie nawet nie pomyślała.

Czekała na nią Ostenda, czekała Bruksela.

Czekał i Rian, choć sam jeszcze o tym nie wiedział.

ROZDZIAŁ TRZECI

Rian Becket siedział samotnie przy stojącym na uboczu stoliku w niewielkim zajęździe w rejonie, którego nazwa brzmiała jakoś podobnie do Scendelbeck. Górny guzik jego munduru był rozpięty, a wilgotne, ciemne, nieco zbyt długie włosy opadły na czoło, sięgając niemal do intensywnie niebieskich, zmęczonych oczu.

Wojna sprowadzała się, jak dotąd, do niekończących się parad w prażącym słońcu lub ulewnym deszczu, sporo czasu poświęcali opiece nad końmi, nieco mniej picciu i zdecydowanie zbyt wiele na bezproduktywne siedzenie i czekanie.

Ale przynajmniej zobaczył człowieka, którego nie udało mu się ujrzeć w ubiegłym roku w Londynie, bo książę Wellington osobiście przeprowadził tego dnia inspekcję ich pułku. Towarzyszyli mu książę orański, książę de Berri, diuk brunszwicki i marszałek polowy Blücher, przez którego podobno pół Londynu leżało pijane pod stołem podczas sierpniowego, przedwczesnego jak się okazało, świętowania zawarcia pokoju.

– Porucznik Rian Becket?

Rian podniósł oczy na wysokiego mężczyznę, który podszedł do jego stolika. Zdażył już nawet do połowy unieść się z krzesła na wypadek, gdyby rozmówca nosił mundur. Ale nie tylko nie nosił wojskowego uniformu, ale wyglądało na to, że w ubraniu, które miał na sobie, przespał niejedną noc. Rian opadł na krzesło, oparł plecy o oparcie i gestem wskazał przybyszowi miejsce naprzeciw siebie.

– Poczestowałbym pana winem – mruknął, wskazując stojącą przed nim ciemnoniebieską butelkę – ale, jak pan widzi, osuszyłem ją do dna. Zna pan moje nazwisko. Proszę podać swoje, a potem możemy zamówić następną butelczynę.

Płowowłosy łązega – naprawdę wyglądał na łązęgę! – uśmiechnął się, usiadł i wyciągnął rękę do Riana.

– Valentine Clement, panie Becket, do usług. Jack Eastwood napisał do mnie, żebym...

– Jack? Cholera jasna! – zaklął Rian, ignorując wyciągniętą dłoń nieznajomego. – Mojemu szwagrowi wydaje się najwyraźniej, że potrzebuję niańki. Uprzejmie dziękuję, ale nie. I jeśli chciał mnie pan prosić o posadę ordynansa, Clement, to powinien pan najpierw doprowadzić się do porządku, zanim stanął pan

przede mną.

Mężczyzna cofnął dłoń, a w jego orzechowych oczach rozbłysło rozbawienie.

– Tysiącrotnie przepraszam, poruczniku Becket. Poinformuję pańskiego szwagra o tej jakże uprzejmej odmowie. – Odsunął krzesło, wstał z lekkim uśmiechem na ustach i skłonił się z zadziwiającą gracją jak na łazęgę. – Życzę miłego dnia, sir.

Rian zamówił następną butelkę, dręczony niejasnym poczuciem, że chyba popełnił błąd. Wino przyniósł mu do stolika nie właściciel gospody, ale jeden z wyższych rangą oficerów 13 Pułku Lekkich Dragonów. Przyniósł również drugi kieliszek, najwyraźniej dla siebie.

– Proszę siedzieć, poruczniku. Ta konwersacja była dziwnie krótka – zauważył kapitan Moray. Odkorkował butelkę i nalał do obu kieliszków nadspodziewanie dobrego wina. – Czego chciał jego lordowska mość? Powiedział może, co się dzieje z Bonapartem?

Rian poczuł lekki skurcz żołądka i popatrzył na starszego mężczyznę z poczuciem, że chyba wolałby nie usłyszeć tego, co Moray miał mu do powiedzenia.

– Jego lordowska mość? Nie myli się pan? Jego lordowska mość?

Moray kiwnął głową, przełknął potężny łyk wina i odstawił kieliszek.

– Nienawidzę tego czekania, Becket. Jeszcze jedna taka przekłeta parada, a wszyscy będziemy podkuwać konie w chwili, gdy Bonaparte wymierzy w nas swoje działa. I tak, Becket, to był jego lordowska mość. Valentine Clement we własnej osobie. Lord Brede. Nie widziałem go od dawna i bez wątpienia nie powinienem zdradzać jego tożsamości, ale to był on, jestem tego pewien. Wielki, cholerny Brede we własnej osobie!

Rian przecesał palcami włosy, poczuł się nagle okropnie młody i głupi.

– No więc... A niech to wszyscy diabli! – Odchylił się w krześle dodał z niesmakiem: – Właśnie odmówiłem przyjęcia go na ordynansa. I kazałem mu się wykąpać, bo śmierdział. Cholera, cholera, cholera!

Moray ryknął tak głośnym śmiechem, że głowy wszystkich obecnych zwróciły się w ich kierunku.

– Wyszczekany młokos! Ale on znał pana nazwisko, prawda? Brede do jeden z najbliższych, najbardziej zaufanych ludzi Wellingtona, jest z nim od zawsze. Potrafi wśliznąć się wszędzie i zawsze wie, co w trawie piszczy. Podobno trzy dni temu pił

przez całą noc z Napoleonem w Wersalu, a potem do rana flirtował z co ładniejszymi *mam'selles*. A pan nie zaszczycił go swoją uwagą! Masz jaja, człowieku, muszę przyznać. To zasługuje, moim zdaniem, na kolejną butelczynę. – Odchylił się w krześle i pstryknął palcami na barmankę.

Rian pił w milczeniu i wymyślał sobie w duchu od arogantów. Mąż Elly napisał list, przysłał do niego lorda Brede. Jack nigdy nie mówił zbyt wiele o tym, czym się dawniej zajmował, ale wszyscy wiedzieli, że między innymi działał jako szpieg na Półwyspie Iberyjskim. Podobnie jak Brede.

– Ten człowiek... Brede... wyglądał na śmiertelnie zmęczonego, prawda? – zwrócił się Rian do kapitana. – Pewnie widział rzeczy, których ja wolałbym nie oglądać. Myślałem, że to będzie jakoś... inaczej. Lepiej. Szlachetniej.

Moray podniósł głowę i popatrzył na Riana ponad stołem.

– Szlachetniej? – Język mu się trochę plątał, bo nie była to ani pierwsza, ani nawet druga butelka wina, jaką osuszył tego wieczora. – No to bardzo się myliłeś, mój chłopcze. Nie powinieneś wystawiać nosa z domu, idealisto. Zapomnij o marzeniach. Jeśli tego nie zrobisz, zginiesz. Zapamiętaj moje słowa.

– Zapomnę o marzeniach, jeśli trzeba. Chcę walczyć, kapitanie Moray – najężył się Rian. – Jestem w tym cholernie dobry.

Kapitan uśmiechnął się, a potem jego głowa opadła, jakby wyślizgnęła mu się z rąk.

– Muszę przyznać, że jeździsz konno jak sam diabeł. Ścinasz szablą słomkę w biegu i nigdy nie chybiasz. Ale słoma to nie ludzkie ciało, chłopcze, a twój wspaniały, lekkonogi wierzchowiec prawdopodobnie zostanie zastrzelony podczas pierwszej szarży. Jak będziesz brodzić po kolana we krwi i w błocie, potykając się o poszarpanych na kawałki kolegów, z którymi piłeś poprzedniej nocy, a żabojady runą na ciebie z krzykiem, wtedy zobaczymy, na ile jesteś dobry. Dostyc! Jezu, jak ja tego nienawidzę... nienawidzę. Za dużo czekania... za dużo czasu na myślenie... na wspomnianie... Przeklęty Bonaparte...

ROZDZIAŁ CZWARTY

Fanny siedziała oparta plecami o surowe deski ładowni niewielkiego statku i nie dawała się sztormowi. Molly, przywiązana do haka podobnie jak pozostałych sześćdziesiąt pięć koni stłoczonych w ciasnej przestrzeni, ciągle próbowała trącać pyskiem ramię swojej pani, jej ogromne brązowe oczy były szeroko otwarte i pełne przerażenia.

– Wszystko w porządku, Molly – mruzczała Fanny, głaszcząc aksamitne chrapy klaczy. – To nic, tylko trochę wiatru i deszczu.

Oczy same jej się zamykały, ale nie przestawała uspokajać Molly, natomiast czarny koń stojący obok stawał się coraz bardziej niespokojny, przewracał przekrwionymi oczami i rzucał łbem, próbując zerwać się z uwięzi i uciec z tej mrocznej nory, a najlepiej w ogóle ze statku.

– Shamusie Reilly! Zapanuj nad swoim koniem, zanim zarazi paniką pozostałe. Bo jak nie, to tak ci zleję ten kościsty tyłek, aż poopadają ci podwiązki!

– Tak jest, sir! – zawołała Fanny i zerwała się na równe nogi.

– I nie mów do mnie sir, na Boga! Dla ciebie jestem starszym sierżantem Hartem, szczeniaku!

– Tak jest, sir... to znaczy: starszy sierżancie Hart! – poprawiła się szybko Fanny, zirytowana własnym błędem. Wyciągnęła z kieszeni spodni zmięty szal, którym zaledwie trzy godziny temu owinęła głowę i przewiązała nim wybałuszone, oszalałe ze strachu oczy ogiera, przemawiając łagodnie do przerażonego zwierzęcia.

– Dobra robota, szeregowy Reilly – stwierdził starszy sierżant. – Widzieliście, chłopcy? Zasłońcie też swoim, żeby się uspokoiły, wszyscy. Ruszać się!

Fanny odwróciła się plecami do starszego sierżanta i odruchowo wymamrotała krótkie podziękowanie. Dopiero potem zadała sobie pytanie, czy w ogóle powinna się odzywać.

Chyba nie, bo starszy sierżant stanowczo za bardzo się nią interesował.

Może wykrył jej oszustwo?

Była wysoka, równie wysoka jak prawdziwy Shamus Reilly. Nierówno ostrzyżone włosy związała na karku zwyczajną czarną tasiemką. Piersi również nie mogły jej zdradzić, ponieważ natura poskąpiła swoich łask w tej dziedzinie, obdarzwszy w dwójnasób jej siostrę Morgan.

– Szeregowy Reilly.

Fanny wyprężyła się w pozycji na baczność.

– Tak jest, starszy sierżancie!

– Ile masz lat, dzieciaku? Piętnaście?

– Nie, starszy sierżancie! – zaprzeczyła z oburzeniem Fanny, która skończyła już dwadzieścia lat. Liczyła, że zostanie to uznane za urazę chłopca, który nie musiał jeszcze golić zarostu. – W grudniu będę miał siedemnaście!

– Marny z ciebie kłamca, szeregowy Reilly. Nie chcę dzieciaków w swoim oddziale. Ale Bóg mi świadkiem, że cholernie potrzebuję ludzi. Każdego mężczyzny, jakiego tylko mogę mieć. Także i ciebie. Chryste! Siedemnaście lat, trzymaj mnie cioteczko Nellie. Następnym razem dadzą mi oeski przy piersi.

– Tak jest, sir... starszy sierżancie!

Kiedy dotarli do Ostendy, Fanny zdążyła przekonać samą siebie, że była bezpieczna.

Myliła się.

– Szeregowy Reilly!

Czego znowu chciał ten człowiek? Fanny miała ochotę podnieść oczy do nieba, gdy usłyszała tuż przy sobie głos Harta. Zrównał swojego wierzchowca z jej koniem, gdy tylko wyjechali z miasta. Czy ten człowiek nie miał nic lepszego do roboty, niż ją prześladować? I to wtedy, gdy wreszcie uwierzyła, że jest bezpieczna, anonimowa, niemal niewidzialna?

– Starszy sierżancie!

– Teraz możemy swobodniej porozmawiać. Kogo ścigasz, szeregowy Reilly? Brata? Kochanka? Ojca swego nienarodzonego dziecka?

– Sir? – Fanny wpatrywała się wprost przed siebie, chociaż poczuła się tak, jakby jej serce wypadło z piersi i potoczyło się po brukowanej kocimi łbami drodze wprost pod kopyta Molly.

– Starszy sierżancie, do diabła! Zaprzeczanie nic nie da, szeregowy Reilly. Masz przed sobą człowieka doświadczonego, który nie takie rzeczy już widział w przeszłości.

Fanny przełknęła z trudem, nagle całkiem zaschło jej w ustach.

– Tak... tak jest, starszy sierżancie.

– Kogo ścigasz, szeregowy?

– Wolę nie mówić, starszy sierżancie.

– Słuchaj, dziewczyno, na tym właśnie polega twój błąd. Ja cię nie proszę o odpowiedź. To nie jest przyjacielska pogawędka, rozumiano?

Fanny uniosła podbródek.

– On nie wie, że za nim pojechałam. To nie jego wina, sir.

– Starszy sierżancie! Musisz mieć strasznie zakuty łeb, szeregowy Reilly, skoro nie możesz zapamiętać nawet takiego drobiazgu. Takiego ważnego drobiazgu. Będziesz trzymać się na osobności, sypiać z końmi i trzymać gębę na kłódkę, nawet jeśli moi ludzie uznają cię przez to za idiotę. Czy popełniliby poważny błąd, szeregowy Reilly, gdyby tak pomyśleli?

– Nie, starszy sierżancie – odparła Fanny, szybko mrugając powiekami, żeby powstrzymać napływające do oczu łzy. – Szukam porucznika Riana Becketa, oficera 13 Pułku Kawalerii, starszy sierżancie. Mojego brata.

Starszy sierżant Hart potarł ręką czerwoną twarz.

– Brata, tak? Przynajmniej nie masz bachora w brzuchu, dobre i to. Dzięki, Najświętsza Panienko. Ale brat nie podziękuje ci za to, że za nim pogoniłaś, szeregowy Reilly. Mężczyzna lubi czuć się mężczyzną, panem siebie.

Fanny żałośnie kiwnęła głową. To, co w zaciszu własnej sypialni wydawało jej się znakomitym planem, teraz jawiło się jako pomysł głupi i niemożliwy do zrealizowania. W momencie, kiedy stanęła w pełnym świetle, a jeśli wierzyć starszemu sierżantowi Hartowi, to już w ciemnościach okrętowej ładowni jej maskarada rozwiła się jak poranna mgła nad Romney Marsh w słoneczny, sierpniowy dzień.

– On jest już tutaj od pewnego czasu, sir – powiedziała Fanny, rezygnując z prób udawania żołnierza. – Czy pan wie, gdzie może być?

– Założę się, że w rejonie zwanym Scendelbeck. Nie podnoś głowy i nie odzywaj się, to wkrótce go spotkasz. Ale nie chciałbym być w twojej skórze, dziewczyno, kiedy brat cię zobaczy...

Rian obserwował lorda Uxbridge, wracającego po całodziennym inspekcji swoich oddziałów. Wyglądał dokładnie jak bohater z jego młodzieńczych marzeń, z czasów, gdy Rian po raz pierwszy zaczął myśleć o żołnierce. Nie można było oderwać oczu od szkarłatnego, sztytowego na miarę munduru i ciemnych, falujących nad czołem włosów, od lśniących w słońcu epoletów i wspaniałego wierzchowca, który wysoko podnosił nogi, stąpając dumnie, jakby szczycił się tym, że nosi na grzbiecie tak przystojnego mężczyznę.

Podobno Wellington bez entuzjazmu powierzył Uxbridge'owi dowodzenie kawalerią, jak słyszał Rian, ponieważ raziło go jego upodobanie do elegancji i chęć błyszczenia, ale Żelazny Książę nie miał właściwie wyboru, ponieważ Uxbridge był najlepszym generałem kawalerii w całej brytyjskiej armii.

– Czy pan wie, że ten nasz lord uciekł jakiś czas temu ze szwagierką Wellingtona? – rozległ się tuż obok Riana przeciągły głos. – Oczywiście wybuchł potężny skandal, którego książę dotąd nie wybaczył naszemu pięknemu lowelasowi. Tylko swym talentom na polu bitwy Uxbridge zawdzięcza to, że nie gnije teraz w Londynie, nie mając do roboty nic poza przymiarkami u krawca.

Rian niechętnie odwrócił głowę i spojrzał na lorda Brede, który nonszalancko opierał się o kamienny murek otaczający kompletnie stratowane pole pszenicy. Hrabia wyglądał nie lepiej niż przed kilkoma dniami; może nawet gorzej. Jednak w jego znużonych orzechowych oczach nadal błyszczały te same iskierki rozbawienia co w gospodzie, gdy go odprawił.

Rian zeskoczył z murku na ziemię i skłonił się.

– Proszę przyjąć moje przeprosiny, milordzie. To alkohol przemawiał przeze mnie.

– Alkohol i młodość. – Valentine Clement uśmiechnął się i przesunął beznamiętnym, leniwym spojrzeniem po zgrabnej sylwetce Riana. Czy on sam był kiedyś równie młody i pełen zapału? Może przed Talawerą, Albuera, Salamanką i pozostałymi bitwami. Do licha, tak bardzo chciał, żeby już było po wszystkim, a tymczasem czekało ich kolejne starcie z wielkim, starym Bonapartem. – Znalazł pan już ordynansa? Chyba tak, bo ten szkarłatny kubraczek jest doskonale wyprasowany i lśni czystością. Nie zastanawiał się pan nigdy, Becket, jakim znakomitym celem jest taka barwa? No, ale na paradzie wyglądacie wszyscy niezwykle... elegancko.

Rian, bardzo jeszcze młody i porywczy, w nagłym przypływie zuchwałości wskazał ręką wyszargany, obszerny płaszcz lorda, jego niepozorną białą koszulę i luźne spodnie.

– Lepsza jest nierzucająca się w oczy bura szarość polnej myszy... albo domowego szczura?

– Czasami tak, poruczniku, czasami lepsza – wycedził przeciągle Brede. Przesunął cygareto w kącik ust, potarł zapalniczką o polny kamień i spoglądając na Riana spod spadających na brwi jasnobrązowych włosów, przytknął płomień do końca cygara. Było w tym człowieku coś zimnego, pomimo pozornej swobody. Najwyraźniej Valentine Clement, lord Brede, szpieg i abnegat, źle znosił głupotę. – Wkrótce ruszamy.

– Ruszamy? – Rian starał się utrzymać równy, spokojny ton głosu. – Przypuszczam, że pan wie dokąd.

Brede powiódł spojrzeniem po zmordowanych, spoconych jak myszy żołnierzach, którzy po komendzie „rozejść się” zarzucili karabiny na ramiona i powlekli się w poszukiwaniu jakiegokolwiek skrawka równej ziemi czy płaskiego kamienia, na którym mogliby odpocząć po kolejnym dniu maszerowania w pełnym słońcu.

– Za mną – rzucił i zręcznie przeskoczył przez murek. Ruszył w stronę pasa drzew wyznaczających granicę stratowanego pola pszenicy, nie oglądając się za siebie. Nie miał wątpliwości, że młody Becket za nim podąży.

Rian obejrzał się najpierw za siebie, a gdy kapitan Moray puścił do niego oko, starannie poprawił szablę i dopiero potem wskoczył na mur, przerzucił nogi na drugą stronę i poszedł za człowiekiem, za którym nie przepadał. Zapewne dlatego, że tamten już niejednokrotnie się sprawdził, podczas gdy Rian miał jeszcze sporo do udowodnienia.

Szli przez obóz, wzdłuż równej linii niewielkich białych namiotów. Minęli ogniska, przy których gotowano posiłek, i wreszcie znaleźli się wśród drzew. Dopiero wtedy Brede odwrócił się w stronę Riana i znowu poddał go chłodnej, badawczej obserwacji.

– Jeśli nie ma mi pan nic do powiedzenia, to... – zaczął Rian, ale lord przerwał mu ruchem ręki.

Zaciągnął się głęboko cygarem, wypuścił strumień błękitnego dymu i powiedział wreszcie to, co miał do powiedzenia. Poczucie, że ma się wobec kogoś dług wdzięczności, to coś okropnego. Nawet wobec Jacka, który uratował mu życie. I to nie raz, ale dwukrotnie. Valentine nie zamierzał jednak trzymać tego ładniutkiego

chłopca w puchowym kokonie. Każdy mężczyzna ma prawo się sprawdzić.

– Jack zapewnia mnie w liście, że ma pan po kolei w głowie, potrafi jeździć na wszystkim, co ma cztery nogi, a czasem i mniej, umie strzelać i posługiwać się tym ślicznym ostrzem, które wisi u pasa pana starannie wyprasowanego mundurka. Zna pan również swoje miejsce, jak twierdzi mój stary przyjaciel, i potrafi pan dochować tajemnicy. Teraz proszę posłuchać. Widział pan dzisiaj Uxbridge'a, Becket. Można by pomyśleć, że to goguś i bawidamek, ale radzę trzymać się jak najbliżej niego. On doskonale wie, po co się tutaj znalazł, w głębi serca jest twardy jak skała. Do jutra dotrą tutaj Pułki Jedenasty, Dwunasty, reszta Trzynastego, Szesnasty i Dwudziesty Trzeci. W przeważającej części to lekka dragonia. Będziecie manewrowali bez końca na pobliskich polach, osiem, może nawet dziesięć godzin dziennie, dopóki Uxbridge nie będzie usatysfakcjonowany. A potem, Becket, proszę wykorzystywać każdą chwilę na wypoczynek. Niech pan śpi, ile się tylko da. I da koniowi odpocząć. Niech pan zachowuje trzeźwość, najada się do syta i pilnuje, by zawsze mieć suche pończochy – wilgotne najlepiej wieszać wokół szyi, w ten sposób szybko wysychają. Proszę tylko nie zgubić zapasowej pary, na litość boską! Jeśli odparzy pan stopy, nie będzie z pana żadnego pożytku. Kiedy następnym razem stąd wyruszyacie, Becket, to już na pole bitwy.

Krew szybciej popłynęła w żyłach Riana.

– Kiedy? Gdzie?

Brede uśmiechnął się. Rian nadal miał trudności z pogodzeniem zaniedbanego wyglądu i inteligencji bijącej z przenikliwych orzechowych oczu.

– Domyślam się, że gdzieś w okolicach Quatre Bras lub Ligny, ale tego jeszcze nikt nie wie. Na razie. Mam nadzieję, że decyzja zapadnie, zanim sporządzę swój ostateczny raport. Teraz proszę posłuchać uważnie. Nikt z nas nie jest już w stanie powstrzymać zbliżającej się bitwy. Koalicja do tego nie dopuści, Napoleon nie zdoła uniknąć walki. Ale mogę pana stąd zabrać.

– Jack pana o to prosił?

Brede uśmiechnął się.

– Nie. Ale mu bardzo na panu zależy, a mnie zależy na nim. I mam wystarczające wpływy, by załatwić panu przeniesienie do sztabu Wellingtona. Księżę potrzebuje dobrych ludzi, bo Pakenham i wielu innych zostało posiekanych na kawałki w Nowym Orleanie podczas tej bezsensownej wojny.

Rian kiwnął głową.

– Mój brat Spencer walczył pod Moraviantown. Twierdzi, że to nie była

chwalebna bitwa.

Brede puścił tę uwagę mimo uszu. Musiał przed zmrokiem zdążyć jeszcze w kilka miejsc.

– Jego wysokość nie chowa się za plecami innych, więc będąc przy nim, nie uniknie pan niebezpieczeństwa. Ale w wojnie można walczyć na różne sposoby, Becket. Można zmierzyć się z przeciwnikiem na polu bitwy albo zmagać się na umyśle. – Wyjął z ust cygaro i przyjrzał się jego rozżarzonemu końcowi. Pod drzewami zaczynał już zapadać zmrok, słońce chyliło się ku zachodowi i wkrótce miało zniknąć za horyzontem. – Tylko raz składam panu taką propozycję, Rianie Becket. I wyłącznie ze względu na starego przyjaciela, który wyświadczył mi niejedną przysługę na półwyspie. Jak pan słusznie zauważył, nie jestem niańką.

– Dziękuję, milordzie – powiedział Rian i skłonił się. – Czuję się, oczywiście, zaszczycony.

– Tylko dureń nie czułby się zaszczycony. – Brede uśmiechnął się znowu. – Wrócę tu za dwa dni, bo mam jeszcze pewne sprawy do załatwienia, sprawy, które nie mają z panem nic wspólnego. Spotkamy się w poniedziałek, dokładnie w tym miejscu, koło południa. Będę miał ze sobą przydział dla pana. Ma pan być gotów do drogi albo odjadę bez pana. Zrozumiano?

Rian otworzył usta, by odpowiedzieć, ale Brede odwrócił się już od niego i odszedł. Z gracją wskoczył na smukłego srokatego siwka, który czekał na polu pszenicy w odległości najwyżej dziesięciu kroków, trzymany za uzdę przez... samego kapitana Moraya.

Brede odwrócił konia, ściągnął wodze tak, że uderzyły o tylną nogę zwierzęcia, i zaszalował Rianowi od niechcenia, a potem odjechał. Szara sylwetka jeźdźca szybko rozmyła się w szarym zmierzchu.

– Uxbridge nie jest jedynym ekstrawaganckim wojskowym – mruknął Rian, podchodząc do szeroko uśmiechniętego kapitana Moraya. – On tylko jest lepiej ubrany...

ROZDZIAŁ PIĄTY

Wcale nie było tak źle! Krajobraz był piękny, powietrze nie nazbyt gorące, a konie zapewniały Fanny znakomitą osłonę. Brakowało jej trochę miękkiego łóżka i smakowicie przyrządzonego kurczaka, ale przygoda rekompensowała te drobne niedogodności.

I z każdą milą była bliżej Riana.

– Który pewnie wytarga mnie za uszy – mruknęła Fanny w szal, którym omotała twarz, by chronić usta i nos przed kurzem, wzbijanym końskimi kopytami.

Jechała na końcu oddziału i od śniadania, na które dostała pasek suszonej wołowiny, nie miała w ustach nic poza przydrożnym pyłem. Do listy rzeczy, za którymi najbardziej tęskniła, dodała w myślach wannę, stojącą w jej sypialni w Becket Hall.

– Szeregowy Reilly!

Fanny wzniosła oczy do nieba i wyprostowała smukłe ramiona. Ten człowiek nie odstępował jej ani na krok! Własny ojciec nie strzegł jej tak pilnie. Gdyby strzegł, to nie jechałaby teraz przez Belgię, prawda?

– Tak jest, starszy sierżancie!

– Za parę minut będziemy w obozie. Powiedziano mi, że zobaczymy go za następnym zakrętem. Oto, co zamierzam zrobić. Jak już zobaczysz się z tym swoim bratem, dla którego przebyłaś tak daleką drogę, zostaniesz odesłana do Brukseli wraz ze wszystkimi kobietami, które nie miały nic lepszego do roboty, jak ciągnąć za wojskiem. W obozie nie zostaną żadne kobiety, szeregowy Reilly, nawet do pomocy w gotowaniu czy praniu. Uxbridge nie zezwoli na to. Będziecie miały dość roboty przy pielęgnowaniu rannych, kiedy przyjdzie czas. To odpowiednie zajęcie dla kobiet. A potem zostaniesz wsadzona na statek i odesłana do domu.

– Ale, starszy sierżancie...

Starszy sierżant pokręcił głową z teatralnym westchnieniem.

– Dobry Boże, a tej się jeszcze wydaje, że ma w tej sprawie coś do powiedzenia! Gdyby kobiety służyły w armii, to byłaby prawdziwa katastrofa.

Kwestionowałyby wszystkie rozkazy, bo każda byłaby przekonana, że wie lepiej. „O, nie, sierzancie Hart, musimy rozbić obóz trochę dalej od strumienia, tu jest zbyt wilgotno. Zaczniemy kichać”.

Fanny zsunęła z twarzy szal i uśmiechnęła się do sierżanta.

– Kiedy już trafi pan do nieba, starszy sierzancie, królowa Boadecea będzie miała panu to i owo do powiedzenia.

Po raz pierwszy zobaczyła uśmiech na twarzy starszego sierżanta.

– Ona? Ona potrafiła tylko się wściekać.

– Zebrała armię przeciw Rzymianom, zburzyła Londyn i doprowadziła do śmierci siedemdziesiąt tysięcy żołnierzy. To coś więcej niż wściekłość, prawda? Moglibyśmy również porozmawiać o Dziewicy Orleańskiej, sławnej Joannie...

– Te baby już nie wiedzą, gdzie wściubiać nos! – burknął starszy sierżant, szarpiąc bokobrody. – Pojedziesz do Brukseli, gdzie będziesz bezpieczna, słyszysz?

Fanny wiedziała, że nie powinna oczekiwać od niego słówka prośbę, więc tylko kiwnęła głową.

– Byłam głupia, sir. Nie powinnam tu przyjeżdżać.

Starszy sierżant uderzył się w masywne udo.

– To samo powinna była powiedzieć przed laty moja siostra. Ale ona goniła za tym swoim Bobbym Finneganem po całym półwyspie. Nie podziękował jej za to, podobnie jak twój brat nie podziękuje tobie. Zmarli osiem lat temu, oboje.

Fanny zrobiło się niedobrze.

– Na półwyspie?

Kiwnął głową.

– Na febrę, jak wielu innych. Szeregowy Reilly, widziałem ludzi przymierających głodem. Widziałem tonących w dziurach, które wygrzebali w ziemi, by ukryć się przed wrogiem. Widziałem... Zrobisz, co powiedziałem! Nie chcę mieć ciebie na sumieniu, jak swoją Maureen. Nie mam już nikogo bliskiego, nie mam domu ani rodziny. Więc staram się dobrze opiekować wami, chłopcy... wami wszystkimi.

Fanny znowu naciągnęła szal na twarz.

– Przepraszam za kłopot, jaki panu sprawiłam, starszy sierżancie. Zdaję sobie sprawę, jakie miałam szczęście, trafiając na człowieka tak dobrego jak pan. Kiedy już będzie po wszystkim, mój tata z pewnością zapragnie uścisnąć panu rękę i podziękować. Proszę zapamiętać nasz adres: Becket Hall w Romney Marsh. Jeśli mnie udało się trafić tutaj, to pan z pewnością znajdzie drogę do nas. Zapewniam, że jeśli pan zechce, będzie mile widzianym gościem. Tata ma wiele szacunku dla uczciwych, dzielnych ludzi.

Starszy sierżant Hart popatrzył na nią ze zdziwieniem, ale kiwnął głową.

– Becket Hall w Romney Marsh, zapamiętam. A teraz zostań przy koniach i zajmij się nimi, a ja znajdę ci porucznika Becketa. Może zdołam go przekonać, żeby nie mówił ci tego, co powinien ci powiedzieć. I żadnych łez, szeregowy Reilly. Słyszysz?

– Tak jest, sir!

Pokręcił głową z udawanym oburzeniem.

– Taka prosta rzecz, dziewczyno. Starszy sierżancie!

Fanny uśmiechnęła się pod szalem, odprowadzając wzrokiem odjeżdżającego na czoło oddziału męczyznę.

– Taki szlachetny człowiek zasługuje na „sir”.

Rian popatrzył w ślad za oddalającym się starszym sierżantem, a potem spojrzał na siostrę, która siedziała przed nim na ziemi ze skrzyżowanymi nogami. Górna część jej twarzy, od połowy policzków aż po granicę barbarzyńsko wystrzyżonych, jasnych włosów była brunatna od kurzu, a białka szmaragdowozielonych, pełnych ulgi oczu błyszczały na tym tle jak gwiazdy. Dolna część twarzy wydawała się nienaturalnie biała.

Miała na sobie mundur. Nawet starszy sierżant, który apelował do Riana o pobłażliwość – jeśli nazwanie jej durnym dzieciakiem można uznać za apel o pobłażliwość – osłupiał, gdy przyznała się, w jaki sposób zdobyła wojskowy uniform.

Rian siedział na niewysokim, płaskim kamieniu, oparł łokcie na kolanach i wpatrywał się w nią bez słowa.

Milczenie przedłużało się. Wydawał się Fanny strasznie smutny i bardzo zagniewany.

Serce jej pękało na jego widok.

– Rian? – Fanny przerwała w końcu milczenie. – Przecież przyznałam, że źle zrobiłam. I zgodziłam się pojechać do Brukseli.

Rian zaklął i zerwał się na równe nogi.

– Czyż to nie cudowne, Fanny? Zgadzasz się pojechać do Brukseli! Zrobisz nam tę grzeczność? Nieważne, że najpierw narobiłaś wszystkim kłopotów, nieważne, że cała rodzina odchodzi od zmysłów ze zdenerwowania. Do diabła, pewnie do rana zjawią się tu wszyscy, szukając ciebie. Będziemy sobie mogli urządzić rodzinne przyjęcie. Jezu!

– Nie dramatyzuj. Nie zrobią tego... Na pewno nie tata. On nigdy nie wyjeżdża z domu.

– To moja chwila, Fanny. – Rian uderzył się pięścią w pierś, aż zadudniło. Tym gestem przywołał mimowolnie wspomnienie o matce Fanny, która rytmicznie uderzała się w piersi, zanim niebo runęło im na głowy. – Moja kolej, do licha! Nie jestem niemowlakiem, ale nie zamierzam również zajmować się tobą. Nie teraz. To wojna, Fanny, a nie jakaś przygoda.

– Zawsze twierdziłeś, że to przygoda – przypomniała mu, ale natychmiast przygryzła wargę. Starszy sierżant Hart radził jej trzymać język za zębami. – Przepraszam. Mów dalej.

– Mów dalej? – Rian rozejrzał się po niewielkiej polance, tej samej, na której dwa dni temu lord Brede zaproponował mu przeniesienie do sztabu Wellingtona. Fanny przekreśliła właśnie jego nadzieje. – Niech cię diabli, Fanny! Nie jesteśmy już dziećmi. Nie żyjemy na wyspie. Nie włóczymy się razem po trzęsawiskach wokół Becket Hall. I przyjmij w końcu do wiadomości, że jesteś moją siostrą. Moją cholerną siostrą!

– Nie jestem – szepnęła Fanny. – Nigdy nie byłam twoją siostrą, a ty nigdy nie byłeś moim bratem. Jesteś moim przyjacielem. I... i... kocham cię.

Rian odwrócił się do niej plecami.

– Słodki Jezu – mruknął i podniósł oczy do góry, na korony drzew, przez które przeświecały promienie słońca, stojącego już wysoko na niebie. Od dawna wiedział, że ta chwila nadejdzie, dostrzegał zaślepienie Fanny. Nie był głupi. A może właśnie był? Ale czy to odpowiednia chwila na tak ważną rozmowę? Nie, do licha! Lada chwila mógł pojawić się Brede.

Rian odwrócił się i wyciągnął rękę, żeby pomóc Fanny wstać.

– Nie ma teraz na to czasu. Starszy sierżant zaaranżował twój wyjazd do Brukseli wraz z pozostałymi kobietami, ruszacie jutro albo pojutrze, najdalej za trzy dni. Czy masz w bagażu jakąś suknię? Nie możesz zostać w mundurze. Nie zgadzam się na to.

Zgodnie z jego przewidywaniem desperacja Fanny zmieniła się natychmiast w płomienny gniew. Często się ze sobą kłócili, ale również śmiali się razem i razem płakali.

– Nie zgadzasz się na to? A kim ty właściwie jesteś, Rianie Becket? Możesz się uważać za mojego brata, ale nie jesteś moim ojcem. Nie masz prawa mi dyktować, co mam robić. Ja się na to nie zgadzam!

– A więc masz suknię. Nie wpadłabyś w taką złość, gdybyś nie miała na dnie plecaka zwiniętej kiecki. – I zanim zdążyła temu zapobiec, złapał plecak Fanny, rozpiął go i wytrząsnął jego zawartość na trawę. – Jest! Ale o zabranii szczotki i mydła nie pomyślałaś. – Podniósł zgniecioną suknię i jej podał. – Wejdz między drzewa i włóż ją.

– Nie.

– Fanny...

Przycisnęła do piersi zwój muślinu i spojrzała na niego spod na wpół opuszczonych powiek.

– Nienawidzę cię.

– O rany! Widzę, że wkroczyłem w sam środek kłótni kochanków. Proszę przyjąć przeprosiny, poruczniku Becket.

Rian zmełł w ustach przekleństwo. Brede. Ten człowiek naprawdę poruszał się bezszelestnie.

Fanny odwróciła się i spojrzała na mężczyznę, opartego nonszalancko o pień drzewa za jej plecami. Miał na sobie ciemnoszary płaszcz i długi biały szal na szyi. Jego rozjaśnione słońcem włosy opadały w nieładzie na policzki. Spod nisko opuszczonych brwi spoglądały na nią rozbawione, orzechowe oczy. Miał prosty, nieco szeroki nos i lekki zarost. Niezapalone cygaro tkwiło w kąciku szerokich ust, nadając mu łotrzykowski wygląd.

A patrzył na nią tak, że Fanny zapragnęła znaleźć się z powrotem w Becket Hall. W swoim łóżku skryta pod kołdrą.

– Poruczniku? – Odepchnął się od pnia drzewa i ruszył ku nim z leniwym, niemal impertynenckim wdziękiem. – Nie przedstawi mnie pan... damie?

Sfrustrowana Fanny objęła głowę rękami.

– Czy naprawdę nie zdołam zwieść nikogo? Obciąłam włosy. Włożyłam mundur. Jestem brudna!

Mężczyzna wyjął z ust cygaro i lekko się nad nią pochylił.

– A w dodatku przesiąkła pani końskim potem, niestety. Becket? Proszę o wyjaśnienia. Natychmiast. Przed zapadnięciem nocy muszę być w Brukseli, z panem albo bez pana. Mamy wojnę, jeśli pan zapomniał. Nie czas na prywatne utarczki.

Fanny zerknęła na Riana, dostrzegła na jego policzkach rumieniec gniewu. Nie była idiotką. Zrozumiała, że czemuś przeszkodziła i jej obowiązkiem było spróbować to naprawić.

Wyciągnęła rękę z typową dla siebie bezpośredniością.

– Nazywam się Fanny Becket, sir. Obawiam się, że w tej sprawie cała wina leży po mojej stronie. To był impuls. Wymyśliłam tę... maskaradę, żeby pojechać za bratem. A teraz, jeśli mi pan wybaczy...

– To pańska siostra, Becket? – zapytał Brede, ignorując wyciągniętą dłoń dziewczyny. – Rozumiem, że Jackowi zależy także i na niej? Mam rację? Chryste! Szkoda, że swego czasu nie pozwolił wrogom mnie zastrzelić. To byłby akt łaski w porównaniu z tym! Nie nadaję się na opiekuna gromady niesfornych dzieciaków. Becket?

– Tak jest, sir! Już zostały poczynione odpowiednie kroki w jej sprawie, milordzie. Mogę jechać, kiedy tylko pan zechce.

Mogę jechać?! Fanny aż zatrzęsała się z oburzenia. Odgrażała się w duchu, że Rian dużo za te słowa zapłaci. Ale nagle zmarszczyła brwi i jeszcze raz spojrzała na tego osobliwego mężczyznę. Milordzie? Jaki znowu milordzie? – zastanowiła się. Ale te oczy, ten kulturalny sposób mówienia...

– Zostawi pan siostrę, Becket? Może jednak nie jest pan człowiekiem, o jakiego chodzi Wellingtonowi.

– Nie! Nie! – Fanny bezceremonialnie wtrąciła się do rozmowy, gdy tylko padło nazwisko Wellingtona. Wiedziała, że Rian darzył Żelaznego Księcia prawdziwym uwielbieniem. Padła na kolana i zaczęła gwałtownie wpychać do

plecaka swoje manatki. – Naprawdę, milordzie, to wyłącznie moja wina, a Rian zorganizował już mój wyjazd. Będę całkowicie bezpieczna. Proszę go ze sobą zabrać.

Rian położył ręce na ramionach siostry i podniósł ją z ziemi, choć chowała akurat do plecaka zdecydowanie kobiece fragmenty bielizny.

– Nie, Fanny, Becketowie nie płaszcą się przed nikim. Nawet przed lordem Brede. Ponoszę odpowiedzialność za ciebie. Milordzie, jestem panu niezmiernie wdzięczny za wstawiennictwo i dziękuję za trud, jaki pan sobie zadał, ale zostanę tutaj, dopóki moja siostra nie wyjedzie do Brukseli wraz ze wszystkimi kobietami, co ma nastąpić w ciągu najdalej trzech dni.

Brede wetknął ponownie cygaro w kącik ust i szyderczo zaklaskał w dłonie.

– Brawo, poruczniku Becket. Ta nieco spóźniona gotowość do poświęcenia z pewnością zostanie doceniona przez pańską siostrę. Panno Becket, chwilowo może pani pozostać w mundurze. Oboje macie być gotowi do drogi za dwadzieścia minut. I ani chwili dłużej.

– Ale, sir...

– Becket, niech pan nie każe mi żałować tej odrobiny miłosierdzia. Choć, między nami mówiąc, już jej żałuję, i to bardzo. Pojedziemy do Brukseli, do mojego wynajętego domu. Pańska siostra zostanie tam zamknięta, gdyby protestowała to nawet pod kluczem, a my dwaj zajmiemy się swoimi sprawami.

Fanny miała ochotę uściskać tego mężczyznę, ale, oczywiście, prędzej by zginęła, niż zrobiła coś takiego.

– Dziękuję, milordzie.

Wyjął z ust cygaro, spojrział na nią z góry i uśmiechnął się.

– O, nie, panno Becket, proszę mi nie dziękować. Potem pani tego pożałuje.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Wjechali do Brukseli, gdy słońce chowało się za dachami kamieniczek w centrum pulsującego życiem miasta, które pękało w szwach od napływu tłumu imbecyli, jak ich nazywał w myślach Valentine.

Idioci. Gamonie. Może nawet zamierzali wyjechać za miasto w swoich otwartych powozikach i urządzić sobie piknik na jakimś trawiastym pagórku z widokiem na pole bitwy, by w komfortowych warunkach obserwować masakrę?

Chwilami Valentine Clement z całego serca gardził rodakami. Ale może to skutek zmęczenia wojną. Tym, czego był świadkiem i co robił.

Przez ostatnie godziny zamienił zaledwie kilka słów z porucznikiem Rianem Becketem i jeszcze mniej z jego siostrą. Przez całą drogę rozmyślał o tym, czego dowiedział się podczas ostatniego wypadu na terytorium Francji, i zastanawiał się, jak swoją wiedzę przekazać Wellingtonowi.

W sztabie panowało powszechne przekonanie, że do bitwy pozostało jeszcze wiele tygodni, więc oddziały rosyjskie i austriackie zdążą dotrzeć na czas i wzmocnią siły Brytyjczyków i Prusaków, przez co decydująca bitwa zmieni się w raut.

A jeśli to on miał rację, a oni wszyscy się mylili? Co wtedy? – zastanowił się. Gdyby sprawdziły się przewidywania Valentine'a, to nawet Prusacy Blüchera mogliby nie zdążyć i Wellington musiałby samotnie stawić czoło siedemdziesięcioletniej armii. Zmierzyć się z doskonale wyszkolonymi francuskimi weteranami i, co gorsza, z najbardziej utalentowanym, charyzmatycznym dowódcą wszech czasów.

Tymczasem zamiast skupić się na doborze odpowiednich słów i przekonujących argumentów, Valentine musiał niańczyć samowolną pannicę, która miała na głowie więcej włosów niż rozumu, chociaż wystrzygła się jak owca na wiosnę, bezskutecznie próbując udawać mężczyznę.

Fanny Becket, z takimi kocimi, leciutko skośnymi zielonymi oczami, nie zdołałaby ukryć swojej płci, nawet gdyby wdrapała się na szczyt tamtej dzwonnicy i uwiesiła się iglicy, wyśpiewując „God Save the King”.

Ruch powozów na ulicach zmusił ich do zwolnienia tempa jazdy. Valentine ukrył twarz pod głęboko naciągniętym, sfatygowanym kapeluszem, by nikt go nie

rozpoznał i nie próbował zatrzymać. Chciał jak najszybciej dotrzeć do domu i lokaja. Potrzebował kąpieli i gorącego posiłku. Nie zamierzał tracić czasu na próżną gadaninę z jakimś spragnionym plotek arystokratą, który pragnął pochwalić się najświeższymi informacjami podczas wieczornego przyjęcia czy balu.

Za plecami Valentine'a rozległ się tłumiony śmiech. Odwrócił się gwałtownie w siodle z zamiarem przypomnienia pannie Becket, że osoba o jej pozycji nie ma zbyt wielu powodów do radości, ale niespodziewanie dla samego siebie uśmiechnął się. Dziewczyna wskazywała fontannę z postacią małego chłopca siusiającego do wody.

– To Manneken-Pis, panno Becket – wyjaśnił Valentine. Dziewczyna zarumieniła się i spuściła głowę, żeby ukryć twarz. – Bardzo sławny. Rozśmieszył panią?

– Nie, milordzie – wymamrotała, a Rian Becket po raz pierwszy tego dnia uśmiechnął się szeroko, gotów przyłączyć się do zabawy kosztem siostry. Wydał się nagle bardzo młody.

Dobry Boże, westchnął w duchu Valentine, odwracając się w siodle. Zostałem niańką. Jack, przyjacielu, jesteście kwita. Nawet więcej niż kwita. Trącił piętami boki siwka i w kilka minut później stanął przed frontem wąskiego domu, który wynajął.

Przywiązał wodze swojego wierzchowca do czarnej, żelaznej poręczy przy ulicy i nie czekając, aż pozostałych dwoje zsiądzie z koni, wszedł po szerokich kamiennych schodach i trzy razy uderzył kołatką w jaskrawoczerwone drzwi.

W progu stanął jego służący, Wiggins, w nader swobodnym stroju – bez marynarki, w koszuli rozpiętej pod szyją i bez koronkowego żabotu, w którym zwykle paradował.

– Milordzie! Nie... nie spodziewaliśmy się pana!

– Nigdy bym się tego nie domyślił – warknął Valentine sarkastycznie, minął niskiego rudego mężczyznę i wszedł do niewyobrażalnie ciasnego holu. – Wyciągnij kucharza z łóżka, Wiggins, umieram z głodu. – Odwrócił się i wskazał wzrokiem dwoje podopiecznych. – I zrób coś z nimi, z łaski swojej.

– Zrobić coś, milordzie? – zwrócił się Wiggins do pleców swego pana, który już wbiegał po schodach, po czym z wymuszonym uśmiechem spojrzał na Fanny i Riana. – Czy zechcieliby... umm... panowie udać się za mną?

– Pan jest tylko jeden i zechciałby z pewnością, Wigginsie – odparła Fanny swobodnym, familiarnym tonem, do jakiego przywykła w domu Becketów, gdzie do służących odnoszono się jak do członków załogi. Ceremoniał obowiązujący

w kontaktach londyńskiej arystokracji ze służbą był jej zupełnie obcy. Tęsknie spojrzała w górę na puste już schody. Ciekawe, czy w tak niewielkim domu mogła się znajdować więcej niż jedna wanna? – Natomiast ja, dama kryjąca się pod tym brudnym uniformem, byłabym wdzięczna za wskazanie mi pomieszczenia, w którym mogłabym zmyć z siebie brud. Czy to możliwe, Wigginsie? Proszę...

Służący podniósł osadzoną na krótkiej szyi głowę i wytrzeszczył oczy.

– Dama, sir? Nigdy bym się nie domyślił.

Fanny spojrzała na brata.

– Widzisz, Rianie, jednak udało mi się kogoś zwieść. Choć w najmniej odpowiednim momencie...

Rian wziął służącego pod łokieć i odprowadził go na drugi koniec holu... czyli na niezbyt wielką odległość.

– Moja siostra, panna Becket, powinna natychmiast coś zjeść, wykąpać się i przebrać. Najpilniejsza jest zmiana ubrania. Jak sądzisz, Wigginsie, co dwaj inteligentni dżentelmeni, tacy jak my, mogą w tej sprawie zrobić, hmm?

Fanny nie podnosiła głowy, udając, że nie słyszy. Wiggins był wyraźnie zatroskany.

– Nie wiem, sir. Mówi pan, że to pańska siostra?

– Wiggins!

Cała trójka stojąca w holu gwałtownie poderwała głowy do góry. Na podeście schodów stał lord Brede w samych spodniach i koszuli. Zrzucił przez poręcz złożoną kartkę.

– Zanieś to mojej siostrze na Rue De La Fourche, z łaski swojej. I przyprowadź ją tutaj. Nie przyjmuj odmowy, bo każę cię wychłostać. I gdzie, do cholery, jest moja kolacja?

Clement zniknął ponownie, czemu towarzyszyło trzaśnięcie drzwi. Fanny przewróciła oczami z niesmakiem.

– Co za potwór! – Spojrzała na Wigginsa, który pośpiesznie dopinał górne guziki koszuli. – Rób, co ci każe, bo gotów cię rozszarpać. My z bratem sami znajdziemy drogę do kuchni. Nie musimy uciekać się do ryku, żeby napęłnić brzuchy. I przyślemy coś do jedzenia jaśnie panu, zanim rozniesie cały dom.

W duszy Wigginsa najwyraźniej toczyła się walka między poczuciem lojalności wobec pana a obowiązkiem dostarczenia trzymanego w ręku listu jego siostrze.

– Ja... to znaczy... dziękuję, panienko. Chciałbym móc obiecać, że wrócę za chwilę, ale Bóg mi świadkiem, że dla lady Lucie nawet dziesięć słów to za mało, by powiedzieć dzień dobry, więc nie potrafię określić, kiedy będę z powrotem. – Wyciągnął prosty, brązowy surdut z za niewielkiej marmurowej statuetki greckiej bogini i narzucił go na ramiona. – Czy jego lordowska mość mówił coś o... To znaczy, on zazwyczaj nie jest taki... taki wyniosły. Czy już niedługo należy się spodziewać bitwy?

– Wszystko na to wskazuje – odpowiedział Rian. Otworzył wąskie drzwi, za którymi znajdowały się równie wąskie schody prowadzące w dół. Zapachy stamtąd dochodzące wskazywały, że znalazł drogę do kuchni. – A więc twój pan nie jest zazwyczaj tak nieprzyjazny?

– O, nie, panie Becket. Proszę tak nie myśleć! – Wiggins puścił do niego oko. – Zawsze jest nieprzyjazny, ale zwykle lepiej to ukrywa. Doskwiera nam brak służby, bo do miasta zjechały tłumy gości, więc bardzo dziękuję za pomoc, sir. Trzeba go nakarmić. Jak najszybciej.

Fanny nie dorastała nawet do pięt swej siostrze Elly, jeśli chodzi o prowadzenie gospodarstwa domowego, choć często miała okazję ją obserwować. Spędziła w kuchni Becket Hall wiele długich godzin, jako że za rozmaite występki karano ją najczęściej obowiązkiem skrobania marchwi, więc była niezłe obeznana z rytmem i organizacją zajęć kuchennych. Wystarczyła godzina, a Fanny dzięki samym uśmiechom i gestom zaprzyjaźniła się z tęgą starą kobietą imieniem Hilda, która nie znała ani słowa po angielsku. Fanny natomiast nie mówiła po niemiecku ani w żadnym z języków, którymi zwracała się do niej kucharka. Opłukała twarz i ręce w kuchennym zlewie, wepchnęła do ust kilka rozkosznie tłustych plastrów szynki i dopilnowała, by zaniecono suto zastawioną tacę Ogrowi z Wieży, jak ochrzciła w duchu lorda Brede.

Zakurzoną, czerwoną kurtkę od munduru powiesiła na oparciu krzesła, usiadła przy pociętym, drewnianym stole kuchennym, założyła nogę na nogę i po raz kolejny zaczęła namawiać Riana, żeby przestał się dąsać i wreszcie coś zjadł.

Rian potrząsnął głową.

– Nie zdajesz sobie nawet sprawy, jak mi wszystko skomplikowałaś. Ale ty jesteś zadowolona, prawda? Tylko to się dla ciebie liczy.

– To nieprawda, Rianie! – zaprotestowała gorąco Fanny i wycelowała w brata widelec, który nie stanowił jednak poważnego zagrożenia, bo na jego zęby nadziany

był pieczony ziemniaczek. – Przecież cię przeprosiłam. Zresztą nic straszego się nie stało. Zobaczyłam się z tobą, jestem tu, z Ogrem, bezpieczna, a ty rano dołączysz do sztabu Wellingtona, więc nie ma powodów do zmartwienia. Wziąwszy to wszystko pod uwagę... – Włożyła do ust ziemniaczek i przesunęła go w głąb policzka. – ...jeśli pominąć karę, jaka z pewnością mnie czeka po powrocie do Becket Hall, uważam swoje przedsięwzięcie za sukces.

Rian zrezygnował z ponurych min i uśmiechnął się.

– O ile pamiętam, to uznałaś również za sukces skok przez płot złożony z pięciu szczebli, choć spadłaś, złamałaś rękę i do końca wakacji nie mogłaś jeździć konno. Ale sztab Wellingtona, Fanny! Wyobrażasz sobie? Będę w samym centrum wydarzeń!

Fanny oparła łokieć na stole i złożyła brodę na dłoni. Rian był o sześć lat starszy od niej, ale był bardzo młody.

– Jak sądzisz, co będziesz tam robił?

– Jack zapewnił w liście lorda Brede, że potrafię jeździć na wszystkim, co ma cztery, a nawet i trzy nogi. Wziąwszy pod uwagę, że nie mam zielonego pojęcia o strategii i marszałek polowy raczej nie zechce zasięgać mojej opinii w jakiegokolwiek kwestii, to chyba będę po prostu jednym z adiutantów, dostarczających rozkazy Wellingtona generałom na pole bitwy. Jupiter sprawi się doskonale. Może nie jest najszybszym koniem, ale ma serce do walki i pójdzie nawet w ogień.

Fanny nadziała na widelec ostatni ziemniaczek i włożyła go do ust, więc pytanie wybełkotała niewyraźnie.

– Więc będziesz bezpieczny na tyłach?

– Przestań, Fanny. – Rian potrząsnął głową. – Tak, będę bezpieczny. Z wyjątkiem tych chwil, gdy znajdę się sam pomiędzy naszymi stanowiskami. Wtedy mogą się dziać rzeczy interesujące.

– Mówisz tak, żebym się nie martwiła. – Fanny zaniósła swój talerz i sztucce do zlewu, w którym piętrzyły się już nakrycia i garnki. – Pamiętaj, żeby podczas jazdy pochylać się jak najniżej nad szyją Jupitera i nie wystawiać się niepotrzebnie na ostrzał.

Rian odniósł do zlewu talerz i podziękował Hildzie uśmiechem.

– Powiedz, Fanny, ile razy prześcignąłem Straż Wybrzeża na trzęsawiskach?

Fanny rzuciła szybkie spojrzenie na Hildę. Nie podejrzewała, by kucharka mogła cokolwiek zrozumieć, ale i tak odpowiedziała Rianowi szeptem. Becketowie nauczyli się nie ufać ludziom.

– Rajdy z Czarnym Duchem i wymykanie się pogoni Straży Wybrzeża podczas ochrony wyładunku to nie to samo, co stawienie czoła armii Bonapartego, Rianie Becket. Proszę cię tylko, żebyś nie stawał na szczycie wzniesienia, doskonale widoczny na tle jasnego nieba i nie wymachiwał kapeluszem, to wszystko.

Rian pochylił się i cmoknął ją w policzek.

– Ależ z ciebie stara nudziara! Nie dam się zabić żołdakom Bonaparcika. Bez obaw.

Fanny zacisnęła powieki i stłumiła szloch.

– Och, Rianie...

Położył palec na ustach i odwrócił się w stronę wąskich schodów. W chwilę później pojawiła się na nich najpierw para nóg, a wkrótce potem cała reszta Wigginsa. Służący nie wyglądał zbyt radośnie.

– Siostra jego lordowskiej mości już przybyła i jest z bratem w salonie. Będą państwo łaskawi dołączyć.

– Czy Ogr nadal odgryza ludziom głowy, Wigginsie? – Fanny pośpiesznie zdjęła kurtkę mundurową z oparcia krzesła i wsunęła ręce w rękawy. – A może obfity posiłek udobruchał nieco krwiożerczą bestię?

– Bardzo zabawne, panienko – stwierdził Wiggins bez cienia uśmiechu. – Proszę za mną.

Rian popychał przed sobą chichoczącą nerwowo Fanny, a potem odprowadził ją na stronę i poślinionymi rękami próbował nieco przyglądzić jej sztywne z brudu, krzywo obcięte włosy.

– Zapamiętaj sobie, Fanny. Ani słowa sprzeciwu, cokolwiek by powiedział. Jak ostrzegał starszy sierżant Hart, nawet przysłowiowe szczęście Irlandczyka czasami zawodzi.

Fanny kiwnęła głową, nie chciała zdradzić swojego zdenerwowania. Czy zostanie wsadzona na statek i odesłana z powrotem do Becket Hall? Czy to wszystko było na nic? Czy Ogr zamierzał się jej pozbyć?

Razem weszli do niewielkiego salonu.

– A więc jednak są. To nie był koszmarny sen. Jaka szkoda – mruknął Brede, stojący przy zimnym, wygaszonym kominku. Rian wyprężył się, stuknął obcasami i zasalutował. – Tak, tak, bardzo ładnie, poruczniku, dziękuję. Jest również niesamowita panna Fanny Becket. I wygląda tak samo przygnębiająco.

Fanny już otworzyła usta, ale poczuła na żebrach łokieć Riana, więc tylko skłoniła lekko głowę przed jego lordowską mością w ironicznym powitaniu.

– Na gwiazdeczki, Valentine! Chyba kpisz sobie ze mnie? Naprawdę spodziewasz się, że coś z tym zrobię? Tak napisałeś w liście, prawda? Na gwiazdeczki!

Fanny przeniosła uwagę na drobną młodą kobietkę siedzącą na sofie. Dama podniosła akurat do ust koronkową chusteczkę z czarną obwódką, osłaniając nieco zaokrąglony podbródek. Uznała ją raczej za przystojną niż piękną, choć ubraną w najmodniejszą żalobną suknię.

Brede również był w czerni, tylko śnieżnobiała koszula błyszczała na tym tle jak skrzydło mewy. Długie ciemnoblonde włosy zaczesał do tyłu. Nawet w wyszarganym, szarym płaszczu, brudny i zmęczony, robił imponujące wrażenie. Teraz, w eleganckim stroju, był wręcz porażający. I te oczy...

– Madame. – Fanny wykonała coś pośredniego między męskim ukłonem a kobiecym dygnięciem, przez co o mało nie potknęła się o własne stopy. Lord parsknął śmiechem.

– Widziałeś to, Valentine? Och, na gwiazdeczki!

– Lucille, byłbym zobowiązany, gdybyś oszczędziła nam swoich irytujących wykrzykników. Pozwól sobie przedstawić porucznika Riana Becketa i pannę Fanny Becket. Poruczniku, panno Becket, to moja młodsza siostra, lady Lucille Blight, wdowa po nieopłakiwanym przez nikogo wicehrabim Whalleyu. Lucille doskonale czuje się we wdowiej czerni, prawda? Panno Becket, proszę w przyszłości nie powtarzać tego manewru, bo może pani zrobić sobie krzywdę.

– Nie bądź złośliwy, Valentine – powiedziała kobieta i machnęła w stronę Fanny. – Proszę, mów mi Lucie. Wszyscy tak do mnie mówią. Poza Valentine'em, ale na niego nie zwracam uwagi, choć w sprawie biednego Williama ma całkowitą rację. Nie wiem, co we mnie wstąpiło, że uparłam się za niego wyjść i to wbrew protestom mojego kochanego braciszka. Pił na umór i uganiał się za spódniczkami. Och, nie rób takich min, Valentine, wszyscy o tym wiedzą. Jaki ten porucznik jest ładniutki! Valentine, sam powiedz, czy on nie jest ładny? Może daj mi jego, a dziewczynę zatrzymaj dla siebie? Ty przeważnie też chodzisz ubrany jak obszarpaniec. Toż ona ma na sobie spodnie! Na gwiazdeczki!

Fanny nie zdołała powstrzymać pełnego urazy prychnięcia.

– Dziękuję, madame – powiedział natychmiast Rian, żeby zatuszować niegrzeczność siostry, i skłonił się. – Milordzie, jeszcze raz przepraszam za ogromne niedogodności, jakie sprawiliśmy panu wraz z siostrą. Pragnę zapewnić, że jestem w pełni świadom, ile cierpliwości oraz...

– Och, na litość boską, zamknij się, Becket – rzucił z niechęcią Brede, nie odrywając oczu od Fanny. – Lucille, co o tym myślisz? Da się coś uratować?

– Do sobotniego balu u księżnej Richmond? To już za cztery dni! Nie sądzę, Valentine. Na gwiazdeczki, czy naprawdę się spodziewasz, że dokonam cudu?

Brede uśmiechnął się leciutko.

– Cudu, Lucille? Czyżby obecna tu panna Becket wydawała ci się tak beznadziejna?

Lucie przygryzła palec wskazujący i przyjrzała się badawczo Fanny, rozdartej pomiędzy rozbawieniem a pokusą, by zadusić Ogra jego własnym, śnieżnobiałym krawatem.

– Wydaje mi się, że kąpiel mogłaby trochę pomóc. A potem poproszę Frances, żeby spróbowała coś zrobić z jej włosami. Kilka przecznic stąd jest świetna modystka... Dobrze, Valentine, skoro muszę, to zgoda. Zmobilizuję wszystkie siły i zrobię, co w mojej mocy.

Ostatnie słowa zostały wzmocnione tragiczną pozą i zamierającym głosem osoby na skraju całkowitego wyczerpania. Fanny zerknęła na Riana, którego ramiona drżały od powstrzymywanego śmiechu.

– Moja dzielna Lucille. Twój wysiłek zostanie wynagrodzony przy kolejnej kwartalnej wypłacie – oznajmił Brede krzepiącym tonem, zastanawiając się równocześnie, czy prawidłowo ocenił ostatnią pozycję wojsk Bonapartego i czy uda mu się tam dojechać, nie zaglądając w paszczę jednej z francuskich armat. – Możesz odejść.

Lady Whalley zerwała się na równe nogi, najwyraźniej poirytowana.

– Odprawiasz mnie? Najpierw odrywasz mnie siłą od znakomicie przyrządzonego kotleta jagnięcego, żeby potem tak bezceremonialnie odprawić? Doskonale. – Ponownie zwróciła spojrzenie na Fanny. – Do jutra. Ale nikomu jej nie pokazuj, dopóki nie dokonam tego cudu, o który prosiłeś. Przyprawdź ją do mnie jutro około jedenastej. Drzwiami dla służby. Czystą, w miarę możliwości.

I lady Whalley opuściła pokój z szelestem czarnych spódnic, ciągnąc za sobą smugę perfum. Fanny nie pofatygowała się, by uklonić się czy dygnąć na pożegnanie. Wpatrywała się morderczym wzrokiem w Ogra.

– Nieodrodna siostra swojego brata.

Brede zignorował ją całkowicie, jak marudnego bachora.

– Poruczniku, jutro punktualnie o ósmej rano wyruszamy do sztabu. Zostanie pan zakwaterowany w kwaterze głównej wraz z pozostałymi adiutantami księcia, co oznacza niezłe wyżywienie i suche łóżko. Radzę panu w najbliższych dniach wykorzystywać każdą okazję do wyjazdu poza miasto, by zapoznać się z topografią terenu, szczególnie na południe od Brukseli, w kierunku Quatre Bras i Ligny. Spodziewam się, że przez następny tydzień czy dwa będzie pan dość często wysyłany w tamte rejony. Proszę mieć oczy szeroko otwarte i wypatrywać wysuniętych oddziałów Bonapartego. Ostatnio odkryłem jeden zaledwie o parę mil od Givet. Napoleon zna te tereny, parę lat temu był tu ze swą armią. Nie będzie czekał, aż po niego przyjdziemy, wolałby nie walczyć na francuskiej ziemi. Ale w tej chwili niech pan wyciągnie Wigginsa z kryjówki, w której się zaszył, i każe sobie wskazać pokój. To samo dotyczy pani, panno Becket.

– Chcę się wykapać – odważyła się powiedzieć Fanny.

– Jeśli pyta mnie pani o zdanie, to w pełni popieram. W tym domu są poza panią jeszcze jakieś kobiety, z pewnością widziałem przynajmniej dwie. Niech pani znajdzie którąś z nich i poprosi ją o kąpiel. Może trudno to pani pojąć, panno Becket, ale ja mam inne sprawy na głowie.

Fanny zacisnęła ręce w pięści i patrzyła, jak lord Brede opuszcza pokój w taki sam sposób jak jego siostra parę chwil wcześniej. Trzaśnięcie drzwi prowadzących na ulicę dało jej radosną pewność, że wyszedł.

Odwróciła się do Riana i uśmiechnęła.

– Tata byłby nim zachwycony, nie sądzisz?

Rian potrząsnął głową.

– Tak, pod warunkiem że by go wcześniej nie zabił.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Wiggins dokonał małego cudu, pomyślała Fanny następnego dnia, wkładając świeżo upraną i wyprasowaną suknię. Tę samą, którą przed wypłynięciem do Ostendy zwinęła w kłębek i wepchnęła na dno plecaka. Poprzedniego wieczora, kiedy wykąpała się i wsunęła między czyste, pachnące świeżością prześcieradła, poczuła się znowu jak istota ludzka. Żałowała tylko, że spała kamiennym snem do dziewiątej i nie zdążyła pożegnać Riana.

Ale nie miała wątpliwości, że znowu go odnajdzie. Przecież już raz tego dokonała, prawda?

Po śniadaniu zeszła na dół. Ledwo weszła do niewielkiego saloniku, lord Brede do niej dołączył.

Miał na sobie bryczesy z koźlącej skórki i granatowy żakiet z najlepszej wełny, a w prawej ręce trzymał szpicrutę. Pachniał końskim potem, tytoniem i słońcem, domyśliła się, że dopiero wrócił po odstawieniu Riana do siedziby Wellingtona.

– Milordzie. – Powitała go lekkim dygnięciem. – Rian jest już w...

– Ciii. – Szpicrutą uniósł jej głowę i poddał szczegółowym oględzinom. Potem zaczął powoli obchodzić ją dookoła, a Fanny zmuszona była przesuwać się wraz z nim, dopóki nie cofnął szpicrutę. Następnie przesunął ją po skromnie okrytym ramieniu, potem przez plecy, aż do nasady jej szyi i dopiero kiedy stanął znowu naprzeciw niej, opuścił szpicrutę. – Tego się obawiałem – oznajmił w końcu. – Włosy nadal stanowią problem, naturalnie, ale w tej sukni wygląda pani całkiem ładnie, panno Becket.

Niech on przestanie patrzeć w ten sposób! – pomyślała. Przez to spojrzenie na jej policzki wypłynął rumieniec wstydu.

– To... to pana martwi, milordzie? – zapytała, nie mogąc oderwać od niego oczu.

– To mnie niepokoi, panno Becket – oświadczył, po czym gwałtownym ruchem odwrócił się i sięgnął po złożoną gazetę. Zdecydowanie wolał czytać niedorzeczne informacje zamieszczane w prasie francuskiej, niż spoglądać w te egzotyczne, zielone oczy. – To różnica. Ile ma pani lat?

Fanny zjeżyła się natychmiast, ale zaraz przypomniała sobie, że był miły dla Riana i nie wspomniał ani słowem o odesłaniu jej do Anglii.

– Dwadzieścia, milordzie.

Chciała, żeby już sobie poszedł. Wystarczająco niepokojące było spoglądanie w te znużone orzechowe oczy, ale kiedy jej wzrok zsunął się na pełne wargi... Wiedziała tylko, że lord Brede wprowadził ją w zmieszanie. Ogromne zmieszanie.

– Dwadzieścia? No, no. – Brede odłożył gazetę na stolik i znowu na nią popatrzył. – Niemal staruszka.

– Nie taka stara jak pan, milordzie – wypaliła.

– To prawda, panno Becket. Mam trzydzieści dwa lata, ale rano czuję się z reguły dwa razy starszy. Na przykład dzisiaj. Proszę powiedzieć, czym urznęła pani te śliczne blond włosy? Tępym sierpem?

– Frances to wyrówna.

Brede zmarszczył brwi.

– Słucham? Co za Frances?

– Pokojówka pańskiej siostry. Pana siostra wymieniła wczoraj to imię. Nie słuchał pan?

– Nauczyłem się puszczać mimo uszu paplaninę Lucille – przyznał Brede i w końcu na jego ustach pojawił się uśmiech. – To samo zalecam i pani. Jeszcze mi pani za tę radę podziękuje. Proszę nigdy nie słuchać Lucille. Ona może wpędzić człowieka w depresję.

– Doprawdy? Na gwiazdeczki! – zawołała Fanny i zaśmiała się.

Brede śmiał się wraz z nią, co wprowadziło w osłupienie Wigginsa, który akurat w tym momencie stanął w drzwiach. Najwyraźniej rzadko zdarzało mu się widywać pana w tak dobrym humorze.

– Hm... milordzie? – odezwał się pytającym tonem, jakby nie był pewien, czy ten roześmiany mężczyzna to rzeczywiście jego pryncypał.

– Tak, Wigginsie. – Brede uspokoił się. – Przyszedłeś zawiadomić, że powóz czeka, tak? Ale panna Becket wyraziła pragnienie poznania miasta. Pójdziemy do lady Whalley na piechotę.

Fanny spojrzała na niego pytająco. O co mu znowu chodziło?

– Hm... oczywiście, sir.

– Widzę, że moje życzenia zyskują twoją aprobatę, Wiggins. To pocieszające. – Brede podał ramię Fanny, która po króciuteńkiej chwili wahania wsunęła rękę w zagięcie jego łokcia. – Nie będziemy wspominać o żalonym braku czepka, panno Becket.

– Właśnie o tym wspomnieliśmy, milordzie – zauważyła zuchwale. Wiggins rzucił się otworzyć przed nimi drzwi na ulicę. – O, jaki piękny dzień. Niech pan spojrzysz na te cudowne, stare domy. I na te kwiaty, we wszystkich kolorach. Wszędzie! Aż trudno uwierzyć w nadchodzące niebezpieczeństwo, prawda?

– Rzeczywiście, jest bliskie – przyznał Brede i spojrzał na uniesioną do słońca twarz Fanny. Kiedy była zakurzona i brudna, wydała mu się interesująca, prawie egzotyczna. Woda i mydło dokonały prawdziwego cudu, twarz dziewczyny wręcz promieniała urodą. Była młoda, pełna życia. Wydawała się nieustraszona i niebezpieczna.

Nie! Cóż to za myśli? Chyba był kompletnie wykończony po wielomiesięcznym śledzeniu poczynań Napoleona na terenie Francji. Zestarzał się. I zbyt długo obywatel się bez kobiet.

Albo oszalał.

Tym bardziej że zapragnął znowu wywołać uśmiech na twarzy Fanny Becket.

Fanny tymczasem odczuwała bliskość lorda Brede, idąc z nim pod rękę ulicą pełną dam w pięknych sukniach i czepkach oraz grup żołnierzy w rozmaitych mundurach.

– Nigdy nie widziałam tak wielkiego miasta, milordzie – powiedziała Fanny, żeby przerwać pełne napięcia milczenie.

– Nie była pani w Londynie?

– Nie. Byłam tylko w Dover. Raz. Największym budynkiem, jaki w życiu widziałam, był Becket Hall. To całkiem spory dwór, ale chyba ze trzy razy mniejszy od tamtego domu po drugiej stronie placu, nawet gdyby dorzucić jeszcze Becket Village. Straszna ze mnie prowincjuszka, prawda?

– Postaram się wybaczyć pani ten grzech pod warunkiem, że nie będzie pani wspominała o tej okropności w towarzystwie – odparł Brede i poklepał jej dłoń spoczywającą w zagięciu jego ramienia. – Jack podał mi adres zwrotny w Romney

Marsh. Proszę wybaczyć moją ignorancję, ale sądziłem, że tam żyją tylko owce. I przemytnicy oczywiście, skuszeni bliskością Calais położonego po drugiej stronie wąskiego przesmyku. Zapewne pani rodzina raczy się od czasu do czasu francuskim koniakiem.

– Nie mam pojęcia – zapewniła Fanny pośpiesznie. – Mój ojciec i rodzina mają inne cele. Jack również, bo po ślubie z Elly zamieszkał z nami. Od dawna zna pan Jacka? My wszyscy za nim przepadamy. A Elly go uwielbia, oczywiście.

Brede wyczuł w głosie dziewczyny pewną nerwowość, jej swobodny, lekki ton wydał mu się sztuczny. Co było dziwne u tak młodej, niewinnej panienki, która nie mogła mieć nic do ukrycia... może poza okropnymi włosami, ale i do nich zaczynał już się przyzwyczajać.

Od wynajętej rezydencji siostry dzieliło ich tylko kilka przecznic, Brede zdawał sobie sprawę, że kiedy Lucille dostanie nieszczęsną dziewczynę w swoje ręce, zniknie szansa na swobodną rozmowę. W dodatku kolejny rozkaz Wellingtona znowu wysyłał go poza miasto.

– Fanny. – Zatrzymał ją przed jednym z budynków.

– Milordzie? – Dopiero w tym momencie spostrzegła, że on jeden spośród wszystkich dżentelmenów na ulicy nie miał kapelusza. Zrobił to dla niej, była tego pewna; skoro ona nie miała czepka, on nie wziął kapelusza. Podziękowałyby mu, gdyby nie przekonanie, że usłyszy w odpowiedzi ciętą ripostę.

– Napisałem do Jacka, że na razie nie mam ani czasu, ani możliwości, by odesłać panią do rodziny. Nie wiadomo, gdzie uderzy Bonaparte. Ani kiedy.

– A mówił pan, że w Quatre Bras albo w Ligny – palnęła Fanny i natychmiast skarciła się w duchu.

– Przyznaję, że może uderzyć właśnie tam. Ale niewykluczone, że to będzie tylko pozorowany atak, mający na celu sprawdzenie, jakimi siłami dysponujemy i gdzie są nasze słabe punkty. Na razie nie ma nawet śladu oddziałów Blüchera. Bonaparte może pomaszerować na północ lub na zachód i stamtąd uderzyć na Brukselę.

– Na pewno nie pójdzie na wschód, bo z tego kierunku należy się spodziewać wojsk rosyjskich i austriackich – zauważyła Fanny, bo poprzedniego wieczora długo rozmawiała na ten temat z Rianem, który narysował jej nawet mapkę na kartce znalezionej w mikroskopijnym gabinecie lorda. A ponieważ zależało jej na pozostaniu w Brukseli, blisko Riana, więc dodała szybko: – Ale może ruszyć na zachód, jak sam pan zauważył, i okrążyć nas. Nie, z pewnością nie mogę jechać teraz do Ostendy, prawda?

Jeden z kącików ust lorda Brede uniósł się w lekkim uśmiechu.

– Nie odsyłam pani do domu, Fanny. Przynajmniej dopóki sytuacja nie stanie się klarowniejsza. Minioną noc mogła pani spędzić pod moim dachem bez uszczerbku dla swej reputacji z uwagi na obecność pani brata, ale teraz, kiedy przeniósł się do kwater sztabu, musi pani zamieszkać u mojej siostry. Moim zdaniem to wystarczająca kara za pogoń za bratem na drugą stronę kanału.

– Moja siostra Morgan twierdzi, że damy z londyńskiej socjety są nieznośnie pretensjonalne. Nie wiedziałam, co to znaczy, dopóki nie poznałam lady Whalley – oświadczyła Fanny z uśmiechem. – Ale proszę się nie martwić, dam sobie radę. Aczkolwiek Morgan pewnie zawiązałaby język pana siostry na supeł już przy trzecim „na gwiazdeczki”!

– Pani rodzina wydaje mi się coraz bardziej interesująca. Nabieram ochoty, by osobiście odwiedzić panią do domu.

Fanny nie przestała się uśmiechać, choć jej żołądek fiknął nagle koziółka. Lord Brede w Becket Hall? Cóż, kiedy przyjdzie czas, znowu będzie musiała potajemnie zniknąć.

– To... cudownie, milordzie.

– Valentine. – Brede nie odrywał spojrzenia od lekko skośnych, zielonych oczu. – Przecież widziałem panią w pantalonach.

– Byłabym wdzięczna, gdyby pan o tym zapomniał – wymamrotała Fanny. Marzyła, żeby wreszcie wypuścić jej rękę i by dotarli w końcu do rezydencji jego siostry. Zaczynał wprawiać ją w zdenerwowanie. Nie tyle tym, co mówił, a raczej sposobem, w jaki na nią patrzył.

– Zgoda. Zgrzebię to wspomnienie w najodleglejszym zakątku pamięci. Ale ponieważ przekonałem się przed chwilą, że pani nie zapomina niczego, co pani usłyszała, pozwolę sobie udzielić kilku wyjaśnień na temat balu u lady Richmond. To jeden z niezliczonych bali, przyjęć i rautów wydawanych przez naszych rodaków w Brukseli, jakby cała śmietanka towarzyska zjechała się tu nagle na jedną wielką imprezę. Sam Wellington wydaje przynajmniej jeden bal w tygodniu. Dotychczas szczęście mi dopisywało i udało mi się większość tych imprez opuścić. Ale balu u księżnej Richmond nie mogę zignorować, nikt nie może sobie pozwolić na odrzucenie jej zaproszenia. Pani również. Pojedzie pani na ten bal z Lucille, nawet gdybym ja nie mógł przyjść.

– Dlaczego? Przecież księżna Richmond nie wie nawet o moim istnieniu.

– Ale zna Lucille. A gdzie wybierze się Lucille, tam pójdzie i pani, Fanny. Przestrzegłem ją, by nie spuszczała pani z oka.

– Jestem urażona – oświadczyła Fanny. – A gdybym dała panu słowo honoru, że nie ucieknę, by... by szukać Riana, to pozwoli mi pan zostać w domu? Nie mam ochoty sterczeć przez cały wieczór w kącie i obserwować, jak inni się bawią, śmieją i opowiadają sobie dowcipy, kiedy cały ich świat się chwieje i w każdej chwili może runąć.

Valentine poczuł się nagle strasznie stary.

– Świat permanentnie znajduje się w stanie chwiejnej równowagi, Fanny, w każdej chwili może runąć.

Wyrwała mu swoją rękę i odwróciła się do niego tyłem.

– Teraz mówi pan jak mój tata.

Brede uśmiechnął się i z trudem oparł się pokusie pogłaskania jej jasnych jak słońce, niemiłosiernie postrzępionych włosów.

– Z całą pewnością nie takie były moje intencje. Tak czy owak, przynajmniej do jutrzejszego wieczora nie będzie mnie w mieście, więc nie musi się pani obawiać, że wpadnę niespodziewanie do domu siostry.

Fanny odwróciła się szybko i położyła mu rękę na ramieniu, ale błyskawicznie się zreflektowała i cofnęła ją natychmiast.

– Pan... Dokąd się pan wybiera?

– To, moja droga, absolutnie nie pani sprawa, prawda?

– Prawda – przyznała Fanny, a w duchu kopnęła się w kostkę za nagłą troskę o tego aroganckiego mężczyznę. Wystarczy, że martwiła się o Riana, którego nastawienie niepokojąco przypominało księżną Richmond, i tych wszystkich, sądzących, że Bonaparte na czele wielotysięcznej armii był niewypowiedzianie ekscytujący.

Fanny nie podzielała ich radosnego oczekiwania. Odkąd Rian opuścił Becket Hall, prześladowały ją koszmarne sny. Sny o tamtym dniu na wyspie. Słyszała krzyki agonii. Widziała biały piasek i upiorne, czerwone kałuże krwi. Czy był związek między grozą sprzed lat i zbliżającą się wojną?

Mogła zapytać o Odette. Z pewnością potrafiłaby wyjaśnić przyczynę tych koszmarnych snów, ale Fanny nie była wcale pewna, czy chciała usłyszeć odpowiedź

na swoje pytania.

Brede uniósł jej podbródek i z uśmiechem spojrzął w oczy.

– Co za powaga na tej drobnej twarzyczce. Martwi się pani o mnie, Fanny? To coś nowego! Lucille zależy jedynie na kwartalnej pensji, jaką jej wypłacam. Wiggins może rzeczywiście trochę się troszczy o moją pomyślność, ale pewnie z obawy, że drugiego tak łaskawego pana nie znajdzie.

– Tak, to oczywiste – rzuciła Fanny, siląc się na lekki ton. – Jest pan przecież łagodny jak baranek.

Kąciki ust lorda Brede drgnęły z rozbawienia. Nie rozumiał, co się z nim działo. Z każdą chwilą czuł się coraz młodszy. Wystarczyło samo spoglądanie na tę dziewczynę, rozmowa z nią, przekomarzanie się... Droczyła się z nim, jakby za nic miała jego pozycję i stanowisko.

Czasami ta wysoka pozycja ciążyła mu jak kamień u szyi.

Najwyższy czas, by Bonaparte zszedł wreszcie ze sceny i pozwolił Valentine'owi wrócić do Londynu, zapomnieć o życiu w nieustannym zagrożeniu i poszukać towarzystwa innego niż jego wierny koń Shadow.

– Zanim przerwała mi pani, próbowałem powiedzieć, że przyjemnie byłoby wierzyć, iż choć odrobinę zależy pani na mojej pomyślności. Czy z takich uczuć wynikało pytanie, dokąd się wybieram?

Fanny zastanowiła się nad własnymi uczuciami. Skąd mogła wiedzieć? I dlaczego miałyby cokolwiek do niego czuć, na litość boską? Więc dlaczego wpatrywała się w tego mężczyznę tak, jakby chciała zapamiętać każdy rys jego twarzy? Dlaczego on patrzył na nią z mieszaniną rozbawienia i czegoś, co uważała za znacznie bardziej niebezpieczne?

– To... Znaczy, ja...

– Tak, oczywiście – powiedział z uśmiechem. Najchętniej starłaby z jego twarzy ten wyniosły uśmieszek. – Tak właśnie myślałem. – Ponownie podał jej ramię i ponownie stał się dziwnie daleki, choć szedł tuż obok...

ROZDZIAŁ ÓSMY

– Nie boisz się go? – Lady Whalley była niemal wstrząśnięta. Popatrzyła na Fanny, po czym machnęła ręką i opadła na satynową sofę, z której zerwała się przed chwilą, przysięgając, że już nigdy nie usiądzie na tym meblu zaprojektowanym przez sadystycznego, zagranicznego diabła. – Niemożliwe, tak tylko mówisz. Udajesz odważną. Wszyscy się boją Valentine’a, szczególnie jego ciętego języka. A jemu w to graj! On wręcz rozkoszuje się ich przerażeniem. Wielki, nieprzystępny lord Brede. Na gwiazdeczki, gdybym nie była jego siostrą, to też obchodziłabym go szerokim łukiem, słowo daję!

Fanny puszczała jej słowa mimo uszu. Posłuchała rady lorda Brede i przez ostatnie dwa dni kiwała tylko głową z miłym uśmiechem, nie słuchając potoków wymowy lady Whalley. Bezwolnie pozwalała się prowadzić do magazynów z różnymi sukniami, pantofelkami, pelisami, płaszczami i jardami satynowych wstążek, których przeznaczenia w większości nie знаła.

Nie miała ochoty słuchać o lordzie Brede.- Jesteś pewna, że nie masz ochoty pojechać na tę paradę, Lucie? – Fanny odwróciła się od okna wychodzącego na ulicę, przy którym wystawała całymi godzinami. – Czuję, że będzie doskonała zabawa. I miałabyś okazję pokazać swój nowy czepek.

Lucie położyła małą stopę na sofie, na której leżała wsparta o co najmniej pół tuzina poduszek.

– Nooo... – mruknęła, przeciągając to króciutkie słówko w nieskończoność. – Chyba mogłybyśmy pojechać. Ale... nie. Valentine zabronił. Zostawił mi bardzo stanowcze polecenia na piśmie. Aż do jego powrotu nie wolno ci się stąd ruszać. To nie potrwa długo, tylko dziś i jutro. Przyznaję, że czasami, jeśli nie ma żadnych rozrywek, to popołudnie wydaje się długie jak tydzień. Ale z drugiej strony, to jednak dom żałoby. Przez tego podłego Williama.

Fanny przysiadła na brzeżku krzesła po drugiej stronie przystawionego do sofy niskiego stolika, położyła ręce na kolanach i postanowiła zademonstrować Lucie ten rodzaj logiki, którym regularnie raczyli ją samą pozostali Becketowie.

– Powiedział, że mam się stąd nie ruszać. Ale o jakie „stąd” mu chodziło, Lucie? Z tego domu? Chyba nie, bo cały wczorajszy dzień spędziłyśmy na mieście, robiąc zakupy. A może z Brukseli? Albo nawet z całej Belgii? Istnieje tyle możliwych interpretacji tego słowa. Powinien to określić bardziej precyzyjnie, nie sądzisz?

Fanny uniosła brwi i obserwowała ładniutką twarz Lucie. Trybiki w niezbyt lotnym mózgu lady Whalley obracały się w szaleńczym tempie.

– Na gwiazdeczki, tak! – Lucie usiadła prosto. – Powinien udzielić mi dokładniejszych wytycznych. To z jego strony prawdziwe zaniedbanie. Gdzie właściwie jest to „stąd”?

– Może założył po prostu, że będziesz tutaj gnić jak strażnik pilnujący aresztanta. – Fanny zamruwała powiekami, przybierając minę niewinnej ofiary. – Ale dlaczego skazał na to ciebie, swoją ukochaną, kochającą siostrę? Dlaczego? To doprawdy przekracza moją zdolność pojmowania. Zupełnie jakby nie liczył się z tobą.

Lucie zerwała się z sofy i zaczęła krążyć po pokoju.

– Co za brutal! Jak on śmiał? Wydaje mi rozkazy, jakby był samym Wellingtonem. Na gwiazdeczki! Cały świat zjechał teraz do Brukseli, wszyscy się bawią, tylko ja jedna siedzę w domu i trzymam pod kluczem całkiem rozsądną młodą damę, choć można już pokazać ją w towarzystwie. Co nie jest jego zasługą, tylko moją. I jak mi za to podziękował? Skazał mnie na siedzenie tutaj i...

– I ogryzanie paznokci? – podrzuciła Fanny i skrzywiła się w obawie, że tym razem przesadziła.

Ale z lady Whalley nie musiała obawiać się przesady, chyba że wyrzybała na ścianie wielkimi literami: Wyprowadzam cię w pole, madame.

– Tak! Właśnie: ogryzanie paznokci! – zawołała Lucie i szarpnęła sznur dzwonka. – Co za bezczelność! Fanny, pobiegnij na górę i każ Frances znieść moje rzeczy. Wychodzimy!

Fanny niemal pofrunęła, żeby wezwać pokojówkę i wziąć swój nowy czepek – śliczne nakrycie głowy z żółciutkiej jak masło słomki ozdobione na rondzie wisienkami – i natychmiast była z powrotem w holu.

Powóz już czekał na ulicy. Fanny rozejrzała się nerwowo na prawo i lewo w obawie, że Brede wyrośnie jak spod ziemi i zniweczy jej wspaniały plan, ale powozik bez przeszkód ruszył spod domu i potoczył się w stronę szerokiej alei.

– Zapomniałaś o parasolce! – stwierdziła Lucie z potępieniem, gdy Frances rozłożyła parasolkę nad jej głową. – Mam kazać podnieść budę? Na gwiazdeczki, mam nadzieję, że tego nie oczekujesz. Nikt nie zobaczyłby mojego nowego czepka. – Zmarszczyła brwi i przyjrzała się nakryciu głowy Fanny. – Nie wiem, czy dobrze zrobiłam, pozwalając ci kupić ten czepek. Podobają mi się te wisienki. Może nawet

bardziej niż moje róże z jedwabiu. Bardzo się cieszę, że William oszczędził już pół roku temu, więc mogę nosić lawendową suknię. Czerń już mi się przejadła.

Fanny uśmiechnęła się i kiwnęła głową. Lucie prawie nie przestawała mówić, milkła tylko na moment, by skłonić się komuś znajomemu, po czym natychmiast raczyła Fanny komentarzami na jego temat.

– Widziałaś jej laskę, Fanny? Na gwiazdeczki, czy ona naprawdę się łądzi, że jeśli owinie laskę satynową wstążeczką, to ktoś zapomni, że jest stara jak świat? O, spójrz, to chyba markiz Daventry? Tak, to on! Doskonale wygląda w mundurze, prawda? Jakież on przystojny! Hej, hej, Banning!

– Chyba cię nie usłyszał, Lucie. – Fanny przygryzła wewnętrzną stronę policzków, by ukryć rozbawienie, ponieważ mężczyzna z całą pewnością usłyszał i spostrzegł lady Whalley, ale pospiesznie zrejterował do najbliższego sklepu.

– Szkoda. Jest wolny, wiesz? I całkiem majątny. Tylko wyciosany z tego samego kamienia co Valentine, więc pewnie już pierwszego dnia po ślubie próbowałby wziąć mnie w karby. No, trudno – westchnęła Lucie. – Zresztą, mamy tu do wyboru mnóstwo fantastycznych mężczyzn. Valentine twierdzi, że powinnam sobie znaleźć kogoś głuchego, ale to tylko takie żarty...

Fanny nie musiała długo udawać zainteresowania, ponieważ Bruksela była największym miastem, jakie w życiu widziała, pełnym rzeczy godnych oglądania i podziwiania. Kilkakrotnie mignęli jej na promenadzie żołnierze w czerwonych mundurach, ale żaden z nich nie poruszał się z taką wrodzoną elegancją i gracją jak Rian.

Kiedy powozik wytoczył się z miasta na gładką drogę biegnącą wśród jaskrawej zieleni traw, Fanny zaczęła obawiać się, że nie znajdzie brata. Żołnierze w szkarłatnych mundurach byli dosłownie wszędzie.

– Stój! – zawołała w końcu. – Spójrz tam, na te ogromne namioty na szczycie wzgórza. To chyba kwatera główna księcia, jak sądzisz?

Lucie wyprostowała się i zmrużyła oczy, patrząc pod słońce.

– Tak, wydaje mi się, że tam może być Wellington. Widzisz te flagi? Wyglądają tak... wojskowo. Myślisz, że twój brat jest przy nim? Ale może widok wdowy w żałobie to zły znak? Wiesz, byłoby lepiej, gdyby William padł w boju, zamiast zwyczajnie zlecieć z konia i rozwalić sobie łeb w rynsztoku. Zostałabym wdową po bohaterze, a tak... Zachował się doprawdy nierozważnie. Ale to cały William, on nigdy o mnie nie myślał.

Fanny otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale nie znalazła odpowiednich

słów.

– O, tam! Widzę Jupitera. Rian musi być w pobliżu. Proszę, każ woźnicy zatrzymać powóz.

– Jupiter? Ale to przecież... Na gwiazdeczki, chyba nie masz na myśli planety? Ani jakiegoś starożytnego boga?

– Lucie, proszę! – zawołała Fanny, bo powóz nadal toczył się drogą. – Naprawdę chcę się tutaj zatrzymać!

Lucie wydała woźnicy rozkaz i karcąco spojrzała na Fanny.

– Jesteś doprawdy w gorącej wodzie kąpana, moja droga. Ja nie wysiądę, bo trawa jest jeszcze wilgotna po porannym deszczu. Możesz wziąć ze sobą Frances i... Na gwiazdeczki! Fanny, zaczekaj, aż stangret opuści schodki.

Ale Fanny spostrzegła Riana, który szybkim krokiem zbliżał się do Jupitera, i koniecznie chciała dotrzeć do brata, zanim wsiądzie na konia i odjedzie. Przez chwilę mocowała się z klamką, gotowa przeskoczyć przez niskie drzwiczki, gdyby nie chciały ustąpić, zdołała je jednak otworzyć i zeskoczyła na ziemię. Jej nowiutkie czarne lakierki natychmiast przemokły, ale nie przejęła się tym i szybko ruszyła pod górę, unosząc spódnice.

– Rian, zaczekaj! – krzyknęła rozpaczliwie. Przez chwilę wydawało jej się, że Rian nie usłyszał wołania lub zamierzał je zignorować. W końcu jednak odwrócił się, oparł ręce na biodrach i z wyraźnym zniecierpliwieniem czekał, aż Fanny wejdzie na szczyt wzniesienia.

– No i kogo my tu mamy? – mruknął tonem dalekim od radości. – Czy jego lordowska mość wie, że zerwałaś się ze smyczy?

– Nie obchodzi mnie, co wie jego lordowska mość! – prychnęła Fanny, nadal unosząc spódnice, ponieważ trawa na wzgórzu była nie tylko wilgotna, ale również usiana końskimi odchodami. – Postaraj się, żeby Jupiter w to nie wdepnął, bo jeśli te świństwa dostaną się pod jego podkowy...

– Potrafię dbać o własnego konia – przerwał Rian i ponad jej ramieniem zerknął na stojący u stóp wzgórza powóz. – Jak się ma lady Gwiazdeczka? Zachowywałaś się u niej przyzwoicie?

– Nadal żyje, jak widzisz, ale przyznam ci się, że wczoraj podczas zakupów i dziś rano byłam bliska ucieczki – warknęła Fanny, ale uśmiechnęła się, gdy brat parsknął śmiechem. – Czy widziałeś już księcia Wellington, Rianie? Rozmawiałeś z nim? Będziesz jego kurierem czy kimś w tym rodzaju?

– Będę przekazywał informacje i rozkazy do naszych dowódców. To jest ważne, Fanny. Piekielnie ważne. – Rian dosłownie pękał z dumy. – Za radą lorda Brede cały wczorajszy dzień spędziłem w siodle, zapędziłem się aż do Ligny. Oby tylko armia Blüchera pojawiła się wcześniej niż Bonaparte. Francuzi mają przewagę liczebną, Fanny. My możemy być lepszymi żołnierzami, ale jest nas zbyt mało. Szczególnie w świetle informacji, jakie przywiózł dzisiaj lord Brede.

Żołądek Fanny wywinął nagle koziółka.

– On tu jest? Wrócił?

– Tak, przed godziną. Na spienionym koniu... Niemal spadł z siodła ze zmęczenia. Widział ich, Fanny. Może nie główne siły, ale niewielki oddział rozpoznawczy, który prawdopodobnie szukał naszych pozycji. Jeśli chcesz znać moje zdanie, Fanny, to Brede podjechał zbyt blisko. Zauważyłem w jego płaszczu dziurę po kuli. Jest teraz u księcia.

– Strzelali do niego? – Fanny zwróciła się w stronę ogromnych namiotów. Nagle zrobiło jej się słabo. – Skąd wiesz, czy nie został ranny?

– Bo mi powiedział – odparł Rian z szerokim uśmiechem. – A zaraz potem kazał mi iść do diabła, zirytowany moimi durnymi pytaniami. „Przecież nadal chodzę”, powiedział. Lubię go, Fanny, więc bądź tak dobra i nie doprowadzaj go do szału, jak to robisz z nami wszystkimi. Wczoraj napisał do Jacka, zapewnił, że masz się dobrze, i zobowiązał się do opieki nad tobą do czasu, gdy będzie mógł bezpiecznie odstawić cię do domu. W tej chwili jesteś więc oficjalnie jego podopieczną, tak to się chyba nazywa. Co oznacza, że Brede ponosi za ciebie pełną odpowiedzialność.

– Niemożliwe! – zawołała z przekonaniem, którego nie czuła. – Przecież ty tu jesteś. Jako członek rodziny to ty sprawujesz funkcję mojego opiekuna.

Rian przeczesał czarne włosy palcami.

– Rzecz w tym, Fanny, że ja tego nie chcę. Zrozum, ja już wiem, że ty nawet świętego doprowadziłabyś do szału, natomiast Brede nie zdaje sobie jeszcze z tego sprawy. Niech sam się o tym przekona.

– Uważasz, że to w porządku, Rianie? – zapytała głęboko rozczarowana. – Po prostu zrzuciłeś mnie na kark obcemu człowiekowi? I umywasz ręce?

– Umywam ręce? Nie, pozwól coś sobie wyjaśnić, zanim rzucisz się na mnie z pazurami. Pożegnałem się z tobą w Becket Hall, Fanny. I jestem tutaj, gdzie chciałem być. To nie moja wina, że wbiłaś sobie do głowy, że...

– Że cię kocham – dokończyła cicho, by te słowa nie dotarły do uszu trzech żołnierzy, którzy przechodzili akurat obok nich, by dotrzeć do swoich koni. – I ty mnie również kochasz. I chciałeś mnie zobaczyć tak bardzo, jak ja pragnęłam zobaczyć ciebie. Rianie, miałam takie dziwne... – Zacisnęła usta, zanim wymknęło jej się wyznanie o tych strasznych snach. – Proszę, Rianie, zrozum...

– Chryste! – jęknął Rian i znowu wsunął palce we włosy. – Słodka Fanny, ja cię naprawdę kocham. Jesteś moją sio... moją przyjaciółką – poprawił się szybko. – Najlepszą przyjaciółką. Ale jesteś jeszcze bardzo młoda, Fanny, nie znasz świata.

– A ty znasz? – Mrugała powiekami, by powstrzymać napływające do oczu łzy. Chciała wyraźnie widzieć jego piękną twarz, dobre oczy. Czyżby nie wiedział, że był dla niej całym światem?

– Byłem w Londynie. Dwa razy – oświadczył Rian, nie patrząc jej w oczy. – No, dobrze. Przyznaję, że tylko parę dni. Ale przynajmniej wyjeżdżałem z Romney Marsh, Fanny, widziałem, że świat nie kończy się na naszym domu. Na naszej rodzinie. Ty znasz tylko nas. Nie możesz wiedzieć, czego chcesz. Kogo chcesz...

– Chcę, żebyś wrócił do domu, Rianie – szepnęła załamana Fanny i wielka łza spłynęła powoli po jej policzku. – Nie chcę cię stracić. Nie zniósłabym tego.

– Och, Fanny – westchnął Rian i przytulił ją do piersi. – Wrócę do domu. Jak tylko pošlemy Francuzów do diabła. Obiecuję.

– Poruczniku Becket? Czyżbym źle zrozumiał? Wydawało mi się, że miał pan jechać do La Haye Sainte po informacje z naszych wysuniętych placówek?

– Tak, milordzie. – Rian położył ręce na ramionach Fanny i odsunął ją od siebie. – Ja tylko... moja siostra... Już ruszam, sir!

– Och, proszę się nie śpieszyć, poruczniku – mruknął przeciągle lord Brede. – Jego wysokość z pewnością zrozumie i chętnie zaczeka. Pańska siostra niewątpliwie go przekona, że wasze czułości na słonecznym wzgórzu są po stokroć ważniejsze od jakichś tam informacji.

Fanny odwróciła się, wytarła z oczu łzy i rzuciła miazdzące spojrzenie mężczyźnie ubranemu znowu w bure szarości.

– Proszę się streszczać, milordzie, bo pomyślimy, że upaja się pan brzmieniem własnego głosu.

– Fanny! Milordzie, muszę przeprosić za...

Fanny odwróciła się na pięcie.

– Mogę mówić sama za siebie, Rianie – rzuciła ostrzegawczo.

– Możesz – odpalił. – I robisz to, prawda? Nawet w sytuacjach, gdy każdy zdrowo myślący człowiek zamknąłby usta na kłódkę. – Rian zamilkł, rozdarty pomiędzy gniewem a mimowolnym szacunkiem dla nieustępliwości siostry. – Proszę, Fanny, bądź uprzejma. Przecież wiem, że potrafisz, kiedy się postarasz. – Pochylił się, cmoknął siostrę w policzek, przytulił ją na chwilę do siebie, a potem skłonił się przed lordem i wskoczył na Jupitera. – Zachowuj się przyzwoicie. Zrób to dla mnie – powiedział cicho, patrząc na nią, a potem zawrócił i skierował konia na południe.

Fanny odprowadziła go wzrokiem.

– Jest na tyle bezpieczny, na ile to tylko możliwe, Fanny – odezwał się w końcu Brede łagodnym, pełnym współczucia głosem. – Zrobiłem, co w mojej mocy, by załatwić mu przydział do sztabu, gdzie ryzyko jest relatywnie najmniejsze, aczkolwiek w najbliższych dniach i tygodniach nikt z nas nie może być pewny bezpieczeństwa. Przykro mi.

Kiwnęła głową, nie odwracając się w jego stronę. Przygryzła dolną wargę, żeby powstrzymać szloch. Był dla niej miły! Jak śmiał? Wezbrała w niej złość, na niego i na brata. Mężczyźni byli głupi, jeśli ryzykowanie własnego życia sprawiało im radość.

– Wiem – odpowiedziała w końcu i odwróciła się. – On jest taki szczęśliwy! Jak może być taki szczęśliwy?

Brede uśmiechnął się i potrząsnął głową.

– Jest młody.

– Ma dwadzieścia sześć lat, wystarczająco dużo, żeby rozumieć, że wojna to nie zabawa. Po tym, co... – Zaciśnęła usta, zanim wyrwały jej się słowa: co widzieliśmy. – Rian mówił, że zauważył dziurę po kuli w tym pana wyszarganym płaszczu. Miał rację?

– Tak? Mnie się podoba. – Brede zrzucił z ramion płaszcz, rozpostarł go przed sobą i spojrzał pod słońce. – Dobrze, sprawdźmy. Coś mi się widzi, że pani brat nie miał racji. Ja widzę dwie dziurki. Dzięki Bogu, Francuzi są marnymi strzelcami.

Fanny spojrzała ponad płaszczem na twarz mężczyzny. Uśmiechał się!

– Wszyscy jesteście tacy sami! – wycedziła. – Przyprawiacie mnie o mdłości, wszyscy!

Uniosła spódnice i zbiegła ze wzgórza do czekającego na nią powozu, otoczonego w tej chwili przez grupkę młodych mężczyzn w szkarłatnych uniformach. Rozpychając się łokciami i depcząc im po palcach, dotarła do drzwi, otworzyła je gwałtownym szarpnięciem i z rozmachem usiadła, niemal miażdżąc drobniutką lady Whalley.

– Możemy już jechać, Lucie – oznajmiła i podniosła oczy na błękitne niebo, po którym sunęły białe obłoki. Dzień był naprawdę piękny. Ani to niebo, ani słońce, ani gwiazdy nie wiedziały jeszcze, na co będą musiały spoglądać przez następne dni i tygodnie. Na krew, na masakrę. Na zniszczenie.

– Nie wygłupiaj się, Fanny – odparła Lucie zza wachlarza, którym poruszała energicznie, choć służąca trzymała parasolkę nad jej głową. – Bawię się doskonale!

– Czy równie doskonale będziesz się bawiła, kiedy stanę w powozie i zacznę wykrzykiwać brzydkie wyrazy? – zagroziła Fanny zniżonym głosem. – Mam ochotę kląć. Nigdy dotąd tego nie robiłam, chociaż znam kilka naprawdę paskudnych wyrażeń. Wyjątkowo szokujących.

Lucie spojrzała na bladą jak kreda twarz Fanny. Przeniosła wzrok na dziarskiego kapitana gwardii, który miał ją właśnie poprosić o zarezerwowanie tańca na balu u lady Richmond. Znów popatrzyła na Fanny. I na kapitana gwardii. I...

– Na gwiazdeczki! Woźnica! – krzyknęła w panice, bo Fanny otworzyła już usta i nabrała głęboko powietrza. – Jedź do domu!

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Lord Brede znalazł Fanny w niewielkim ogrodzie na tyłach domu, który siostra wynajęła na własny koszt, aby „nie być zmuszoną przebywać pod jednym dachem z tobą, Valentine, ty mruku”.

Nie usłyszała jego kroków. Siedziała sztywno wyprostowana na niewygodnej z wyglądu ławce, z rękami złożonymi na podołku, i wpatrywała się w niebo usiane gwiazdami.

Miała zachwycający profil – ponad długą, smukłą szyją wznosił się dumnie idealnie zarysowany podbródek, a prosty nos upodabniał ją do posągu greckiej bogini. Nawet fryzura została uratowana przez jakiegoś geniusza nożyczek, który barbarzyńsko obcięte włosy zaczesał gładko do tyłu i zwinął na karku w gęste loki.

Była taka świeża i czysta. Zupełnie nie dla niego. On mógłby zbrukać tę czystość i stłamsić jej wspaniałego, dzielnego ducha. Była tak młoda i piękna, że Brede poczuł się przy niej stary jak świat.

Nie lękała się go, nie pozwoliła się zdominować, miała odwagę przeciwstawić mu się i odpłacić pięknym za nadobne. Nie wdzięczyła się, choć bez wątpienia byłaby gotowa to zrobić, gdyby uznała, że odpowiada to jej celom.

Valentine uznałby to może za szczeniacki wybryk, gdyby z młodej, czystej twarzy Fanny nie spoglądały na niego niesamowite, zielone oczy stulatki. W tych lekko skośnych oczach kryła się tajemnica, mądrość i inteligencja. Czaił się w nich również cień.

W oczach jej brata Valentine nie dostrzegł podobnego cienia. Rian Becket niczym nie różnił się od większości młodych mężczyzn, tak samo jak oni wyglądał z niecierpliwością podniecających wydarzeń, przygody... I był, jak oni, stworzony na mięso armatnie. Valentine widywał już takich jak Rian Becket – dążących do znalezienia się w samym sercu bitwy, pełnych zapału i ognia. Rozpoznawał w nim samego siebie sprzed lat. Z bólem na nich patrzył, miał ochotę potrząsnąć nimi, wbić im do głowy, że chwała wojenna, o której tak marzyli, przesypie się między ich palcami jak popiół z pogrzebowego stosu.

Ale Fanny Becket zdawała się o tym wiedzieć. Skąd? Tego Valentine nie mógł pojąć. Przemknęło mu przez myśl, że może to kwestia jej płci, że wszystkie kobiety dostrzegały groźbę wojny. Ale w takim razie jak wytłumaczyć zachowanie jego siostry

i tych wszystkich dam, które zjechały tłumnie do Brukseli, śmiały się i tańczyły, kipiąc z podniecenia?

Szczupłe ramiona Fanny uniosły się nagle w głębokim westchnieniu. Valentine instynktownie zbliżył się, by ją pocieszyć. Ale już raz próbował to zrobić, w kwaterze głównej. Został zbesztany. Najwyraźniej panna Becket nie życzyła sobie litości.

– A, tu pani jest! – zawołał jowialnie. Drgnęła, wyrwana z zamyślenia. – Lucille mówiła, że znajdzie panią w ogrodzie. Planuje pani kolejną ucieczkę?

Fanny odwróciła się. Lord Brede miał znów na sobie elegancki, idealnie skrojony strój wieczorowy. Przydługie, ciemnoblonde włosy zostały ponownie zaczesane do tyłu, a na twarzy błąkał się ironiczny półuśmiech. Pomyślała, że ten mężczyzna nawet w cywilizowanym odzieniu nie robił wrażenia cywilizowanego człowieka. Pomimo nienaganych manier.

Zaciekawiła się, jak wyglądałby lord Brede przyłapany z nienacka. Ale on zdawał się nigdy nie tracić czujności, niezależnie od tego, czy był ubrany jak elegant, czy ostatni łazęga.

– Dziś po południu wcale nie uciekałam, milordzie – oświadczyła zdecydowanie. – Ja tylko... zmieniłam miejsce pobytu. Wyłącznie po to, żeby zobaczyć się z Rianem, bo on nie mógł przyjechać do mnie.

– Doprawdy? Czyżby miał na nogach kajdany? Nie zauważyłem... Wieczorami adiutanci ze sztabu Wellingtona mają stałe przepustki do miasta. Codziennie okupują dobre restauracje w Brukseli, a potem tłoczą się na parkietach tanecznych podczas tych wszystkich śmiesznych przyjęć i balów.

Fanny odwróciła na chwilę oczy, żeby Brede nie wyczytał z nich bólu, ale szybko znów podniosła na niego wzrok.

– Rian nie wiedział, gdzie mnie szukać, nie wiedział, że zamieszkałam u pana siostry.

– Oczywiście, specjalnie opóźniłem przynosiny pani do domu siostry i kazałem Wigginsowi trzymać język za zębami, żeby nie zdradził mu adresu Lucille.

– Dlaczego pan to robi? – Fanny nie była w stanie zignorować tego szyderstwa. – Dlaczego musi pan tak podkreślać fakt, że Rian wcale nie chciał się ze mną zobaczyć? Sprawia to panu przyjemność? On sam dał mi to aż nazbyt jasno do zrozumienia.

Valentine wskazał miejsce obok niej, a gdy ponuro kiwnęła głową, rozchylił poły surduta i usiadł na twardej ławce.

– Ponieważ, moja panno, nie słucha pani tego chłopaka. W tej chwili jest całkowicie pochłonięty własnymi marzeniami, nie ma czasu myśleć o niczym poza tym, w czym bierze udział i w czym będzie brał udział w najbliższym czasie. Niech go pani nie rozprasza, Fanny. On musi robić dokładnie to, co robi.

Fanny kiwnęła głową, ale serce nie przestawało boleć.

– Wiem. Zdaję sobie z tego sprawę. Ale ciągle myślę o tym, co jeszcze mu powiedzieć. Żeby nie wystawiał głowy... Żeby dbał o podkowy Jupitera... Żeby wykorzystywał każdą sposobność, aby się porządnie wyspać i najeść. Żeby nie chodził w mokrych skarpetach. Żeby pamiętał, że... że ludzie go kochają.

Valentine przesunął dłonią po ustach, na które cisnęły mu się słowa, które nie powinny zostać wypowiedziane. A jednak nie zdołał się powstrzymać.

– Pani brat jest prawdziwym szczęściarzem. Dawno, dawno temu, kiedy wyruszałem na wojnę do Hiszpanii, mój ojciec raczył oderwać się na chwilę od gazety i przestrzegł mnie, bym, broń Boże, nie okrył hańbą tarczy herbowej rodziny.

Fanny impulsywnie położyła dłoń na jego ramieniu.

– Może... może nie wiedział, co powiedzieć.

– Może – odparł Valentine. – Zmarł pod moją nieobecność, więc już nigdy się nie dowiem. – Uśmiechnął się znowu. – Ale jestem pewien, że nie kazałby zarznąć tłustego cielca z okazji mojego powrotu. Mój ojciec był człowiekiem niezwykle przywiązany do norm i reguł obyczajowych. Rozczarowałem go głęboko, wybierając ten rodzaj służby. Zamiast stanąć na czele pułku i w pełnym świetle poprowadzić ludzi do ataku, zostałem anonimowym wywiadowcą, który kryje się w mroku. Powiedział, że jestem tajemniczy, a to nie był komplement.

– Boże, Brede! – palnęła Fanny bez zastanowienia. – Jeśli pan sprawił ojcu bolesne rozczarowanie, to co powiedzieć o Lucie? Była chyba ostatnim gwoździem do trumny?

Valentine przyglądał jej się przez chwilę w milczeniu, tylko kąćki jego ust drżały z rozbawienia, ale w końcu odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął głośnym śmiechem.

– Mój Boże, nigdy o tym nie pomyślałem! Ojciec zmarł, zanim Lucie pozwolono wyjść z dziecinnego pokoju. Gdyby postawiła stopę w rodzinnej jadalni i odezwała się do niego, to dostałby chyba ataku apopleksji. Kielbie we łbie, tak zwykle nazywał kobiety w rodzaju nieszczęsnej Lucille. I nie bez racji, jak sądzę.

– Ale pan ją kocha – zauważyła Fanny i cofnęła rękę spoczywającą dotąd na ramieniu lorda Brede. Miał wyjątkowo miły uśmiech, który rozjaśniał również oczy.
– Opowiadała mi, jaki jest pan dla niej dobry. Co kwartał wypłaca jej pan pensję i utrzymuje dla niej wiejską posiadłość i dom w Londynie.

– Tego się po mnie spodziewano – odparł Valentine, nieświadomie pocierając przedramię, jakby brakowało mu dotyku palców Fanny. – W końcu to moja siostra, a mąż zostawił ją nie tylko bez grosza, ale tonącą w długach. Nie mogłem przecież dopuścić, żeby trafiła do więzienia dla dłużników i przez zakratowane okienko celi spuszczała na sznurku koszyk, prosząc przypadkowych przechodniów o datki.

Fanny ukryła uśmiech.

– Tak. Rzeczywiście ucierpiałby na tym pański wizerunek. A o ile znam Lucie, to sznurek wyslizgnąłby się z jej palców, koszyk wyrzwałby w łeb jakiegoś nieszczęśnika i zawisłaby na szubienicy za morderstwo. Wziąwszy pod uwagę ewentualne konsekwencje, muszę przyznać, że wybrał pan najlepsze rozwiązanie, by chronić samego siebie, w związku z tym nie zasługuje pan na uznanie.

– Właśnie. – Valentine dziwnie chętnie przyłączył się do nonsensownej zabawy Fanny. – Kierowałem się wyłącznie egoistycznymi względami, podobnie jak przy podejmowaniu wszystkich innych decyzji.

– W tym także o pomocy Rianowi i mnie?

Spojrzał na nią ostro.

– Miałem dług wdzięczności wobec Jacka. Prawdę mówiąc, zawdzięczam mu życie. Przed laty, na Półwyspie Iberyjskim, dwukrotnie mnie ocalił, gdy zostałem ujęty w miejscach, w których nie powinienem się znaleźć. Jednakże gdy pomyślę o tym, przez co musiałem przejść w ciągu ostatnich kilku dni i przez co jeszcze będę musiał przejść, zanim odstawię panią bezpiecznie do domu w Romney Marsh, uważam, że nasze rachunki zostały wyrównane.

– Nie byłem dla pana takim wielkim ciężarem! – zawołała Fanny z oburzeniem. – Tata zwróci panu wszelkie poniesione na mnie koszty. Zresztą to pan sam w liście do Jacka mianował się moim oficjalnym opiekunem. To najbardziej absurdalna rzecz, o jakiej w życiu słyszałam. Nie potrzebuję żadnego opiekuna! Nie potrzebowałam go, by się tutaj dostać, prawda?

Valentine przesunął się na ławce, by móc spojrzeć jej prosto w twarz.

– Rzeczywiście. Tak naprawdę potrzebny był pani nie opiekun, tylko strażnik, który dopilnowałby, aby pani tutaj nie dotarła. Ale... – Uniósł dłoń, by powstrzymać cisnącą się jej na usta ripostę. – ...skoro już pani tu jest, należy wyciągnąć z tego

maksimum korzyści. Lucille przeszła samą siebie. Wygląda pani znakomicie i będę dumny, mogąc pani towarzyszyć na jutrzejszym balu u lady Richmond.

– Niestety, nie wybieram się tam – oznajmiła Fanny, zwracając się w jego stronę. Ich twarze znalazły się o cal od siebie. – Skoro Rian nie chce mnie widzieć, to nie będę mu się narzucać.

– Doprawdy? A już zaczynałem wierzyć, że jednak nie jest pani dzieckiem.

Aż zaświerzbiała ją ręce, żeby wymierzyć policzek.

– Nic dziwnego, że Lucie umyka przed panem, kiedy to tylko możliwe.

– I to tak skutecznie, że udało jej się uciec z Whalleyem – odparł Valentine spokojnie. – Pewnie do końca życia będzie tego żałowała. Oby pani nie musiała żałować, że nie spotkała się pani z Rianem, kiedy to jeszcze było możliwe. Jestem przekonany, że jutro brat powita panią z radością. Choć nie byłby szczęśliwy, gdyby znowu wytropiła go pani w sztabie Wellingtona. Dostrzega pani różnicę, mam nadzieję?

– Tak. Dostrzegam. Obiecuję, że już więcej tam nie pojedę. – Te przeprosiny przysły jej z trudem, więc natychmiast zmieniła temat. – Widział pan dzisiaj Francuzów?

– Tak, wczesnym rankiem – odpowiedział i po chwili zastanowienia dodał. – Są jeszcze dość daleko, ale maszerują znacznie szybciej, niż można było przypuszczać. Wysłałem wiadomość do Blüchera, żeby przyspieszył tempo, jeśli chce dotrzeć tutaj na czas.

– Żeby wziąć udział w bitwie – uściśliła Fanny. – Więc to już niedługo? A mówił pan, że to kwestia tygodni?

– Mówiłem: dni albo tygodni – przypomniał jej Valentine. – Nie ma najmniejszej szansy, by nasi rosyjscy i austriaccy sojusznicy dotarli tu przed rozstrzygającą bitwą. Zjawią się, by złożyć nam gratulacje albo wyprawić pogrzeb. Możemy tylko liczyć na to, że Prusacy zdążą na swoje pozycje. Fanny, proszę mi coś obiecać.

Wpatrywał się w nią tak intensywnie, jakby chciał ją zmierzyć spojrzeniem.

– Dobrze, jeśli to tylko będzie możliwe – powiedziała, żeby usunąć z jego oczu niepokój.

– Prawdziwie kobieca odpowiedź. – Uśmiechnął się. – Doskonale. Jeżeli – a wcale nie twierdzą, że tak się stanie – ale jeżeli usłyszysz pani kanonadę, jeżeli bitwa

zbliży się do granic miasta, proszę zabrać Lucille i udać się prosto do Wigginsa. On już wie, co ma wtedy zrobić.

Fanny zwilżyła wargi, nagle zaschło jej w ustach.

– A co Wiggins ma zrobić?

– Zabrać was obie z tej cholernej Brukseli na mój jacht zacumowany w Ostendzie i odpłynąć do Anglii.

– Nie.

– Fanny. – W głosie Valentine’a zabrzmiała lekka groźba i ujął jej ręce w swoje dłonie. – Rian musi mieć pewność, że pani nic nie grozi. Jeśli sprawy przybiorą zły obrót, musi skoncentrować się na własnym bezpieczeństwie i na rozkazach, a nie zamartwiać się, że jego siostra może paść ofiarą Francuzów lub dostać się do niewoli. Ja również potrzebuję takiej pewności.

– Jeśli chodzi o Lucie. Tak, rozumiem. Ale Wiggins z pewnością się nią zajmie. Powiedział pan, że będzie wiedział, co robić.

– Chodzi mi nie tylko o Lucille – powiedział i mocniej ścisnął jej palce. – Jestem za panią odpowiedzialny, Fanny, proszę o tym nie zapominać.

– Nie prosiłam o to – rzuciła gniewnie i próbowała wyswobodzić ręce. – Potrafię sama o siebie zadbać.

– Nie. – Valentine poszukał wzrokiem jej spojrzenia. – Ta odpowiedź mnie nie zadowala. Czekam na pani obietnicę.

– Nie dostanie jej pan! – Uwolniła ręce, zerwała się na równe nogi i odwróciła się do niego plecami. – Zresztą Wellington zwycięży. On zawsze wygrywa. Bonaparte ucieknie do Francji z podkulonym ogonem!

Valentine wstał powoli, czuł w kościach całą dobę w siodle, przy czym dwukrotnie musiał puścić Shadowa ostrym galopem, żeby umknąć przed francuskimi patrolami.

– Do Bonapartego dołączył Murat. I Ney. To znakomici generałowie, a w dodatku mają świadomość, że jeśli przegrają, to zostaną skazani na śmierć. Jest przy nim również lwia część starej gwardii, a to doświadczeni, karni i wyjątkowo sprawni żołnierze. My natomiast dysponujemy armią zebraną naprędce, Wellingtonowi brakuje również najlepszych, najbardziej zaufanych dowódców. Rosjanie i Austriacy nadciągają, ale są zbyt daleko, by wzmocnić nasze siły. Wellington polował kiedyś na tych terenach, ale nigdy nie prowadził tutaj bitwy.

Bonaparte ma nad nami przewagę pod każdym względem.

Fanny odwróciła się na pięcie i spojrzała mu w twarz oskarżycielsko.

– Pan myśli, że przegramy!

– Nie, Fanny. Rozważam tylko konsekwencje porażki, choć pragnę zwycięstwa i pracuję na jego rzecz. Podobnie jak Wellington. Najgorsze jest to, że on musi również myśleć o naszych rodakach, którzy ściągnęli tłumnie do Brukseli, żeby wziąć udział we wspaniałym widowisku. Mój Boże, ten człowiek co tydzień wydaje bal, żartuje i robi dobrą minę do złej gry, a w duchu modli się o czas. Zdaje sobie sprawę z tego, że gdyby zaszła konieczność odwrotu, to wszystkie drogi będą zatarasowane przez ciężkie, wyładowane wozy tych wszystkich mężczyzn i kobiet, którzy teraz tańczą na jego balu. A to bardzo opóźni wycofanie wojsk. Natomiast zamknięcie się tutaj, w tym mieście, aby bronić tych, którzy nie zdążyli uciec, spowoduje wyjątkowo krwawe walki i mnóstwo ofiar.

– Ja... ja nie pomyślałam o tym. – Dumnie uniosła głowę. – Ale my wygramy. Jestem pewna, że wygramy.

– Przemawia przez panią młodość. I pani ma za złe bratu, że rwie się do walki? Fanny, czekam na obietnicę. To nie jest rozkaz czy polecenie, tylko prośba. Jeśli wyczuje pani, że sprawy przybierają zły obrót, proszę zabrać Lucie i iść do Wigginsa.

Fanny wbiła wzrok w cegły pod stopami i starała się powstrzymać łzy. Wreszcie podniosła głowę i spojrzała w oczy Valentine'a.

– Zgoda. Zaprowadzę Lucie do Wigginsa, obiecuję.

To była wymijająca odpowiedź i Valentine zdawał sobie z tego sprawę.

– Dziękuję, Fanny. – Podeszedł i położył jej rękę na ramieniu.

Chciała odwrócić wzrok, ale nie mogła oderwać od niego oczu.

– A gdzie... gdzie pan będzie? Jeśli dojdzie do bitwy?

– Prawdopodobnie będę robił to samo, co pani brat. Będę przewoził wiadomości do i od Wellingtona. I składał raporty o tym, co się dzieje poza zasięgiem jego wzroku. Oraz, jako że robiłem to już dawniej, sugerował, gdzie przesunąć oddziały, by zablokować posunięcia Bonapartego i jego generałów.

– Będzie pan w mundurze? – zapytała Fanny.

Valentine uśmiechnął się.

– Nie ma mowy. Pozostanę szarym jeźdźcem na szarym koniu, przemykającym niepostrzeżenie w oddali, na granicy zasięgu wzroku. Ognisty przyodziewek pozostawiam Uxbridge'owi i pozostałym.

– Wyobrażam sobie, że wyglądałby pan... doskonale w mundurze – powiedziała Fanny, choć tak naprawdę chciałyby zawołać: bądź ostrożny, błagam, bądź ostrożny.

– Nawet w połowie nie tak doskonale jak pani, moja droga – odparł. – Nie mogę zapomnieć, jak wyglądała pani w spodniach, z wyrazem oburzenia na twarzy brązowej od kurzu. Co za zuchwałość!

Fanny poczuła, że jej policzki zaczerwieniły się, ale nie straciła rezonu.

– A wie pan, że Shamus Reilly miał pchły? Wiggins powiedział, że musiał powiesić mundur w płóciennym worku nad dymiącym paleniskiem.

– Szkoda, że go po prostu nie spalił. A swoją drogą, gdzie jest teraz ten mundur?

Fanny spojrzała mu prosto w oczy.

– Zostawiłam go u Wigginsa. Chciał mi go tutaj odnieść, ale powiedziałam, że nie będzie mi już potrzebny.

Skłamała.

– Bardzo dobrze. Każę go wyrzucić.

– Proszę bardzo – odpaliła natychmiast. – Bez przerwy wydaje pan wszystkim rozkazy. A teraz, proszę wybaczyć, ale jestem zmęczona, chciałabym pójść na górę i położyć się do łóżka. Za pana zgodą, oczywiście.

Dygnęła i odwróciła się, żeby odejść, ale Valentine mocniej zacisnął palce na jej ramieniu. Nie wiedział kiedy – i czy w ogóle – znowu zostaną sami.

– Fanny. To czas próby. Wszyscy mamy napięte nerwy. Cały świat wydaje się taki... intensywny. Wydarzenia toczą się w niesamowitym tempie, Bóg wie w jakim kierunku. Ludzie mówią – i robią – rzeczy, których w innych okolicznościach nie powiedzieliby i nie zrobili. Jak teraz, na przykład. Wybacz...

Fanny czekała na wyjaśnienie tych niezrozumiałych słów, ale lord Brede nic więcej nie powiedział. Nie odrywał od niej spojrzenia. Wszystko działo się jak w zwolnionym tempie. Pochylił się nad nią.

Zamknęła oczy, gdy jego wargi dotknęły jej ust. Musnęły je delikatnie, zostały przez moment i cofnęły się.

Miała dwadzieścia lat. Kobiety w jej wieku bywały już zamężne, zostawały nawet matkami. Ale dla Fanny był to pierwszy prawdziwy pocałunek, pierwszy pocałunek w usta. Przyjęła go bez sprzeciwu, choć z lekkim wahaniem.

Nie otworzyła oczu.

– Jeszcze raz – szepnęła. – Proszę.

Valentine otoczył ją ramieniem i przyciągnął do siebie, a potem jeszcze raz dotknął wargami jej ust. Tym razem śmieiej, choć nie odważył się na większą intymność.

Smakowała młodością i świeżością. Niewinnością. Trzema bezcennymi rzeczami, których o sobie już od dawna nie mógł powiedzieć.

Cofnął się, objął rękami jej twarz i opuszkami palców pogładził policzki.

– Jestem ciekaw – mruknął cicho – kto ma cię strzec przed twoim opiekunem?

– Kpi pan ze mnie, Brede?

– Nie, kochanie, to ostatnie, na co miałbym ochotę. – Jego ręce opadły bezwładnie wzdłuż boków. – Przeklinam własną głupotę.

Patrzyła, jak lord Brede opuszcza ogród niewielką furtką na tyłach, a potem podniosła palce do ust.

Kochała Riana. Od zawsze. Nigdy nie analizowała własnych uczuć, ale nigdy dotąd nie czuła się tak jak w tej chwili.

Zbliżała się bitwa, której wyniku Brede nie był pewien. Czy nie dość, że szalała z niepokoju o Riana, to musiała jeszcze na dodatek bać się o lorda Brede?

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Fanny nigdy w życiu nie była na balu, więc nie mogła wiedzieć, że ten był raczej skromny w porównaniu z londyńskimi standardami. Odbywał się w ogromnej kwadratowej sali, która odgrywała kiedyś rolę wozowni. Surowe ściany zostały naprędce zasłonięte ogrodowymi kratkami, w które wpleciono róże, a lista gości ograniczała się do dwustu kilkudziesięciu.

Kilkanaście rozchichotanych młodych panien w dziewiczo białych lub pastelowych sukniach dosłownie tonęło w morzu mężczyzn w różnym wieku, wystrojonych w szkarłatne mundury ze złotymi epoletami lub w bardziej poważne stroje wieczorowe.

Gdy Fanny weszła na salę kilka kroków za Lucie, muzycy już grali do tańca i na parkiecie wirowało mnóstwo par. Lady Whalley kroczyła w eleganckiej, lawendowej kreacji, ciągnąc za sobą ciężki aromat perfum. Suknia Fanny była skromniejsza, z bladeżółtego jedwabiu, ale dziewczyna była nią zachwycona, mimo że wydawała jej się nieco zbyt krótka. Lucie twierdziła, że to kara za to, iż wybierając się do Brukseli, nie kazała pokojówce spakować sukien balowych. I że wyrosła zbyt wysoka jak na elegancką młodą damę.

Fanny przebiegła wzrokiem salę w poszukiwaniu Riana, ale go nie znalazła. Nie przyszedł? Zaraz, chwileczkę, jednak był. Na parkiecie tanecznym. Uśmiechał się, nie odrywając oczu od maleńkiej, rudowłosej dziewczyny, która zagadywała go, ilekroć figury tańca pozwalały im zbliżyć się do siebie.

Był szczęśliwy, rozbawiony i piękny aż do bólu. W tym szkarłatnym, wymuskany mundurze dosłownie rwał oczy. On i ruda panienka znaleźli się w tańcu tuż obok siebie, dzieliły ich już tylko wysoko uniesione ręce. Pochylił się i szepnął partnerce coś do ucha.

Dziewczyna zaczęła chichotać.

Fanny odwróciła się do nich plecami, udając zainteresowanie lawendowymi piórami we włosach lady Whalley.

– Ja, oczywiście, nie mogę tańczyć – stwierdziła Lucie, spoglądając tęsknym wzrokiem na pary wirujące na parkiecie. – To byłoby niestosowne, bo nie minął jeszcze rok, odkąd William spoczął w grobie. Ale mam już wpisanych do karnetu czterech dżentelmenów, którzy wolą przesiedzieć taniec ze mną, niż zaprowadzić

inną kobietę na parkiet. Patrz, czy to nie twój brat? I Sally Pitney, wpatrzona w niego cielejącym wzrokiem. Trudno się dziwić. On jest naprawdę rozkoszny. Och, nie rób takiej grobowej miny, Fanny. Na gwiazdeczki, nawet siostra musi przecież widzieć, że jej brat jest piękniejszy od chmurnego lorda Byron.

Fanny uśmiechnęła się z przymusem.

– Moi pozostali bracia twierdzili zawsze, że jest zbyt ładny i przydałoby mu się parę blizn. Zgłaszali się na ochotnika, żeby mu je zrobić.

– Na gwiazdeczki, nie! Uszkodzić taką piękną twarz? To byłaby najgorsza zbrodnia! Zresztą nieważne. Patrz, tam stoi książę Wellington. Jego twarz wyda ci się pewnie toporna.

– Uważam, że jest przystojny – odparła Fanny, nie odrywając oczu od wysokiego mężczyzny, który stanął właśnie w progu i pochylił się nad dłonią lady Richmond. – Przypomina mi lorda Brede.

Lucie spojrzała na nią z autentycznym osłupieniem.

– Valentine’a? Nie bądź śmieszna, Fanny. W ogóle nie są do siebie podobni.

– Nie z wyglądu – wyjaśniła Fanny, nie odrywając spojrzenia od drzwi, bo za plecami Wellingtona zamajaczyła postać lorda Brede. – Z zachowania, ze sposobu patrzenia, jakby nie przyglądali się niczemu szczególnemu, ale dostrzegali wszystko. Oni... oni wiele przeżyli, wiele doświadczyli i to odbija się na ich twarzach. Mój ojciec określiłby ich jako zahartowanych w boju. A moja niania, Odette, uznałaby ich za niebezpiecznych i kochających niebezpieczeństwo.

– Zahartowanych? Upał uderzył ci do głowy, Fanny? Przyznaję, że na sali jest duszno i gorąco, ale wygadujesz dziwne rzeczy.

Fanny oderwała wzrok od Valentine’a, uśmiechnęła się i potrząsnęła głową.

– Przepraszam, Lucie. Ale uderza mnie kontrast między radosnymi twarzami tańczących i surową miną księcia. Przyjrzyj mu się. Ma na ustach uśmiech, ale wcale się nie uśmiecha. Może Francuzi się zbliżają?

– Uśmiech bez uśmiechu? Nie patrzy, ale widzi wszystko? Na gwiazdeczki! Gdybym przewidziała, że będziesz taka ckliwa, Fanny, to zostawiłabym cię w domu. Uśmiechnij się natychmiast, takim prawdziwym uśmiechem, a potem roześmiej się głośno, jakbym powiedziała coś dowcipnego. Postaraj się zwrócić na siebie uwagę. Zatrzepocz tymi absurdalnie długimi rękami, patrząc na któregoś z tych młodych oficerów w szkarłacie. Na gwiazdeczki, nie życzę sobie, żebyś sterczała przy mnie pod ścianą jak przywiedła lilia, kiedy ja będę flirtować. To zepsułoby mi całą

przyjemność. Pomyśl przynajmniej o mnie, jeśli nie myślisz o sobie.

– Lucie, jesteś niepoprawna. – Fanny zastosowała w odniesieniu do lady Whalley określenie, jakie często słyszała pod swoim adresem od Elly i innych członków rodziny. – Taniec już się skończył i Rian zauważył moją obecność. On dotrzyma mi towarzystwa.

Fanny uniosła spódnicę i dygnęła leciutko, bo Rian skłonił się właśnie im obu.

– Miłe spotkanie, braciszku.

Rian uśmiechnął się szeroko.

– Wyglądasz uroczo, Fanny – stwierdził, gdy Lucie odeszła w towarzystwie oficera, z którym rozmawiała niedawno w kwaterze głównej Wellingtona. Rian podał ramię siostrze. – Jego lordowska mość zapewnił ci odpowiednią opiekę, prawda? Mam nadzieję, że w rewanżu nie doprowadzisz go do szału?

– Jeśli doprowadzam go do szału, to tylko dlatego, że on sam doprowadza do szału innych – odparła Fanny, zmierzając z Rianem na środek sali, gdzie zaczynały się już ustawiać pary do kolejnego tańca. – Czy masz jakieś świeże informacje o Francuzach? Brede twierdzi, że maszerują szybciej, niż można było przypuszczać, a Rosjanie i Austriacy są zbyt daleko i nie zdążą do nas dotrzeć przed bitwą.

Rian przewrócił oczami.

– Nie teraz, Fanny. Dzisiaj już z tuzin razy byłem wysyłany z różnymi rozkazami. Proszę, przynajmniej na balu nie rozmawiajmy o wojnie. Zresztą Wellington nie wyruszy przeciwko Bonapartemu, chyba że zostanie zmuszony do walki. Potrzebuje czasu, by Blücher zdążył do nas dołączyć. Powiedz, czy widziałas dziewczynę, z którą przed chwilą tańczyłem? Co o niej sądzisz?

Fanny zmarszczyła czoło, nadal błądziła myślami wokół Bonapartego i jego *Grande Armée*.

– Co sądzę o czym?

– O niej, oczywiście! – zawołał Rian i pociągnął Fanny za oplecioną bluzką kolumnę ze sztucznego marmuru. – Muszę przyznać, że chichocze bez przerwy, ale jest ładniutka, prawda?

– Naprawdę mógłbyś znieść taką rozchichotaną pannicę? – Fanny starała się utrzymać uśmiech na twarzy i lekki ton głosu, choć sporo ją to kosztowało.

– Chyba nie za długo. – Rian spochmurniał. – Ale one wszystkie są takie

serdeczne, Fanny. Przyjeżdżają do kwatery głównej z koszami smakołyków i napitków. Mój kolega adiutant, Charles Battenly, powiada, że w takich czasach jak obecne trzeba rwać kwiatki, kiedy tylko nadarzy się okazja.

– Rwać kwiatki? – Fanny wytrzeszczyła oczy na brata. Rian był o sześć lat starszy od niej, a zaczął się zachowywać jak szczeniak. Kiedy tak zdziecinniał? A może to ona się postarzała? – Porównujesz kobiety do kwiatów, które można rwać?

Rian zaczerwienił się aż po korzonki włosów.

– Mogłem przewidzieć, że nie zrozumiesz. Nie powinienem z tobą o tym rozmawiać. Pomówmy lepiej o tobie. Jego lordowska mość powiedział, że gdyby sprawy przybrały zły obrót, zaprowadzisz jego siostrę do Wigginsa, który wywiezie was z Brukseli. Twierdzi, że ma twoją obietnicę. Naprawdę mu to obiecałaś, Fanny?

– Chcesz poprosić, żebym zabrała również twoją pannę Pitney?

– Kogo?

– Pannę Pitney. Kwiatek, który chcesz zerwać.

Rian uśmiechnął się, nieco zawstydzony.

– Tak się nazywa? Zupełnie mi na niej nie zależy, Fanny. Powtórzyłem ci tylko słowa mojego kumpla Charlesa. – Ujął w ręce obie jej dłonie. – Nie każ mi się martwić o ciebie, Fanny. Obiecuj mi.

– Obiecanki cacanki. Ciągle ktoś mnie zmusza do składania obietnic. – Fanny przyłapała się na tym, że wpatrywała się w twarz Riana w taki sposób, jakby chciała zapisać w pamięci każdy jego rys. – Nie martw się o mnie, Rianie. Będę ostrożna, to ci mogę obiecać. A teraz ty obiecuj mi, że również będziesz ostrożny. Obiecuj, że wrócisz do domu.

Pochylił się i cmoknął ją w policzek.

– Wiesz, że tak, Fanny. Razem wrócimy triumfalnie do Romney Marsh, kiedy stary Boney zostanie pokonany. Obiecuję.

– Becket Hall wydaje się teraz taki daleki, prawda?

Rian dostrzegł w oczach Fanny cień.

– To nie Becket Hall stał się daleki, tylko nasze życie bardzo się zmieniło, my się zmieniliśmy. To chciałaś powiedzieć?

Fanny odwróciła wzrok.

– Masz... masz na myśli to, jak ja... co ja czuję?

Serce ścisnęło się w piersi Riana. Pomimo błyskotliwej inteligencji Fanny była jeszcze bardzo młoda.

– Tak, Fanny, właśnie to. Kocham cię. Ty kochasz mnie. Przez całe życie byliśmy sobie bardzo bliscy, jakby zrośnięci ze sobą, zawsze razem. Jesteś moją najlepszą przyjaciółką. I tego nic nie zmieni. Ale wyjechaliśmy z domu, który stanowił dla nas dotąd cały świat, i zrozumieliśmy, jaki ten świat był mały, zamknięty, ograniczony. Poznaliśmy zupełnie inny świat. Szeroki świat. Bogaty świat. Odkryliśmy, że jest tyle rzeczy, o których nawet nie myśleliśmy. Tylu ludzi, których dotychczas nie spotkaliśmy. Tyle... – Szeroko rozłożył ramiona i zacisnął palce, jakby próbował coś złapać. – ...tyle życia do przeżycia, Fanny.

– Tyle ładnych, młodych, chętnych, rudowłosych dziewcząt – mruknęła Fanny, z niechęcią przyznając w duchu, że w słowach brata kryło się sporo prawdy. – Tak, Rianie, dobrze to wyraziłeś. Jestem głupiotką dziewczynką, która wierzyła w coś tylko dlatego, że nie miała nic innego, w co by mogła uwierzyć. Tylko że ja nadal cię kocham.

– I masz mnie dalej kochać, bo inaczej rzucę się na miecz pierwszego napotkanego Francuza – mruknął ostrzegawczo i dotknął zacisniętą pięścią jej podbródka. – Dojrzewasz, Fanny. Oboje rozwijamy skrzydła. Jesteśmy jak ptaki, które opuściły rodzinne gniazdo, nie musimy już zachowywać tajemnicy koniecznej w Becket Hall. Ale na zawsze pozostaniesz moją siostrą, a ja zawsze będę twoim bratem. I zawsze będziemy się rozumieli tak, jak nikt nigdy nas nie zrozumie.

– Tak, to szczególna więź. – Fanny zamrugała oczami, żeby powstrzymać łzy. – Tego nam nikt nie odbierze.

– Nikt, Fanny. – Rian spojrzał jej prosto w oczy i nagle uświadomił sobie z dumą, że jego siostra nie była już małą dziewczynką, którą prowadził za rączkę i która czasem doprowadzała go do szału, łażąc za nim wszędzie i schlebając swemu niewiele starszemu alter ego. – Nikt i nic nie zdoła tego dokonać.

– Cóż za poważne miny! Przerywam rodzinną dyskusję? Dobry wieczór, Becketowie.

Fanny odwróciła się. Valentine w stroju wieczorowym prezentował się imponująco.

– Dobry wieczór, lordzie Brede. – Nie zdobyła się, by spojrzeć mu w oczy. – Nie odwiedził pan dzisiaj siostry, więc nie byłam pewna, czy zobaczę pana na balu.

– Przecież powiedziałem, że będę – przypomniał jej. – To było... konieczne. Poruczniku, słyszałem komplementy na pana temat.

Rian wyprostował się.

– Tak, sir?

– Sir William Ponsonby stwierdził, że nie jest pan półgłówkiem – powiedział z uśmiechem Valentine. – Proszę mi wierzyć, że w ustach Ponsonby’ego to naprawdę wysoka ocena. Ma pani ochotę poznać jego wysokość, Fanny?

– Księcia? – spytała z niedowierzaniem. – Byłabym zachwycona, oczywiście – zapewniła z promiennym uśmiechem, przyjmując ramię lorda Brede.

– Idź, Fanny – powiedział Rian. – Ja przez ostatnie dni miałem okazję napatrzeć mu się do woli.

– Pani brat pali się do walki – stwierdził Valentine. – I dobrze się sprawuje. Wellington wziął pod uwagę pewną jego sugestię. Rian zaproponował najlepszą pozycję dla naszej kawalerii, gdyby atak nastąpił z zachodu. Mogłem przewidzieć, że Jack nie prosiłby mnie o wyświadczenie przysługi idiotcie.

– A więc mój brat nie jest półgłówkiem i nie jest idiotą. – Fanny podniosła oczy na Valentine’a. – Doprawdy wysoka ocena. Czy tylko na takie komplementy pana stać?

Valentine stanął nagle, wciągnął ją za rozłożystą palmę w ogromnej donicy i ujął obie jej dłonie.

– Nie wiem, jak to jest, Fanny. – Jego głos był cichy, niski, intymny. – Od wczoraj nie mogę przestać o pani myśleć, nawet w tych chwilach, kiedy powinienem skoncentrować całą uwagę na czym innym lub kim innym. A teraz, kiedy patrzę na panią, taką świeżą i piękną, daremnie powtarzam sobie w duchu, że jestem zwyczajnym sukinsynem, ponieważ i tak nie mogę opędzić się od myśli, by zabrać stąd panią natychmiast do swojego domu, całować i nie wypuścić z ramion. Nie wiem, Fanny, czy uzna to pani za komplement. Nie wiem również, czy potrafi pani zrozumieć, ile dla mnie znaczy takie wyznanie. Ale takie są moje uczucia.

Krew pulsowała w uszach Fanny tak głośno, że jego słowa docierały do niej jakby z oddali. Nie wiedziała, co powiedzieć, więc zdecydowała się na prawdę.

– Pan mnie przeraża. Nienawidzę tego, że pan mnie przeraża.

Valentine parsknął śmiechem. Poczul się nagle młody i głupi, a równocześnie

stary jak świat.

– W takim razie jesteśmy kwita, Fanny. Bo pani mnie również przeraża. Może to wina tych czasów? Zagrożenia, w jakim żyjemy? Nadciągającego Napoleona? Tych przeklętych spodni, które miała pani na sobie, gdy po raz pierwszy zobaczyłem pani brudną, pokrytą kurzem twarz? Tak, chyba możemy obciążyć odpowiedzialnością te wszystkie okoliczności. Ale miałem przecież przedstawić panią księciu.

– Brede, ja...

– Nie, Fanny – przerwał szybko i położył palec na jej ustach. – Proszę nic więcej nie mówić. Już wystarczająco wstydzę się tego, co powiedziałem do tej pory. Pewnego dnia, za kilka tygodni, kiedy świat wróci na dawne tory, a Bonaparte znajdzie się znowu tam, gdzie powinien, ja również odzyskam rozum, obiecuję.

– Stanie się pan ponownie wyniosłym, sarkastycznym, obrzydliwie aroganckim typem? – Fanny pragnęła aż do bólu jeszcze raz wywabić go z tej mysiej nory, w której tak nieoczekiwanie się schronił. – Innymi słowy, znowu będzie pan sobą?

Uśmiechnął się szerzej.

– Bezdyskusyjnie. – Wyprowadził ją spod osłony palmy. – Znacznie pewniej czuję się w swojej skórze. Jako krwiożerczy potwór...

– Jest pan w tym dobry – przyznała Fanny, gdy torowali sobie drogę przez zatłoczoną salę. – Dużo pan ćwiczy?

– Słucham? – Zerknął na nią z ukosa.

– Pytałam, czy dużo pan ćwiczy? Tę wyniosłość, urywanie łbów et cetera. Mam na myśli takie zachowania, jak na przykład przyznanie mi racji, gdy stwierdziłam, że potrzebuję kąpieli. To było okropnie aroganckie. Ale i zabawne, dlatego się roześmiałam. Wielu udało się panu zastraszyć...

– Ale nie panią – mruknął cicho i zatrzymał się w odległości najwyżej dwóch stóp od zatopionych w rozmowie Wellingtona i księżnej Richmond. – Pani się mnie nie boi. Oczywiście z wyjątkiem tych chwil, gdy zachowuję się jak osioł.

– Właśnie. – Na tym gruncie czuła się znacznie pewniej. – Więc nie róbmy tego więcej, dobrze? Przynajmniej dopóki świat... nie wróci na dawne tory. Co nastąpi już niedługo, prawda?

– Tak, nawet gdybym miał na własnych plecach zanieść tego korsykańskiego

bandytę z powrotem na Elbę. – Uśmiech zniknął z jego twarzy.- Gdybym tylko wiedział, czy postąpiłem jak osioł, mówiąc pani cokolwiek, czy raczej pozwalając pani zmienić temat.

Fanny znowu nie mogła wydobyć z siebie słowa, więc udała zainteresowanie tym, co Wellington mówił do księżnej.

– Nie wiem, co oni zrobią z nieprzyjacielem, ale – na Boga! – mnie przerażają.

Księżna roześmiała się i zaczęła wachlować się energicznie.

– Pana żołnierze? Przecież oni są solą ziemi, Arthurze.

Potrząsnął głową.

– To motłoch. Zebracy i rzezimieszki. Ich patriotyzm to gin.

– Powinien pan się wstydzić! – zawołała księżna, a Fanny i Valentine wymienili spojrzenia. – Przecież oczekuje pan, że zginą za pana.

– Hm, tak. – Książę najwyraźniej stracił zainteresowanie rozmową, jego uwagę przykuło coś ponad ramieniem księżnej.

Fanny szybko spojrzała w lewo i dostrzegła starszego człowieka w mundurze, który dawał Wellingtonowi jakieś znaki. Niewątpliwie był to umówiony sygnał. Przeniosła wzrok na księcia, jego oczy stały się nieprzeniknione, a twarz pozbawiona wyrazu.

Księżna Richmond najwyraźniej nie zauważyła zmiany, jaka w nim zaszła, bo nie przerywała przekomarzania się.

– Uważasz, że to należy do zakresu obowiązków żołnierzy, Arthurze?

Wellington odpowiedział nieartykułowanym pomrukiem, który można było wziąć za potwierdzenie.

Księżna zauważyła wreszcie Valentine'a, bo następne słowa skierowała do niego.

– Wątpię, by nawet Bonaparte zdołał przyciągnąć do siebie ludzi, odwołując się do ich poczucia obowiązku.

– Ten dżentelmen nie musi się martwić o fanatycznie lojalnych stronników – odparł spokojnie Valentine.

Wellington parsknął śmiechem i puścił do niego oko.

– Ale Boney nie jest dżentelmenem.

– Arthurze! – wykrzyknęła księżna z oburzeniem, a Fanny przygryzła dolną wargę, żeby się nie roześmiać. – Co z ciebie za Anglik!

Książę spoważniał i Fanny znowu spostrzegła w jego oczach ten daleki, ale niezwykle intensywny wyraz, który pochwyciła przed chwilą.

– Na polu bitwy jego kapelusz jest wart pięćdziesięciu tysięcy ludzi, to fakt. Co nie oznacza, że Bonaparte jest dżentelmenem. Prawda, Valentine? Widziałeś go w ubiegłym tygodniu.

Fanny zerknęła na Valentine'a i szczęka jej nieco opadła.

– Widział go pan? W ubiegłym tygodniu?

– On przypuszczalnie z nim ucztował, młoda damo! – wykrzyknęła księżna, jeszcze szybciej poruszając wachlarzem. – Jadłeś z nim obiad, Valentine? Opowiadałeś mu zabawne anegdoty, licząc ukradkiem jego żołnierzy i zerkając na mapy?

Valentine skłonił się księżnej.

– Przecenia pani moje skromne możliwości, madame. Żołnierzy było zbyt wielu, nie dałem rady ich zliczyć. Ale spełniłem pani prośbę i wsunąłem do kieszeni srebrną łyżeczkę z jego herbem. Ładny drobiazg. Każę ją pani przesłać jutro rano.

– Ależ z pana łgarz! – Księżna uderzyła go w ramię wachlarzem. – Uwielbiam pana!

Książę odchylił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem, po czym dał Valentine'owi znak, by się zbliżył.

– Czy nie zauważyłeś przypadkiem, mój wybitny szpiegu, że obok ciebie stoi cudownie piękna młoda dama, która nie została mi jeszcze przedstawiona?

Valentine szybko dokonał prezentacji. Fanny przykucnęła w ukłonie, który, przynajmniej taką miała nadzieję, mógł uchodzić za całkiem poprawnie wykonany.

– Jestem oczarowany – powiedział książę i nagle zmarszczył brwi. – Becket? Mam chyba w sztabie jakiegoś Becketa, prawda, Valentine?

– Brata panny Becket, wasza wysokość – przypomniał mu Valentine. – Tego

przystojniaka – dodał i puścił oko do Fanny.

– A, tak! Pamiętam. Jest tutaj. O, tam. Stoi w otoczeniu okazałego wianuszka naszych panien, prawda?

Księżna odwróciła się, by spojrzeć na Riana.

– Tak, to bardzo dobrze ułożony młody człowiek, Arthurze. W tym roku żołnierze są w modzie.

– Ale nie wojna, madame. Wojna nigdy nie jest w modzie – stwierdził Wellington. – Ale czym byłoby społeczeństwo bez moich chłopców?

– Pańskich chłopców? – zakpił Valentine. – Ma pan na myśli ten motłoch?

– Ty jeden, Valentine, pozwalasz sobie na żarty z marszałka polowego. Panie wybaczą. Muszę zamienić parę słów z tym panem, a nie chcę was nudzić trywialnymi sprawami. Nawet ciebie, moja droga – zwrócił się do księżnej Richmond – choć jesteś najlepszym z moich generałów. Ten bal był inspirujący, bardzo ci dziękuję.

Książe wziął Valentine'a pod rękę i odprowadził go na bok. Fanny uśmiechnęła się do księżnej, nie miała pojęcia, o czym rozmawiać z tak wielką damą. Rozejrzała się po sali i po raz pierwszy zauważyła, że oficerowie zbijali się w grupki i żywo o czymś dyskutowali.

– Jak pani sądzi... – zaczęła, ale w tym momencie do księżnej podbiegła mała dziewczynka i pociągnęła ją za spódnicę.

– Mamo! Iggy obiecał, że mi przywiezie hełm francuskiego kirasjera. Zrobię sobie z niego koszyczek na przybory do szycia. Tylko nie może być zakrwawiony...

Księżna uśmiechnęła się do córki, po czym przeniosła spojrzenie na stojącego za dzieckiem, zaczerwienionego po uszy żołnierza.

– Masz szczęście, Sarah! Proszę przywieźć też jeden dla mnie, młody człowieku. Ale zakrwawiony.

Fanny podskoczyła, gdy za jej plecami rozległ się głęboki głos. Za nią stało dwóch mężczyzn, których mundury zdradzały wysoką rangę, ale i bez tego, na podstawie samego zachowania, mogła się domyślić, że to ktoś ważny.

– W co zamierzasz trafić tego Francuza, Hay? – zwrócił się wyniośle jeden z nich do młodego żołnierza.

Księżna przytuliła córeczkę do siebie.

– Sir Williamie, sir Thomasie, proszę nie szydzić z tego chłopca. Nie odpowiesz im, Iggy?

Młody oficer wyprężył się jak struna i odpowiedział, nie tracąc rezonu.

– Pod prawą pachę, sir.

Dziecko radośnie zaklaskało.

– Widzicie? On wszystko zaplanował!

– Pod pachę, powiadasz? – odezwał się przeciągle drugi z mężczyzn. – Kiedy spotkasz się oko w oko z kirasjerem, to będziesz miał szczęście, jeśli zdołasz ująć z życiem. O hełmie lepiej zapomnij. Chłopcze, walki na białą broń uczyliśmy się od Francuzów.

– Ale jesteśmy od nich lepsi, sir! – palnęła Fanny, zanim zdążyła się powstrzymać. – Uciekną przed nami.

Mężczyzna włożył monokl i zwrócił na Fanny oko powiększone do monstrualnych rozmiarów.

– No i co my tutaj mamy? Jeszcze jedna ładniutka twarzyczka, żeby oderwać nasze myśli od czekającej nas próby, wasza wysokość? Bardzo mądrze. Czy hoduje je pani w ogrodzie za domem? Jak ci na imię... hm?

Fanny odetchnęła z ulgą, gdy Valentine podszedł i otoczył ramieniem barki tamtego mężczyzny.

– Generale sir Thomasie Picton, pozwolę sobie przedstawić pannę Fanny Becket, siostrę naszego najnowszego adiutanta, porucznika Riana Becketa. A teraz spadaj stąd, Tommy, i ty też, Ponsonby, zanim natrę wam obu uszu. Może porozmawialibyście z księciem? Jest w przedpokoju.

Generał w pierwszej chwili chciał protestować, ale wystarczyło, że Valentine uniósł brew, a kiwnął głową i obaj z sir Williamem, skłoniwszy się damom, ruszyli do wyjścia.

– Wasza wysokość, czarująca panno Sarah. – Valentine skłonił się damom. – Panie wybaczą.

– Co się dzieje? Coś złego? Wysłał pan ich do Wellingtona, prawda? Co pan wie? Co on panu powiedział? – zarzuciła go pytaniami Fanny. Valentine objął jej łokieć i sprawnie przeprowadził ją przez całą salę, po drodze dał znak Rianowi, by za

nimi podążył. Po chwili znaleźli się we troje w niewielkim ogrodzie na tyłach domu. Valentine popatrzył na nich z twarzą bez wyrazu.

– Księżę wydał rozkaz, by oddziały zajmujące pozycje w Quatre Bras przemieściły się do Mons.

Rian energicznie kiwnął głową.

– Tak, wiem o tym, sir. I co?

– I kwatermistrz generalny naszego nieocenionego księcia orańskiego zignorował rozkaz. Zamiast tego wysłał kolejną brygadę, by wzmocnić Quatre Bras i skrzyżowanie dróg.

– Mój Boże. – Rian był wyraźnie zaszokowany nowiną. – Dlaczego?

– Kto to może wiedzieć? – Na ustach Valentine’a pojawił się oschły uśmiech, kiedy przypomniał sobie rozmowę, jaką sam odbył z kwatermistrzem generalnym. – Ale chwała Bogu, że to zrobił, ponieważ marszałek Grouchy wymaszerował na spotkanie Prusaków, żeby związać ich walką i nie dopuścić do połączenia z naszymi siłami. Mons nie leży na trasie ich przemarszu, ale Ligny i Quatre Bras tak. Bonaparte najwyraźniej dąży do rozdzielenia naszych sił, chce wedrzeć się klinem między nas a armię Blüchera. Prawdę mówiąc, to błyskotliwy manewr. Księżę wydaje właśnie rozkazy, by wszyscy oficerowie wrócili do swoich oddziałów, a adiutanci i dowódcy stawili się w kwaterze głównej i przygotowali się do wymarszu. Pański trzynasty, poruczniku, już jutro przystąpi do walki. Z całą pewnością.

Fanny ścisnęła rękę Riana i pomodliła się w duchu za starszego sierżanta Harta.

– Ruszamy od razu? – zapytał Rian. – Dziś wieczór?

– Dziś wieczór. Lada chwila odezwią się trąbki i surmy – odparł Valentine. – Musi pan zaraz wracać do kwatery głównej. Macie chwilę na pożegnanie.

Gdy tylko Valentine, z rękami założonymi na plecach, odszedł w najdalszy zakątek ogrodu, Fanny rzuciła się w ramiona Riana i mocno go objęła.

– Och, Rian, bądź ostrożny. Błagam, bądź ostrożny. Pamiętaj o przestrożach taty...

– Ciii, Fanny. – Pogłaskał ją po plecach i wyczuł wstrząsające nią drzenie. – Nic mi nie będzie. Chcę walczyć, Fanny. Pragnąłem tego od dawna. – Ucałował ją we włosy, a potem delikatnie odsunął od siebie. Rozpiął dwa guziki kurtki, wyjął

złożony arkusik papieru i podał jej. – Proszę, weź to.

Fanny patrzyła na kartkę takim wzrokiem, jakby papier mógł się na nią rzucić.

– Co... co to jest?

– Testament, Fanny. Charles powiedział, że powinienem spisać ostatnią wolę. Wszyscy to robią. Na wszelki wypadek.

Spojrzała na niego z przerażeniem i schowała ręce za plecami.

– Na wypadek... Rian, nie!

– Na litość boską, Fanny, nie zachowuj się jak baba! – mruknął Rian, zaabsorbowany gorączkową aktywnością w oddalonej zaledwie o kilka kroków sali balowej, opuszczanej już w pośpiechu przez oficerów. – Jak wrócę, to będziemy razem naśmiewać się z tych cikliwych niedorzeczności i spalimy tę kartkę, ale na razie weź ją. I spełnij obietnicę daną jego lordowskiej mości. Gdyby sprawy przybrały zły obrót, idź do Wigginsa z jego siostrą, opuście Brukselę i jedźcie na wybrzeże. – Machał jej testamentem przed nosem. – Obiecuj, że to zrobisz, Fanny.

Fanny wzięła kartkę i nie odrywając oczu od twarzy Riana, zacisnęła w garści jego ostatnią wolę. Czując, że jej dolna warga zadrżała, więc przygryzła ją zębami.

– Nie zostawiaj mnie, Rianie. Nie zostawiaj mnie samej. Ja... ja nie wiedziałabym, co zrobić bez ciebie.

– Nie będziesz musiała żyć beze mnie, Fanny. Obiecuję. Jutro albo pojutrze zjemy razem obiad, a ja będę ci opowiadał kłamstwa i niestworzone historie o tym, jak w pojedynkę pokonałem Bonapartego.

Pociągnęła nosem.

– A ja będę udawała, że w to wierzę...

Rian przyciągnął ją do siebie i mocno przytulił. W końcu jednak odsunął ją, uśmiechnął się jeszcze raz, a potem odwrócił i ruszył do wyjścia.

Fanny odprowadziła go wzrokiem, przyciskając do ust ręce zaciśnięte w pięści. Zamknęła oczy, gdy poczuła na ramionach dłoń Valentine'a.

– Dobra dziewczynka – powiedział i lekko uściśnął jej ramiona.

Z ust wyrwał jej się długo powstrzymywany szloch, odwróciła się i przytuliła do Valentine'a, obejmując go mocno w pasie, jakby był jedyną bezpieczną przystanią

w świecie.

– Fanny – odezwał się, kiedy łkania dziewczyny zaczęły ucichać. – Ja również muszę już iść. Odprowadzę panią do Lucille.

Podniosła na niego mokre oczy, błyszczące w świetle rozstawionych w ogrodzie pochodni.

– Gdzie? Gdzie pan będzie? Przy księciu?

Zmusił się do uśmiechu.

– Ja? Wydaje mi się, że będę jeździł w rozmaite miejsca, rozwoził rozkazy, wysuwał sugestie i starał się unikać francuskich patroli. To tylko kwestia godzin, Fanny, na razie próbujemy tylko uprzędzić pierwszy ruch Bonapartego. Ale nasza partia szachów zostanie rozegrana w najbliższych dniach, a nie tygodniach. Przysięgam, że tym razem nie pozwolimy wymknąć się Bonapartemu. Czuję, że jedna wielka bitwa rozstrzygnie o losach całej Europy.

Fanny położyła ręce na jego przedramionach, Valentine lekko objął ją w talii.

– Czy pan... czy będzie pan mógł przyjechać do Brukseli? Powiedzieć nam, jak przebiega bitwa?

– Nie, kochanie, nie sędzę. Ale będzie pani wiedziała. Już o tym mówiliśmy. Proszę stać przy oknach, jeśli zobaczy pani, że połowa Brukseli rusza w stronę wybrzeża, proszę zabrać Lucille i iść do Wigginsa. Rian musi mieć pewność, że pani to zrobi. Ja również potrzebuję takiej pewności.

Palce Fanny zacisnęły się na jego rękawach, bo w noc wdarły się nagle sygnały trąbek wzywających oddziały.

– Proszę, niech pan będzie ostrożny, Brede.

Uśmiechnął się.

– Ponieważ będzie się pani o mnie niepokoiła?

W kącikach jej ust pojawił się również leciuteńki uśmiezek.

– Ani trochę. Ale Wiggins byłby załamany, gdyby coś się panu stało.

– To prawda. Muszę mieć na względzie jego lojalne serce, prawda?

Fanny kiwnęła głową, szukając gorączkowo jakiejś dowcipnej riposty, byle nie

powiedzieć czegoś poważnego. Na próżno. Trąbki grały; tysiące werbli zaczęło zwoływać wojsko. W ciszę ogrodu wdarł się stukot końskich kopyt. Z sali balowej dobiegał płacz kobiet.

Nie wypuszczając z rąk rękawów Valentine'a, żeby nie stracić równowagi, wspięła się na palce i przycisnęła usta do jego warg. A potem cofnęła się szybko.

– Niech Bóg pana prowadzi, Brede.

Wzięła się jednak w garść, wyprostowała się i wróciła do sali balowej. W progu stanęła osłupiała na widok par, które tańczyły w najlepsze szkockiego reela. Muzyka nie przestała grać, choć wiele kobiet popłakiwało w kątach, a żołnierze w czerwonych kurtkach żegnali się w pośpiechu z gospodynią.

Panna Pitney potknęła się w tańcu i dotknęła lekko palcami dłoni młodego mężczyzny w nedorzecznie wytwornym wieczorowym stroju. Fanny zdecydowanym krokiem weszła na parkiet i stanęła przed dziewczyną, zagradzając jej drogę.

– Przepraszam – powiedziała zdyszana rudowłosa panna. – Stoi mi pani na drodze.

– Jesteś kretynką bez serca i rozumu – warknęła Fanny. – Choć nie rozumiem, dlaczego musiałam ci to powiedzieć.

Fanny odwróciła się na pięcie, zlokalizowała Lucie i wyszły.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Fanny, wyczerpana zarówno fizycznie, jak i umysłowo, zasnęła w ubraniu na niewygodnej kanapie w niewielkiej bawialni wąskiego domu lady Whalley. Od powrotu z balu u lady Richmond przespała zaledwie kilka godzin. I nic nie jadła. Nie w głowie jej były tak przyziemne sprawy.

Wychodziła z domu wielokrotnie, by wmieszać się w tłum na ulicy i łowić uchem strzępy plotek, nowin, z których próbowała potem skleić jakąś sensowną całość – obraz wydarzeń rozgrywających się na południe od miasta.

Pogłoski o zwycięstwie Bonapartego pod Ligny wywołały w mieście panikę, która jednak zmniejszyła się znacznie, gdy z Quatre Bras dotarły bardziej uspokajające informacje. Przez następnych dwanaście godzin nie nadchodziły żadne wiadomości i znowu zaczęto się obawiać najgorszego.

Frances spakowała ich ubrania i zajęła się gotowaniem, ponieważ poprzedniego ranka odkryły po przebudzeniu, że ogień w kuchni wygasł, kucharka zniknęła, a wraz z nią połowa zapasów ze spiżarni.

Wiggins sypiał w niewielkiej wozowni, uzbrojony po zęby w pistolety, noże i wiekowy garłacz, aby upewnić się, że nikt niczego nie ukradnie.

Fanny z całego serca gardziła tymi okropnymi, niestałymi ludźmi, którzy czmychali z miasta jak szczury z tonącego okrętu. Tak niedawno jeszcze ci ludzie śmiali się i tańczyli na balach, chcieli uczestniczyć w tworzeniu historii, pod warunkiem jednak, że nie będzie się to wiązało z żadnym niebezpieczeństwem.

Hałas na ulicach miasta zdawał się nigdy nie cichnąć. Wszyscy uciekali; opuszczali tonący, w ich mniemaniu, okręt Wellingtona. I przez cały ten czas, bez chwili przerwy, z nieba lały się potoki deszczu.

Fanny naciągnęła koc na głowę i zapadła w sen. Czy to na skutek własnych lęków, czy też docierających z ulicy i atakujących jej mózg hałasów i gniewnych okrzyków, był to sen niespokojny, pełen koszmarów. Koszmarów, które dręczyły ją od miesiąca, odkąd Rian opuścił Becket Hall...

We śnie nie widziała samej siebie, ale patrzyła na wszystko tak, jakby ona, dorosła Fanny, stała za plecami malutkiej Fanny. Obserwowała tę małą wersję samej siebie, ale była wyłącznie biernym obserwatorem pozbawionym wpływu na bieg

wydarzeń.

Mała Fanny miała na sobie śliczną sukieneczkę w paski. Sukienka została uszyta ze skrawków materiału pozostałego po skrojeniu eleganckiej, modnej sukni pięknej, dobrej Isabelli. Sukienka była przeznaczona na szczególne okazje. Takie jak powrót z rejsu nowego taty.

Fanny nigdy nie miała taty, więc była nim zafascynowana. Taki wielki, silny pan z dobrym uśmiechem. Będzie ją głaskał po główce i nazywał Irlandzkim Promykiem Księżycy z powodu prawie białych włosów i oczu zielonych jak trawa, a ona będzie chichotała. Bo to głupie, jak twierdził Rian. Promienie księżycy nie były przecież zielone!

Tata miał wrócić do domu już wkrótce. Fanny słyszała, jak to obiecał, gdy obejmował ich wszystkich i ścisnął na pożegnanie. Szczególnie serdeczny uścisk zarezerwował dla pięknej Isabelli, a ostatni pocałunek złożył na czółku maleńkiej Callie. Wkrótce wróci i wszyscy razem wyjadą, pożeglują do pięknego zamku w jakimś dalekim kraju.

To wkrótce mogło nastąpić, nawet dzisiaj, i właśnie dlatego Fanny włożyła najładniejszą sukienkę. Powiedziała o tym Rianowi, ale on śmiał się z niej tylko i pobiegł bawić się z innymi chłopcami. Właśnie dlatego w parę godzin później Fanny była sama na plaży, tańczyła i uskakiwała przed drobnymi falami, które leciutko całowały piaszczysty brzeg. Bardzo uważała, żeby nie zamoczyć spódnicy, unosiła ją wysoko, brodząc bosymi stopami w krystalicznie czystej wodzie.

Dorośla Fanny przyglądała się zabawie młodszej sobie i aż do bólu pragnęła złapać małą za rękę i zawołać ostrzegawczo: Uciekaj!

Mała Fanny goniła morskiego ptaka, który uciekał przed nią, bijąc skrzydłami, aż wreszcie wzbił się w niebo i wtedy spostrzegła statki. Trzy statki. Klasnęła w dłonie z radości i obejrzała się za siebie na szeroką, pustą plażę. Popatrzyła w stronę domu i drzew. Szukała Riana. Tym razem ona miała rację.

Nie, nie! Policz je! Tata miał dwa statki. Dwa, nie trzy! – dorośla Fanny chciała ostrzec młodszą siebie. To Beales. Beales! Beales miał trzy! Policz je!

Mała Fanny nie dostrzegła nigdzie Riana, więc odwróciła się i przyglądała, jak statki rzucają kotwice i spuszczaają na wodę szalupy. Osłoniła rączką oślepienie słońcem oczy i wypatrywała w pierwszej łodzi taty. Ale nie było go tam. Ani wysokiego, przystojnego Chance'a z długimi, jasnymi włosami, które rozwiewał wiatr. Ani porywczego Jacko o dudniącym głose. Ani głupiego Billy'ego.

Mała Fanny przechyliła główkę na bok i zastanawiała się, gdzie się podział tata.

Popatrz na nich! Patrz na nich! Zauważ pistolety zawieszony na szyjach!
Spójrz na ich straszliwe uśmiechy! Patrz, Fanny. Patrz!

– Fanny!

Mała dziewczynka odwróciła się na dźwięk głosu Riana. Biegł do niej z twarzą równie białą jak piasek, a długie do ramion, czarne kędziory powiewały za nim jak skrzydła ptaka.

– Do mnie, Fanny! Biegnij do mnie!

Uniosła spódnicę i puściła się pędem. Nie dlatego że się bała, ale dlatego że Rian się bał. Zderzyli się z taką siłą, że Rian o mało nie zwałił jej z nóg. Złapał ją i wsadził sobie pod pachę jak worek kartofli. Potem rzucił się do ucieczki. Na werandzie domu stała piękna Isabella i krzyczała do wszystkich:

– Uciekajcie! Pomiedzy drzewa! Schowajcie się! Uciekajcie wszyscy!
Uciekajcie!

Dorośla Fanny przestała przez chwilę obserwować samą siebie i przeniosła spojrzenie na Isabelle, która stała nieustraszenie na werandzie obok Odette, trzymającej na rękach maleńką Callie. Isabella pocałowała dziecko, nakreśliła na małym czółku znak krzyża, jak zwykła robić mama Fanny, a potem odepchnęła Odette.

Część dachu ich przestronnego domu eksplodowała nagle, wszędzie latały kawałki drewna – to jeden ze statków rozpoczął ostrzał kartaczami.

– Biegnijcie! Biegnijcie! – ponaglała ich Isabella.

Odette zaganiała przed sobą Riana niosącego pod pachą Fanny oraz co najmniej tuzin innych dzieciaków. Wkrótce skryła ich bujna roślinność.

Isabella została na swoim miejscu, zaciskając ręce na drewnianej balustradzie werandy – dobry Boże, była taka młoda... miała wówczas tyle lat, co teraz.

Odważna. Gotowa na śmierć.

Sen zmienił się. Fanny znowu była przy grupce dzieci, które schroniły się w jaskini w głębi wyspy. Zapadła noc, a potem wstał nowy dzień, wystrzały i krzyki wreszcie ucichły. Już od wielu godzin nikt nie zbliżył się do ich kryjówki, nie uderzał w poszycie, nie wołał, by wyszli. Niełatwo było zmusić najmłodsze dzieci do zachowania ciszy, Fanny ugryzła nawet Riana w rękę.

Trzynastoletni wówczas Courtland, najstarszy z dzieci ukrytych w jaskini, podał Odette uspioną Callie i wyszedł. Wrócił po długim czasie. Na jego chudych policzkach widniały ślady łez, ale oczy miał suche. Jego ubranie, ręce i bosa stopy były poplamione krwią. Już nie był trzynastoletnim chłopcem. To, co zobaczył, sprawiło, że stał się mężczyzną. Nad wiek dojrzałym i smutnym.

– Przeklęta jaskinia, nic stąd nie mogę dostrzec! Powiedz mi. Isabella żyje? – pytała Odette gorączkowo. – Widziałeś ją?

Courtland wziął od niej uspioną Callie, brudząc zakrwawionymi rękami jej białą sukienkę.

– Widziałem ją. Nikt i nic nie pozostało przy życiu.

Odette opadła na kolana i zaczęła wyć jak cierpiące zwierzę.

Kolejne obrazy przesuwaly się przed oczami Fanny tak samo jak przed laty, nie mogła odwrócić wzroku nawet wtedy, gdy jej młodsza wersja zasnęła wreszcie w chudych ramionkach Riana, zapłakana z głodu i z powodu zniszczenia pięknej sukienki.

A potem tata był przy nich. Wysoki i silny. Cichym głosem wydawał polecenia, wiedział, że posłuchają bez szemrania. Mała Fanny wdrapała się na plecy Riana i ruszyli naprzód, gęsiego przedzierając się przez gęstwinę roślinności. Szli długim rzędem, w milczeniu. Nikt się nie odzywał. Rian starał się przyciskać twarz Fanny do swego ramienia, ale wyrywała się i patrzyła. Wszędzie porozrywane na kawałki, popalone ciała.

Wszędzie krew. Wszędzie śmierć. Nawet kozy, kurczęta i krowy były martwe, z rozprutymi brzuchami.

Żaden ptak nie śpiewał. Martwą ciszę przerywały tylko łkania dorosłych mężczyzn, klęczących nad poszarpanymi ciałami.

– Fanny, nie patrz!

Ale Fanny patrzyła, gapiała się dziecinnymi, nic nierozumiejącymi oczami. Widziała wzorki na białej ścianie nad werandą. Zawijasy, całe czerwone, ociekające krwią.

– Rian, co to? – zapytała i uwolniła jedną rękę, żeby wskazać dziwne znaki.

Następnie dorosła Fanny obserwowała, jak Rian wynosił ją małą w bezpieczne miejsce. A potem zawróciła ku domowi i jeszcze raz utkwiała wzrok w tamtych wymalowanych krwią zawijasach. Teraz wiedziała, czym były. Groźbą.

„Przegrałeś. Nie licz na litość, nie licz na ratunek. Dopóki to nie będzie moje”.

– On nie zrezygnuje – wymamrotała w poduszkę załamana Fanny, kiedy dwa statki z jej snu wychodziły w morze. Wielki biały dom, wszystkie pozostałe budynki, a nawet klatki dla kurcząt stały w ogniu. – On nigdy nie zrezygnuje. Ale dlaczego? Dlaczego?

Dorosła Fanny stała teraz samotnie na piasku, wszędzie wokół niej była śmierć, cały świat płonął.

Tylko ona pozostała.

Ale co teraz? Jak on mógł odpłynąć, zostawiając ją na łasce losu?

Czas się obudzić.

– Fanny.

Ze szlochem wciągnęła powietrze, nadal pogrążona we śnie. Jednak nie zostawił jej samej na tej plaży. Wrócił po nią. Tam! Wychodził pomiędzy drzew. Jego ciemna sylwetka rysowała się wyraźnie na tle płonącego domu.

Uniosła spódnicę w kolorowe paseczki i popędziła ku niemu ze śmiechem i płaczem, wreszcie poczuła się bezpiecznie. Rian nie zostawił jej. Jak mogła być taka głupia?

– Rian! Rian, jestem tutaj! Rian, ja...

Wyszedł na słońce, skraj brudnego, szarego płaszcza obijał się o wysokie buty do konnej jazdy, długi biały szal zwisał luźno z szyi, potargane ciemnoblonde włosy opadały mu na twarz, w kąciку ust trzymał zgaszone cygaro. Spojrzenie jego oczu było nieprzeniknione, ale przenikliwe. Wyjął z ust cygaro.

– Witaj, Fanny.

– Rian? – szepnęła bez tchu. – Gdzie jest Rian?

– Obawiam się, że już nie przyjdzie. Przysłał mnie. Wiedziałaś o tym, Fanny. Nie jesteś już dzieckiem.

– Nie! To nie w porządku! To Rian... powinieneś być Rianem!

Brede znowu włożył cygaro do ust i mówił, trzymając je w prostych, białych zębach.

– W czasie sztormu każdy port jest mile widziany, prawda?

– Nie! To nie tak! Nie tak! Rian zrozumiał. Oboje zobaczyliśmy świat poza Becket Hall i... ja nawet nie wiedziałam o twoim istnieniu i... i Rian, on uśmiechnął się po prostu i... ale teraz już wszyscy jesteśmy w niebezpieczeństwie, ty także. Nie powinno cię tu być. Gdzie Rian?

– Na swoje szczęście jest wiele mil stąd i nie słyszy, jak wyjesz za nim jak zmora. Na gwiazdeczki, Fanny, obudziłabyś nawet umarłego.

Fanny wyplątała się z koców i usiadła. Nad nią stała lady Whalley w przekrzywionym czepeczku i rozpiętym szlafroku.

– Co... ja... Lucie?

– Z pewnością nie księżniczka Caroline – odparła Lucie, siadając na przeciwległej kanapie. – Szturchałam cię, aż mnie palec zabołał. Na gwiazdeczki, napędziłaś mi strachu. Okropnie krzyczałaś.

Fanny przetarła oczy, przyglądziła palcami włosy i zerwała się na równe nogi. Podeszła do okna wychodzącego na ulicę i rozsunęła aksamitne zasłony. Ulice były nadal pełne wiejskich wozów i eleganckich karet, jednokonných kariolek i pieszych. Wszyscy opuszczali miasto.

– Masz rację, Lucie, przestało padać. Wkrótce walka rozgorzeje na nowo.

– Chyba tak – mruknęła, tłumiąc ziewanie. – Lada moment Wiggins zacznie walić w drzwi i nakazywać nam wyjazd, jak co rano od... ilu to już dni? Zaczęłam liczyć czas od balu u lady Richmond.

Fanny zamknęła oczy i próbowała myśleć, choć nie otrząsnęła się jeszcze z koszmarnego snu.

– Bal był w... sobotę, czyli dwa... nie, trzy dni temu. Więc dzisiaj jest wtorek?

– Tak, to musi być wtorek. Osiemnastego. Och, i mamy czerwiec, moja droga, na wypadek, gdybyś o tym zapomniała.

Fanny pozwoliła zasłonom opaść i odwróciła się w stronę Lucie, przejęta nagłym chłodem.

– To... to moje urodziny. Nie zdawałam sobie sprawy...

– Czyż to nie uroczę? Twoje urodziny i nasz dzień zwycięstwa. No to bądź

grzeczną dziewczynką i idź na górę wziąć kąpiel i zmienić suknię. Ta jest wymięta, jakbyś w niej spała. Na gwiazdeczki! Ty rzeczywiście w niej spałaś, prawda? Jak sądzisz, czy szybko odezwą się działa? Czy to twoim zdaniem dobry znak? Wiggins twierdzi, że kiedy deszcz ustanie i ziemia trochę obeschnie, to walki rozgorzeją na nowo. Fanny? Fanny, dokąd idziesz?

Ale Fanny zniknęła już na schodach.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Bal u lady Richmond wydawał się strasznie odległy, a przecież minęły zaledwie dwa dni, odkąd Valentine pocałował Fanny na pożegnanie. Wielu oficerów nadal paradowało po kwaterze głównej w strojach wieczorowych i cienkich pantoflach z czarnej skórki, które włożyli na bal. Zabrakło im czasu na powrót do wynajętych w mieście domów i przebranie się w mundury, a potem rozgorzała bitwa pod Quatre Bras i nie mogli już wrócić do Brukseli. Na razie warunki dyktował Bonaparte.

Angielska armia była skoncentrowana pod wsią Waterloo; Uxbridge, Hill, Picton, Orange... wszyscy byli już na miejscu, na najwyższym wzniesieniu w okolicy, w pełnej gotowości, Blücher ze swymi Prusakami również solidnie się umocnił. Sprzymierzeni mieli znaczną przewagę liczebną, ale Francuzami dowodził Napoleon Bonaparte, a to oznaczało, że liczebność armii nie gwarantowała równowagi sił.

Valentine, z nerwami napiętymi jak postronki, stał na wzgórzu obok Wellingtona i czekał, aż słońce wzniesie się wyżej i osuszy ziemię. Cisza była ogłuszająca, Valentine'owi wydawało się, że słyszy niespokojne bicie stu tysięcy serc, czekających na życie lub śmierć.

A potem angielskie szeregi zaczęły śpiewać, najpierw były to pojedyncze głosy, ale pieśń szybko rozszerzyła się i tysiące gardeł podjęło nieco wulgarne strofy wyszydzające Bonapartego.

– Mam ich uciszyć, sir? – zapytał ktoś Wellingtona.

– Nie, nie, proszę to zignorować. Każdy sposób zabicia czasu jest dobry. Normalnie nie lubię dopingu, ale zawsze jest czas na rżnięcie w karty z Diabłem.

– Postrzega pan Bonapartego jako Diabła? – zaciekawił się Valentine.

– Jeśli nim jest, Valentine, to odeślemy go dzisiaj do piekła, co ty na to? Liczę, że okaże się mniej cierpliwy ode mnie i wykona pierwszy ruch. Wolę kontrować jego akcje niż inicjować własne.

Na krótko przed południem Bonaparte zrobił wreszcie marszałkowi polowemu tę grzeczność i rozpoczął bitwę zmasowanym ostrzałem artyleryjskim, za którym natychmiast poszedł atak na prawe skrzydło sił sprzymierzonych.

Wellington tak mocno klepnął Valentine'a w plecy, że ten się zachwiał.

– No, bal rozpoczęty.

Valentine odzyskał równowagę i kiwnął głową.

– Tak, wasza wysokość. Teraz my ruszamy do tańca?

– Tak – odparł Wellington. Żołnierz przyprowadził ich wierzchowce. – Bądź tak dobry i zawieź Pictonowi wiadomość ode mnie.

– Z przyjemnością, wasza wysokość...

Valentine ciężko pracował przez cały ten długi, krwawy dzień, niestrudzenie przewoził wiadomości, rozkazy i przekazywał raporty o ofiarach i sile oddziałów. Blücher był doprawdy zadziwiający – stary, siwy żołnierz, pod którym zastrzelono konia, wy dostał się spod niego i wymachując mieczem w powietrzu, krzyczał:

– Wysoko wzniescie czarną flagę, moje dzieci. Nie brać jeńców. Żadnej litości. Zastrzelę każdego, kto będzie się litował nad wrogiem.

Jego dzieci... Cóż za wspaniali żołnierze. Wet za wet, piędź za piędź, pierś w pierś. Francuskie szeregi powoli zaczynały się giąć i cofać. Valentine podjechał na swym zmęczonym wierzchowcu do Wellingtona. Był przekonany, że wkrótce będą świadkami odwrotu *Grande Armée* Bonapartego. Ostatecznego zwycięstwa. I, na Boga, niech to już będzie koniec!

Księżę z tuzin razy w ciągu tego dnia wystawiał się na niebezpieczeństwo, może nawet dwa tuziny, teraz jednak wycofał się na plac przed kwaterą główną. Nie zsiadł jednak z konia, by każdy z jego żołnierzy, podnosząc wzrok na wzgórze, mógł zobaczyć naczelnego wodza, cieszącego się wielkim zwycięstwem.

Uxbridge był przy nim, nieskazitelnie elegancki i nawet niedrażniony, choć tego dnia zabito już pod nim osiem wierzchowców. Ten, na którym siedział obecnie, był już dziewiąty. Wydawać by się mogło, że życie tego człowieka chroniły jakieś czary.

– Załamiam się teraz, prawda?

Valentine błyskawicznie odwrócił się w siodle i serce mu się ścisnęło na widok Fanny w żołnierskim mundurze. Siedziała po męsku na swojej klaczy i nie odrywała wzroku od scen rozgrywających się przed ich oczami.

– Chryste, co tutaj robisz?

Fanny patrzyła nadal wprost przed siebie.

– Ciii, Brede, proszę nie robić zamieszania. Naprawdę pan myślał, że będę siedziała bezpiecznie w Brukseli, podczas gdy niespełna dziesięć mil od miasta rozgrywa się bitwa? Dopiero co przyjechałam. Czekałam trochę dalej, na drodze. Ale przed chwilą minął mnie wóz z wiwatującymi rannymi, twierdzili, że zwycięstwo jest bliskie. I nie mylili się, prawda? Widział pan Riana?

Valentine dotknął piętami boków Shadowa i skierował go na klacz Fanny, odpychając ją nieco dalej od Wellingtona i Uxbridge'a.

– Najchętniej przełożyłbym panią przez kolano i porządnie złoił skórę, gdyby to mogło coś dać, do cholery!

– Niech pan przestanie! – Fanny odwróciła Molly tak, by móc patrzeć na bitwę. – Proszę spojrzeć, już prawie po wszystkim. Zaraz wystawią biała flagę i... Och!

Valentine oderwał wzrok od Fanny i po raz pierwszy spojrzął ze wzgórza na pole bitwy, zasłane ciałami ludzi i koni. Akurat w tym momencie Bonaparte zdecydował się na ostatni błyskotliwy manewr. Desperackie posunięcie polegało na rzuceniu najlepszych żołnierzy, niepokonanych weteranów, których dotychczas trzymał w rezerwie, prosto na linie brytyjskie.

– Słodki Jezu!

– Na Boga! – zwrócił się Wellington z podziwem w głosie do Uxbridge'a. – Ten człowiek przynosi zaszczyt wojnie. Uxbridge, atak na całą linię.

– W jakim kierunku, wasza wysokość?

Książę nie odrywał spojrzenia od pola bitwy.

– Prosto przed siebie, oczywiście.

– Zostań tutaj – rzucił Valentine surowo w stronę Fanny i jeszcze raz wysunął się do przodu. – Rozkazy, wasza wysokość?

– Tak, Valentine – odparł Wellington takim tonem, jakby zamawiał herbatę i ciasteczka. – Niech gwardia rusza w pierwszej linii. Dać salwę ze wszystkich dział. Nie przerywać, dopóki Francuzi nie pójdą w rozsypkę. To nasza chwila, Valentine. Ta chwila przejdzie do historii.

Rzuciwszy jeszcze ostatnie spojrzenie na Fanny, Valentine ruszył naprzód i wkrótce jego wierzchowiec zniknął za zboczem wzgórza i rozmył się jak cień w dymie armatnim, ponieważ droga wiodła za liniami angielskiej artylerii. Poły jego

szarego, zniszczonego płaszcza łopotały na wietrze, gdy mknął przed siebie, nisko pochylony nad końską szyją, w pozycji, którą rekomendował nie tak dawno Rianowi.

Fanny uznała, że udawała bardzo dobrze. Nawet nie wzdrygnęła się na widok pola bitwy, leżących wszędzie ciał, krzyków rannych ludzi i rżenia koni. Nie zdawała sobie sprawy, że na świecie było aż tylu ludzi! Już nie mówiąc o martwych żołnierzach, z których wypłynęło tyle krwi, że czerwone strumyczki wiły się wśród traw i błota, tworząc małe jeziora.

Pole bitwy przypominało jej wyspę, ale zwielokrotnioną po tysiącokroć. Wszędzie ciała. Wszędzie krew.

Przez ponad dwie godziny Fanny siedziała oparta plecami o pień drzewa, tyłem do pola bitwy. Molly stała obok niej i skubała wysoką, zieloną trawę. Zatykała uszy, żeby nie słyszeć krzyków, wycia, kanonady dział, sygnałów trąbek.

Ale nie mogła uciec od zapachu unoszącego się w powietrzu prochu, wydawało jej się nawet, że czuła jego smak w ustach. Wzdrygała się, gdy powietrzem wstrząsały bliskie eksplozje, nawet ziemia pod nią drgała, ale za nic nie chciałyby znaleźć się gdzie indziej.

Dotarła tu na Molly, mozolnie przebijając się ulicami Brukseli zatłoczonymi przez wozy i karety, zmierzające w przeciwnym kierunku. Mijała rodziny, które ciągnęły spakowany w pośpiechu dobytek na wózkach czy choćby taczkach, jeśli tylko taki środek transportu udało im się zdobyć.

Wiggins przyszedł po nie, zgodnie z oczekiwaniem, ale gdy stukał do frontowych drzwi, przebrana w żołnierski mundur Fanny wymknęła się kuchennym wyjściem. Kareta lorda Brede stała na ulicy, Molly została uwiązana za nią. Fanny w jednej chwili znalazła się przy swojej klaczy, a w następnej zniknęła już wśród tłumu.

Gdy znalazła się w pobliżu kwatery głównej Wellingtona, puściła Molly galopem i wpadła do obozu, udając kuriera. „Wiadomość dla marszałka polowego!”, krzyczała do każdego, kto mógłby zakwestionować jej obecność w obozie, ale tylko dwóch żołnierzy próbowało to uczynić. Pozostali byli zbyt zajęci ochronieniem własnego życia.

Gdy dostrzegła lorda Brede w tym jego wyszarganym, burym płaszczu, nie wahała się ani chwili, choć stał na swym wysokim siwym koniu, na samym szczycie wzgórza, tuż obok Wellingtona i Uxbridge'a. Wszyscy trzej zuchwale, niemal prowokacyjnie, wystawiali się na ogień nieprzyjaciela. W ten sposób Fanny spozrzała na pole bitwy z najdogodniejszego punktu obserwacyjnego w okolicy. Kiedy zobaczyła, w co zmieniły się szerokie, wiejskie łąny, zaczęło ją dławić w gardle.

W pewnym momencie Fanny uświadomiła sobie, że do jej uszu zaczęły docierać wiwaty, których nie zdołały zagłuszyć suche wystrzały z karabinów ani odległy szcęk białej broni. Ustała rytmiczna kanonada armatnia.

– Przełamaliśmy ich linie! – wrzeszczał jakiś żołnierz, który przebiegł obok niej, młócąc rękami powietrze. – Przełamaliśmy linie wroga! Są w odwrocie!

Fanny zerwała się z ziemi i wybiegła ze swej kryjówki na szczyt wzniesienia, gdzie stali obok siebie na koniach Wellington i Uxbridge. Wrócili na punkt obserwacyjny po szarzy, którą poprowadzili na czele swych oddziałów.

Generałowie rozmawiali ze sobą, żywo gestykulując i wskazując odległe wzgórze. Nagle rozległ się świst kartacza. Fanny odruchowo upadła na ziemię. Wcisnęła twarz w błoto, jej serce biło gwałtownie.

Nie odrywając policzka od gruntu, zerknęła na lewo. Wellington i Uxbridge nawet nie drgnęli, nie padli na ziemię jak ona. Zawstydziała się nagle swojego tchórzostwa i zaczęła się gramolić na nogi.

– Mój Boże, sir – usłyszała niesamowicie spokojny głos Uxbridge’a. – Straciłem nogę.

Fanny wytarła błoto z twarzy i mrugając oczami, wpatrywała się w mężczyzn, nadal siedzących na swoich wierzchowcach. Księżę Wellington uniósł się w strzemionach i przechylił się w stronę Uxbridge’a.

– Na Boga, sir – stwierdził równie spokojnie. – Rzeczywiście.

Fanny przycisnęła ręce do ust w obawie, że zostanie oskarżona o obelgę, jeśli parsknie szalonym, histerycznym śmiechem. Co za absurda wymiana zdań! „Straciłem nogę”. „Rzeczywiście”.

Wreszcie czas ruszył z miejsca – czas, który zatrzymał się w chwili, gdy Fanny padła na ziemię. Żołnierze podbiegli do lorda Uxbridge, złapali jego nogę i wynieśli go akurat w momencie, gdy podjechał Valentine. Zgrabnie zeskoczył na ziemię i objął ramiona Fanny, zasłaniając przed jej oczami widok poważnie rannego Uxbridge’a.

– Ja... ktoś krzyknął, że już po bitwie – wyjąkała. – Och, Boże, Brede. Dlaczego?

Przyciągnął ją do siebie i mocno objął.

– Nie wiem, Fanny. Już wiele lat temu przestałem zadawać sobie to pytanie. Ale wreszcie go zmusiliśmy do ucieczki. – Odwrócił ją i wskazał w tym samym

kierunku, w jakim patrzyli przed chwilą marszałek polowy i lord Uxbridge. – Widzi go pani, Fanny? Ten sławny kapelusze i zielony płaszcz. Niech pani wyteży wzrok, Fanny. Oto człowiek, który już wie, że jedna bitwa zrujnowała jego świat.

Fanny starała się wypatrzeć Bonapartego w niewielkiej grupce żołnierzy na odległym wzgórzu. Valentine podał jej lornetkę.

– Proszę nie patrzeć zbyt wysoko, Fanny, nie bez racji nazywają go Małym Kapralem.

Przycisnęła lornetkę do oka w chwili, gdy szczupły, przygarbiony mężczyzna w ciemnozielonym płaszczu stanął na skraju porośniętej trawą polany. Skrzyżował ręce za plecami i odwrócił się. Popatrzył na pole bitwy i z poszarzałą twarzą powiedział coś do stojącego obok, obwieszzonego medalami żołnierza. Po chwili wsiadł do karety i odjechał.

Fanny opuściła lornetkę, szalenie zbulwersowana. To był ten wielki Napoleon Bonaparte, cesarz Francuzów, który chciał podbić świat? Ten mały człowieczek, taki zwyczajny, wyglądający wręcz na chorego?

– Dokąd pojedzie?

– Do Paryża – odparł Valentine cicho, przez zaciśnięte zęby. – Pewnie chce się pożegnać z przeszłością. Kiedy tym razem wpadnie w nasze ręce, zamkniemy go w znacznie mocniejszej klatce.

Fanny spojrzała w twarz Valentine'a, w jego znużone oczy. Zastanawiała się kiedyś, jak wyglądałby ten silny, tajemniczy mężczyzna, gdyby na moment przestał mieć się na baczności. Teraz już wiedziała. Był przerażająco smutny. I bardzo ludzki.

– Tylu wspaniałych ludzi poległo, Fanny. Wellington słusznie niegdyś zauważył, że poza przegraną bitwą najsmutniejszą rzeczą na świecie jest bitwa wygrana. Niech piekło pochłonie Bonapartego za to, że nie został tam, gdzie go wpakowaliśmy, i niech piekło pochłonie nas, że go nie upilnowaliśmy!

– Będziemy go teraz ścigać? Czy pan i Rian pojedziecie za nim?

Valentine potrząsnął głową.

– Francuzi są w rozsypce. Wellington, chwała Bogu, wyznaczył innych do pogoni za niedobitkami. Już po wszystkim, Fanny. Teraz, kiedy Bonaparte opuścił pole bitwy, reszta to zabawa. Jego *Grande Armée* została w końcu rozbita.

– Cieszę się, że już po wszystkim. Możemy wracać do Brukseli? Proszę. Jak tylko znajdziemy Riana...

Valentine oderwał oczy od ponurego krajobrazu.

– Nie widziała go pani?

Serce Fanny stanęło na moment, zapomniała o zmęczeniu.

– Czy go widziałam? Nie. Jeszcze nie.

Valentine otoczył ramieniem jej barki i poprowadził ją w stronę największego namiotu.

– Pewnie będzie tutaj, z pozostałymi adiutantami. – Odchylił klapę namiotu i wpuścił Fanny przed sobą do ciemnego wnętrza.

Riana nie było.

– Poruczniku Battenly – zwrócił się Valentine do pucułowatego adiutanta o rumianych policzkach, który był z Rianem na balu u księżnej Richmond. – Gdzie jest porucznik Becket?

Charles Battenly wstał powoli, podtrzymując lewe ramię wiszące na zakrwawionym temblaku.

– Wygraliśmy, sir? Wspaniale, prawda? A porucznik Becket? Nie widziałem go od chwili, gdy jak ostatni idiota zleciałem z konia i zostałem przyniesiony tutaj. Becket pojechał z rozkazem do księcia orańskiego i... nie wrócił, sir? To było... wiele godzin temu, milordzie. Powinien już być... na Boga, sir!

Fanny była już w połowie drogi do wyjścia. Biegła po Molly. Valentine deptał jej po piętach. Zgrabnie wskoczyła na konia, on dosiadł Shadowa i wskazał zachód. Zdawał sobie sprawę, że nie powinna z nim jechać, ale wiedział również, że i tak nie posłucha.

Jechali najpierw grzbietem wzniesienia, a potem w dół, powoli zmierzając ku Reille.

Na tym terenie przynajmniej od kilku godzin nie było właściwie walk, a księżę orański został ranny i zabrany. Rian już dawno powinien wrócić do kwatery głównej. Valentine nie podzielił się jednak z Fanny tą refleksją.

– Ma pani trzymać się za mną – rozkazał surowo. – Tu mogą być francuscy maruderzy. To desperaci, gotowi zabić, by zdobyć konie.

Chmury znowu przesłoniły niebo i ziemia pogrążyła się w ponurym półmroku,

co zmusiło ich do zwolnienia tempa jazdy. Gdy znaleźli się w odległości pół mili od głównego pola walki, przestali się odzywać. Nie śmieli zakłócać panującej wokół nienaturalnej ciszy.

Od czasu do czasu Brede unosił okrytą rękawiczką dłoń i dawał Fanny znak, by pozostała na miejscu, a sam schodził z siodła i przeszukiwał wnętrza napotkanych domów, stodoł, niewielkich obórek. Na próżno. Nigdzie nie natrafił na ślad Riana Becketa.

Gdy wracał i znowu wsiadał na konia, Fanny patrzyła na niego wielkimi, pełnymi przerażenia oczami i mocno zaciskała zęby. Możliwe, że Rian został ranny i odwieziony jednym z ciężkich wozów do Brukseli. To była ich jedyna nadzieja.

Nagle Molly zastrzygła uszami i wydała ciche parsknięcie.

– Molly wyczuła Jupitera! – Fanny podjechała do Valentine’a, niepomna na polecenie trzymania się za jego plecami. Serce jej waliło mocno, a w uszach tak huczało, że nie wiedziała nawet, czy krzyczała, czy też mówiła szeptem. – Jest gdzieś w pobliżu.

Valentine kiwnął głową, położył palec na ustach i cicho przeklął zapadające ciemności. Klacz coś wyczuła, to nie ulegało wątpliwości. Nie był jednak pewien, czy to był Rian, czy francuscy maruderzy. Znowu podniósł dłoń, nakazując Fanny pozostanie na miejscu, i ostrożnie ruszył w stronę obory, której kontury rysowały się na tle ciemnego nieba jakieś pięćdziesiąt stóp przed nimi.

Fanny nie miała najmniejszych wątpliwości, że Rian był w pobliżu, najprawdopodobniej ranny. Ukrył się przed wrogiem i z niecierpliwością czekał, aż ktoś go znajdzie. Trąciła piętami boki Molly i ostro ruszyła naprzód, prosto do szafasu dla krów. Dziesięć stóp od szopy zeskoczyła w biegu i popędziła ile sił w nogach do otwartego wejścia, choć Brede próbował ją zatrzymać.

– Rian? Rian, to ja. Fanny. Gdzie jesteś?

Nic. Żadnej odpowiedzi.

Valentine złapał ją za rękę i stanowczym gestem przesunął za swoje plecy. Ostrożnie zanurzyli się w prawie absolutną ciemność, stąpając uważnie po pokrytej słomą i błotem podłodze. Jakiś kształt zamajaczył niewyraźnie w mroku.

Fanny również to dostrzegła i uklękła na słomie obok leżącego na boku konia.

– Jupiter. Och, Jupiter – szepnęła cichutko i położyła dłoń na końskim pysku.

Jedynie widoczne oko Jupitera łypnęło dziko, zwierzę próbowało wstać, ale

zaraz padło znowu na ziemię.

Valentine również ukląkł i badał wzrokiem bok konia.

– Dostał postrzał. W brzuch – stwierdził lakonicznie. – Nie można już nic dla niego zrobić, jedynie skrócić jego cierpienie.

– O, Boże. – Fanny pochyliła się i dotknęła czołem końskiego policzka. – Gdzie jest Rian? On nie zostawiłby Jupitera w takim stanie. To niemożliwe. Nie dobrowolnie.

Valentine wstał i szybko przeszukał niewielką obórkę przeznaczoną dla zaledwie trzech krów. Znalazł szablę. Odwrócony tyłem do Fanny narzucił słomę na zakrwawioną broń.

Przeniósł Riana Becketa z 13 Pułku do sztabu Wellingtona, bo wydawało mu się, że tam będzie bezpieczniejszy. Czy posłał tego pełnego zapału młodego człowieka na śmierć?

– Niech pani wyjdzie na zewnątrz, Fanny, i przytrzyma konie za uzdy. Nie możemy dopuścić, by uciekły spłoszone hukiem wystrzału.

– Nie, proszę poczekać! Może można coś zrobić – błagała. Podniosła na niego wielkie, mokre od łez oczy. – Może Rian poszedł po pomoc i...

Valentine ukląkł przy końskiej głowie. Nie był w stanie zrobić tego, co konieczne, w jej obecności.

– Proszę, Fanny. Rian na naszym miejscu zrobiłby to samo.

– Wiem. O, Boże, wiem... – Wycisnęła pocałunek na pysku Jupitera, wierzchem dłoni wytarła mokre policzki, wstała i chwiejnie wyszła przed szaląs. Złapała oba konie za uzdy, stanęła pomiędzy nimi i zaczęła przemawiać do nich łagodnie.

– Wszystko w porządku, moje śliczne. Nie ma powodu do niepokoju, nie ma powodu do obaw. Nie ma powodu... – Drgnęła na dźwięk ostrego strzału z pistoletu i mocniej przytrzymała uzdy, bo oba konie uniosły głowy. – Ciii. Nie ma o co się martwić... O, Boże, gdzie jesteś Rian?

Valentine wyszedł z obory z pustym pistoletem w opuszczonej dłoni. Był zmęczony. Potwornie zmęczony.

– Wszystko w porządku, Fanny?

– Będzie w porządku, jak znajdziemy Riana – odparła i podała mu wodze Shadowa. – Nie może być daleko, prawda?

Valentine położył ręce na jej ramionach i zatrzymał ją.

– Fanny, dzisiaj już go nie znajdziemy. Jest zbyt ciemno, a w pobliżu mogą jeszcze być Francuzi. Wystrzał z pewnością ich zaalarmował. Należy spodziewać się kłopotów w drodze powrotnej do kwatery głównej.

– Do kwatery głównej? Ale... ale Rian gdzieś tutaj jest. Bez konia. Najprawdopodobniej ranny. Ja nie wracam do żadnego obozu. Pan może sobie jechać... – Pogardliwie wydeła wargi. – ...skoro boi się pan ciemności. Jeżeli nie mogę posuwać się naprzód, to zostanę tutaj do rana.

– Fanny, niech pani ruszy głową, na litość boską! Riana tu nie ma. Jego koń dostał postrzał z dołu, nie na polu bitwy, ale najprawdopodobniej właśnie tutaj, w tym cholernym szałasie za nami. Co to pani mówi?

– Nic – odparła, ale jej broda zdrząła. – To mi nic nie mówi. Dlaczego miałyby mi coś mówić?

Valentine odwrócił głowę, głęboko nabrał w płuca powietrza i wypuścił je powoli. A potem znowu zwrócił oczy na Fanny.

– Był śledzony. Ścigany. Wjechał konno do obory dla krów, żeby przeczekać w ukryciu, aż pościg minie jego schronienie. To był dobry pomysł, całkiem rozsądny. Ale pościg nie minął go, Fanny. Rian został znaleziony. Schronienie stało się dla niego pułapką. Strzelali do niego. W taki sposób Jupiter został zraniony. Ale dlaczego w podbrzusze? Musiał już leżeć w momencie, gdy do niego strzelano.

– To... to gdzie jest Rian? – zapytała Fanny, przerażona.

– Skoro został osaczony, a Jupitera postrzelono, to gdzie jest Rian? Gdzie jego... ciało?

– Nie wiem, kochanie. Po prostu nie wiem. Z jakiegoś powodu zabrali go ze sobą. Może zamierzali wykorzystać go w charakterze tarczy albo zakładnika, dopóki nie oddalą się za nasze stanowiska... Gdyby tu był, z pewnością skróciłby cierpienia Jupitera. Ja o tym wiem i pani o tym wie. Przykro mi.

– Nie – powiedziała cicho Fanny. Wciągnęła urywany oddech i zaczęła walić pięściami w tors Valentine'a. – Nie! Nie! Nie! Myli się pan! Myli się pan, Brede! Pan się myli! – Nagle zabrakło jej sił. – Proszę... proszę, niech pan powie, że to nieprawda. Proszę...

Valentine przytulił wstrząsaną łkaniem dziewczynę, przycisnął jej twarz do swej piersi, bo wydawało mu się, że coś usłyszał, że coś poruszyło się w gęstych krzewach okalających oborę. Dlaczego, do licha, pozwolił jej jechać ze sobą?!

Niezbyt delikatnie wepchnął dziewczynę do obory, złapał wodze obu koni i wprowadził je do mrocznego wnętrza. Być może powtarzał błąd Riana, ale ten szałas stanowił jedyną kryjówkę w okolicy.

Fanny nie opierała się. Prawdę mówiąc, była tak wstrząśnięta, tak zrozpaczona, że nie do końca zdawała sobie sprawę z tego, co robił Valentine i co jego działania oznaczały. Wcisnęła się po prostu w najdalszy kąt obory, z dala od martwego konia Riana, oparła plecy o ścianę i skuliła się.

Valentine przywiązał luźno konie do słupa szałasu. Modlił się w duchu, by nie spłoszył ich widok martwego Jupitera lub zapach świeżej krwi. Wyciągnął z kieszeni naładowany pistolet i namacał pod słomą szablę Riana.

Ukląkł potem przed Fanny i unióś jej głowę.

– Proszę zostać tutaj – szepnął, mocno obejmując palcami jej podbródek. Tak mocno, że aż ją zabolalo. – Fanny, kochanie, posłuchaj. Zaczynij liczyć. Powoli. Jeden... dwa... trzy. Jeżeli doliczysz do pięciuset, a ja nie wrócę, albo jeśli usłyszysz strzały, wsiadaj na konia tutaj, wewnątrz obory, i ruszaj pełnym galopem tą samą drogą, którą przybyliśmy. Zostaw Shadowa i uciekaj. Fanny – położył na to słowo ogromny nacisk. – Zrozumiałaś?

Zamrugła półprzytomnie.

– Rian nie żyje, Brede – powiedziała bezradnie. – Dlaczego nie wiedziałam? Dlaczego nic nie poczułam?

– Dość tego, Fanny – rzucił ostro. – Czas pomyśleć o sobie. Chcesz tutaj umrzeć?

Potrząsnęła głową i uwolniła brodę z bolesnego uchwytu. Dlaczego nie mógł zostawić jej w spokoju?

– Nie obchodzi mnie...

– Nie? Ale mnie, do cholery, obchodzi, gdzie i kiedy umrę. I to bardzo. Nie chcę, by stało się to tutaj i teraz.

Poczuła do niego nienawiść.

– Jak pan może być taki bez serca?

Valentine pochylił się niżej. Musiał obudzić ją do życia, nawet za cenę rozniewania jej.

– Moje serce nie ma wpływu na to, co robię, Fanny. Żyję i tylko to się liczy.

Zamknęła oczy.

– Dla mnie to za mało, Brede. I dla pana to również powinno być za mało.

Valentine cofnął się gwałtownie, jakby uderzyła go w twarz. Podniósł szablę Riana i cicho ruszył do wyjścia. Zatrzymał się przy otwartych drzwiach i nasłuchiwał przez chwilę, zanim wyszedł w noc. Nie obejrzał się na Fanny.

Skierował się w prawo, plecami do ściany obory. Musiał się przeciskać między rosnącymi wokół budynku gęstymi krzewami sięgającymi mu do pasa. Zamierzał okrążyć w ten sposób całą oborę, potem zrobić kolejną rundę, tym razem w odległości dziesięciu kroków od ścian. Następnie zaś w promieniu dobrych trzydziestu stóp od miejsca, w którym siedziała skulona Fanny. Na tym terenie nie miała prawa pozostać żywa dusza. Trzydzieści stóp wolnej od wrogów przestrzeni powinno wystarczyć, by bezpiecznie wyjechali z obory i ruszyli z powrotem tą samą trasą, którą tu przybyli. Ewentualny przeciwnik był przecież pieszo, bo Shadow i Molly wyczułyby zapach innego konia, nawet mając w nozdrzach zapach krwi Jupitera.

Fanny doliczyła już zapewne już zapewne do stu pięćdziesięciu, a on nie zobaczył nikogo i niczego nie usłyszał. Był jednak zbyt doświadczony, by zlekceważyć instynkt.

W połowie trzeciego kręgu Valentine potknął się o but Riana Becketa i runął na ziemię. Jego głowa znalazła się o dwie stopy od przystojnej twarzy chłopca.

– Milordzie... – odezwał się słabym głosem Rian, wsparty niezbyt wygodnie o pień drzewa. – Proszę wybaczyć... że nie wstaję.

Valentine podciągnął się do pozycji siedzącej i przesunął spojrzeniem po ciele Riana.

– Gdzie?

– Biodro. Jupiter przewrócił się i przygniótł mnie swoim ciężarem. Chyba coś... coś w środku mi się złamało. – Rian skrzywił się. – Noga też, ale to mniejszy problem. No i to...

– Chryste – mruknął Valentine, gdy Rian daremnie próbował unieść lewą rękę. Za nimi, w obórce, Fanny nie przestawała liczyć. – Co się stało?

– Ja... wjechałem prosto na nich. Rzucili się na mnie z dwóch stron, złapali Jupitera za uzdę. Nie zauważyłem ich. Czterech, może pięciu piechurów. Jupiter zarżał, trzasnął jednego z nich kopytem i tyle nas widzieli.

– Spokojnie, Rian. Pogadamy później, kiedy wydostaniemy się stąd.

– Och, nie sądzę, sir. – Rian uśmiechnął się, w ciemności błysnęły jego białe zęby. Chmury akurat rozstąpiły się i wyszedł księżyc. – Byli na piechotę, więc myślałem, że zdołamy im uciec. Ale Jupiter musiał... musiał trafić nogą w jakąś dziurę. Zerwał się zaraz, ale kulał. Nie mogłem go przecież zostawić, prawda? Zresztą z tym biodrem nie zaszedłbym daleko. Przez chwilę bolało jak diabli. Nie pozostało mi nic innego jak... Zobaczyłem oborę. Myślałem, że znajdziemy tam bezpieczne schronienie. Ale wygląda na to... wygląda na to, że ci ludzie polowali na mnie. Oni... pokonali mnie. – Urwał i przez chwilę oddychał urywanie. – A Jupiter? Nic mu nie jest? Słyszałem strzał z pistoletu. Obudził mnie.

– Pana koń ma się doskonale – skłamał gładko Valentine, odwrócił się, nie wstając z ziemi i przyjrzał się badawczo otaczającym ich krzakom. – Jak, u licha, dostałeś się tutaj?

– To nie był mój pomysł, zapewniam pana. – Rian znowu opadł na pień drzewa, najwyraźniej tracił resztki sił, jakie mu jeszcze zostały. – Pokonali mnie. Mówiłem już o tym, prawda? Wywlekli mnie z obory i zaciągnęli tutaj. Swoich poległych również. Dwóch poległych, milordzie. Przynajmniej tyle mojego, że zabiorę ich ze sobą do piekła. Obawiam się... obawiam się, że potem straciłem przytomność. Ocknąłem się... obudził mnie huk wystrzału. Odeszli? Pewnie spłoszył ich wystrzał, więc porzucili mnie jak... jak niepotrzebny bagaż.

Napastnicy zostawili go tutaj? A więc doskonale wiedzieli, gdzie był, zaczęli się gdzieś w ciemności. Natomiast Valentine nie orientował się, gdzie byli i jak daleko uciekli.

– Czterech czy pięciu, tak? Dwaj zginęli? Czyli pozostało jeszcze dwóch lub trzech. Nie będziemy tu czekać na ich powrót, prawda, poruczniku? Muszę wydostać stąd ciebie i Fanny.

– Fanny? Słodki Jezu! Przywiózł pan tutaj Fanny? – Rian znowu próbował wstać, ale jego obrażenia okazały się zbyt poważne i ponownie opadł na pień. – Ty głupi sukinsynu!

Valentine uśmiechnął się lekko.

– W pełni się z tobą zgadzam. Chętnie porozmawiałbym o tym, jak tobie udało się zmusić ją do pozostania tam, gdzie być powinna, ale myślę, że już czas zabierać

się stąd. Pójdę po Shadowa, przyprowadzę go tutaj i przywiążę cię do siodła, bo z tymi obrażeniami nie możesz jechać konno.

– Nie. – Rian potrząsnął głową. – Już po mnie. Obaj o tym wiemy. Spowolniłbym tylko niepotrzebnie waszą ucieczkę. Proszę zabrać stąd Fanny i zmykać.

– Nie mogę tego zrobić, Becket – powiedział szybko Valentine. – Fanny jest w oborze, odchodzi od zmysłów z rozpaczy, bo wierzy, że jesteś martwy.

– Jestem martwy. A przynajmniej znaczna część mnie już nie żyje, reszta dołączy do niej lada moment. Nie czuję już nawet bólu. Obaj wiemy, co to oznacza. Nie pozwól, człowieku... nie pozwól, by mnie zobaczyła w takim stanie... by mnie takim zapamiętała. Zabierz ją stąd!

Valentine otworzył usta, by zaprotestować, ale w tym momencie huknął strzał z karabinu i kula wyrzuciła w powietrze grudkę ziemi kilka jardów od nich. Ktoś strzelił w stronę, z której dobiegały ich głosy i niewątpliwie był bardzo blisko.

– Wrócili. Ciekawe dlaczego? – Rian wyciągnął prawą rękę. – Daj mi swój pistolet, milordzie... Może... może przynajmniej jednego z nich załatwię... Zatrzymam ich przez chwilę. Daj mi go i idź. Zabierz Fanny i uciekaj.

Valentine zawsze słuchał głosu rozsądku, nie serca. Musiał kierować się rozumem, żeby pozostać przy życiu. Ale tym razem chodziło również o Fanny. Musiał ją wywieźć w bezpieczne miejsce. To było najważniejsze. Każdy na pierwszy rzut oka rozpoznałby w niej kobietę. I nietrudno się domyślić, co mogli z nią zrobić. Przez chwilę łudził się, że wystrzał z karabinu wyrwie ją z otchłani rozpaczy i lada moment Fanny wypadnie galopem z obory, zgodnie z jego instrukcją. Czuł jednak, że to płonna nadzieja. Dziewczyna nie wyjedzie stąd, dopóki nie zostanie do tego zmuszona.

Wolał nie myśleć, co Fanny z nim zrobi, jeśli dowie się kiedyś, że zostawił jej brata na pewną śmierć. Napastnicy pewnie go rozsiekają, bo w tym stanie Rian nie nadawał się na tarczę ani zakładnika.

Ale gdyby został tutaj, na straży Riana, nie mógł równocześnie chronić Fanny ukrytej w oddalonej o trzydzieści stóp szopie, to było niemożliwe. Szczególnie, że miał tylko szablę i jeden pistolet. A na dodatek nie widział wroga.

Fanny jednak miała szansę przeżyć.

– Nie strzelili drugi raz, może skończył im się proch. Mogę spróbować zająć ich od tyłu – powiedział cicho Valentine, rozglądając się uważnie na wszystkie strony.

– Nie ma czasu. Idź już, na litość boską!

W wysokim krzaku na lewo od Valentine'a rozległ się jakiś szelest. Jeśli było ich dwóch czy trzech, to bez wątpienia rozdzielili się i podchodzili z różnych stron, by spotkać się przy ofierze. Przynajmniej on by tak zrobił. Jeden z nich mógł też zbliżyć się już do obory. Bez wątpienia chodziło im o konie. On na ich miejscu próbowałby zdobyć konia.

Decyzja była oczywista. Nie miał właściwie wyboru. Valentine odbezpieczył pistolet, bo podejrzewał, że Rianowi nie starczyłoby na to sił, i podał go chłopakowi.

– Z Bogiem, poruczniku Becket.

Rian wziął pistolet i przyjrzał mu się.

– Zastanawiam się, czy lepiej użyć go przeciw zabojadom, czy przeciw sobie? Hm? Nie, jestem zbyt wielkim tchórzem, żeby to zrobić. Zresztą mam ochotę zabrać ze sobą jeszcze jednego. Proszę mi coś obiecać. Proszę mi obiecać, że zaopiekuje się pan Fanny. Że... że zmusi ją pan, by o mnie zapomniała. Ona... musi o mnie zapomnieć.

Valentine nie rozumiał, o co chodziło Rianowi. Zapomnieć o nim? O bracie? Dlaczego? Ale nie było już czasu na konwersacje.

– Zaopiekuje się nią, Rianie. Daję ci słowo honoru.

Rian uśmiechnął się melancholijnie.

– Zrzuciłem panu na barki ciężki obowiązek, milordzie, prawda? Ale wydaje mi się, że bywają większe nieszczęścia niż Fanny. – Valentine podniósł się już na kolana, gotów do ucieczki, ale Rian zatrzymał go jeszcze na chwilę. – Proszę zaczekać.

– Mogę cię stąd wynieść. Na plecach.

– Nie. – Rian potrząsnął głową. – Tylko... czy wygraliśmy, milordzie? Posłaliśmy tych sukinsynów do diabła?

Valentine uśmiechnął się ponuro.

– O, tak, przyjacielu. Z całą pewnością.

Rian zamknął oczy, usatysfakcjonowany.

– To dobrze. Szkoda, że tego nie widziałem. A teraz proszę ją stąd zabrać.

Valentine wycofywał się pochylony, pod osłoną wysokich krzewów i cienkich drzew. Przełożył szablę do lewej ręki, a w lewej zaciskał sztylet, który dobrze mu posłużył przy niejednej okazji.

Wejście do obory było pogrążone w mroku, natomiast na zbocze przed budynkiem padały promienie księżyca, oświetlając jakieś niepokojące, ruchome cienie. Valentine musiał jednak zaryzykować i z bronią w gotowości dopaść szalasu. Miał nadzieję, że Fanny nadal tam była. Żywa.

Gdy wpadł do obory, siedziała wciśnięta w ten sam kąt, obejmując ramionami kolana. Podniosła wzrok, zaskoczona, ale nie odezwała się. Nie ruszyła się z miejsca.

Valentine złapał ją za rękę i bezceremonialnie poderwał na nogi. Niemal wrzucił ją na siodło i pochylił jej głowę nad szyją Molly, a potem sam wskoczył na Shadowa i złapał wodze klaczy.

– Nie podnoś głowy, kiedy będziemy wyjeżdżać, bo spadniesz z konia – powiedział, pochylił się nad szyją Shadowa i ruszył.

Oba konie wypadły z obory galopem, muskularny bark Shadowa uderzył niespodziewanie w ciemną postać, która czała się przed wejściem z karabinem w rękach.

– *Merde!*

Valentine widział twarz mężczyzny przez moment. W bardzo jasnych, szarych oczach malowała się zwierzęca nienawiść i przebiegłość. Na szczęście karabin nie był chyba naładowany, a napastnik postanowił posłużyć się nim jak maczugą.

W następnej chwili napastnik leżał, a Shadow i Molly pędziły w ciemnościach przez nieznaną teren. Nagle Molly potknęła się lekko, powietrze rozdarł huk wystrzału, a Fanny krzyknęła i zaczęła przechylać się w siodle w stronę Valentine'a. Podtrzymał ją, przeklinając w duchu szkarłatną kurtkę, rażąco białe bryczesy i wypolerowane do połysku sprzączki z brązu, które czyniły z niej łatwy cel.

Molly nie przewróciła się na szczęście, szybko odzyskała równowagę i pędziła równo z Shadowem. Valentine złapał Fanny za pasek od spodni i bezceremonialnie przerzucił ją przez siodło. Wbił pięty w boki Shadowa, by zmusić go do przyspieszenia, bo zdążyli już dotrzeć do drogi.

Za nimi rozległ się jeszcze jeden strzał, tym razem pistoletowy. Jeżeli istniał Bóg, to Rianowi udało się dotrzymać obietnicy i zwiększyć szanse siostry na ucieczkę.

Jeżeli nie była martwa...

Molly dotrzymywała kroku ogierowi, a Valentine modlił się i klął na przemian przez cały pagórkowaty teren, nie zatrzymując się, dopóki nie dotarł do miejsca, w którym chirurdzy w gorączkowym pośpiechu odcinali nogi i ręce, układając je przed namiotami jak sęgi drewna.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Fanny siedziała sztywno wyprostowana, z rękami złożonymi na podółku w niewielkim, otoczonym murem ogrodzie na tyłach wynajętego brukselskiego domu lady Whalley. Tego ranka grube bandaże na jej głowie zostały zastąpione przez opatrunek obejmujący prawe ucho i policzek.

Ledwie zauważyła tę zmianę. Nie narzekała na ból, nie poskarżyła się ani razu, nie zapytała również, czy po kuli, która rozorała bok jej głowy, zostaną blizny. Fizyczny ból nie miał dla niej znaczenia, a ewentualne szramy na twarzy liczyły się jeszcze mniej.

Jadła, kiedy postawiono przed nią jedzenie. Spała, czasami nawet po dwanaście godzin na dobę. Sen przynosił zapomnienie. Uwalniał od wspomnień.

Puszczając mimo uszu paplaninę Lucie, nie zainteresowała się tym, że Bonaparte abdykował w cztery dni po ucieczce z pola bitwy i że państwa sprzymierzone były już w Paryżu. To wszystko nie miało dla niej znaczenia.

Pokojówka lady Whalley, Frances, ubierała ją i rozbierała jak lalkę, zmieniała jej bandaże, a w słoneczne popołudnia wyprowadzała do ogrodu, by chora odetchnęła świeżym powietrzem.

Fanny żyła. Oddychała. Jadła i spała.

Ale to wszystko. Od ośmiu dni nie odezwała się ani słowem.

Dziewiątego dnia po południu lady Whalley miała już dosyć.

Przede wszystkim brata. Odkąd wrócił nie wiadomo skąd, przychodził codziennie i wydeptywał dziurę w dywanie jej małej jadalni – co zresztą nie obeszło jej szczególnie, bo nie był to w końcu jej dywan. Musiało ją natomiast obchodzić, że Valentine stał się mrukliwy jak niedźwiedź. I przestał się nawet golić. Miała tylko nadzieję, że zmieniał przynajmniej bieliznę.

Zachowywał się naprawdę skandalicznie! Przywiózł do niej ranną Fanny i najpierw dziękował Bogu, że Lucie była w domu i mogła mu pomóc, a potem jej nawymyślał, że została w Brukseli wbrew jego wyraźnym rozkazom.

Lucie powiedziała mu wtedy wyniośle, że nie z takiej gliny została ulepiona!

Miałaby uciekać? To doprawdy śmieszne! Nigdy nie miała wątpliwości, zawsze wierzyła święcie, że Żelazny Księżę pogoni kota Napoleonowi.

Wiedziała, że Rian Becket zginął, a Fanny została postrzelona. Valentine odjechał w dziesięć minut po oddaniu nieprzytomnej dziewczyny pod jej opiekę. Zagroził jeszcze, że jeśli nie utrzyma jej przy życiu, to musi się liczyć z poważnymi konsekwencjami.

Nic nie usprawiedliwiała jego dziwnego zachowania.

Nie przyjeżdżał, żeby odwiedzić Fanny, tylko uporczywie wypytywał o jej samopoczucie... Jeśli tak bardzo chciał o wszystkim wiedzieć, mógł wyjść do ogrodu i przekonać się na własne oczy.

Ale nie wychodził. Doprawdy, jak na inteligentnego człowieka – a Lucie nigdy nie odmawiała bratu inteligencji – zachowywał się jak wariat. Co mu otwarcie powiedziała dwie godziny temu. Kazała mu się wynosić i nie wracać, dopóki się nie umyje i nie przebierze w coś porządnego. A potem powinien iść do Fanny, bo ona, Lucie, nie zamierzała dłużej znosić jego paskudnych humorów.

Teraz zaś, w świeżo odkrytym poczuciu własnej siły, Lucie postanowiła potrząsnąć Fanny Becket i wlać jej trochę oleju do głowy. Frances twierdziła, że trzeba wyrwać dziewczynę z bezdennej rozpacz, która była może i zrozumiała, ale nie powinna trwać zbyt długo, jeśli nie miała spowodować nieodwracalnych szkód.

Wszyscy opuszczali już Brukselę, a ci, którzy pozostali, nie stanowili obecnie zbyt wesołego towarzystwa; zaszyli się w wynajętych domach i pielęgowali rannych. Pozostali wrócili do Londynu i świętowali wielkie zwycięstwo. A Lucie była ciągle uwiązana w Brukseli. To przechodziło ludzkie pojęcie!

– Fanny? Spójrz tylko, jaki piękny dzień! Na gwiazdeczki, można by powiedzieć, że nic... Hm, o tym lepiej nie mówić, prawda? Ja z pewnością nie zamierzam tego tematu poruszać. Nie, absolutnie. Jak się czujesz, kochanie? Valentine był dzisiaj i pytał o ciebie. Wydaje mi się, że jest w tobie zakochany po uszy...

Lucie przysiadła obok Fanny na kamiennej ławce i natychmiast pożałowała, że nie kazała Frances przynieść dla siebie poduszki, ponieważ szorstki kamień mógł zniszczyć jej piękną suknię.

– Wiesz, czego bym chciała, Fanny? Chciałabym, żebyś chociaż mrugnęła okiem. Zawsze tak się gapisz przed siebie? Na gwiazdeczki, to irytujące!

Fanny odwróciła głowę w jej stronę. I mrugnęła. A potem znowu wbiła wzrok w przestrzeń. To była wyraźna odprawa.

– Dosyć tego! – rzuciła ostro Lucie i zerwała się z ławki. – To, co się stało, było straszne. Taki piękny, młody mężczyzna! Zginęło tylu pięknych, młodych mężczyzn. A biedny Uxbridge stracił nogę. Na gwiazdeczki, kazał ją tutaj pogrzebać... to znaczy nogę...i zamierza postawić jej pomnik. Tak zachowują się Brytyjczycy. My zawsze dumnie unosimy głowy i żyjemy dalej! Nie roztkliwiamy się nad sobą.

Fanny spojrzała na nią beznamiętnie.

– Odejdź, Lucie.

– Ach! Przemówiłaś wreszcie! Wspaniale. Już zaczęłam się obawiać, że ta kula odebrała ci mowę. To byłoby okropne. Ja oszalałabym, gdybym nie mogła mówić. Valentine kazałby pewnie wznieść pomnik z wdzięczności, że straciłam głos... Ale nie, nie będę się wygłupiać. Nie po to tutaj przyszłam, choć nie najlepiej nadaję się na pocieszycielkę, prawda?

Fanny przyznała w duchu, że Lucie zupełnie nie nadawała się na pocieszycielkę. Ale wzmianka o Valentinie wyrwała ją z odrętwienia.

– Czy Brede... go znalazł? – zapytała, choć wcale nie chciała usłyszeć odpowiedzi.

Lucie zmarszczyła brwi.

– Kogo znalazł, kochanie? A! Więc to tym się zajmował? Na gwiazdeczki, to mi nie przyszło do głowy. Szukał twojego brata... Och, nie. Nie sądzę. Nic o tym nie wspominał.

Usiadła ponownie i ujęła Fanny za rękę.

– Ale trzeba było w pośpiechu grzebać poległych, kochanie. Jest gorąco, sama rozumiesz. Wiggins przy tym pomagał, biedak. Tysiące, tysiące zabitych. Niestety, większość została pochowana w masowych grobach.

Fanny skrzywiła się, nie potrafiła ukryć bólu na myśl o ciele Riana wleczonym do jakiejś dziury.

– Ale postawimy mu pomnik, prawda? Skoro Uxbridge mógł postawić pomnik swojej głupiej nodze, to my możemy... Nie patrz tak na mnie, Fanny. Przepraszam. Nie najlepiej mi idzie, prawda? Nie mam praktyki w takich sprawach. Nawet kiedy zmarł mój własny mąż, nie wiedziałam, jak się zachować. Podczas ceremonii pogrzebowej zaczęłam chichotać. To był nerwowy chichot, ale ta jędza, jego matka, nie odzywa się do mnie od tego czasu. Choć, szczerze mówiąc, to dla mnie niewielka

strata...

Fanny wstała.

– Chyba powinnam wracać do domu, nawet bez jego ciała. – Wreszcie, po wielu dniach, podjęła decyzję. Dotychczas w ogóle nie potrafiła zebrać myśli. – Nie mam na to ochoty, ale muszę powiedzieć im o Rianie.

Za jej plecami rozległo się ciche chrząknięcie.

– Już do nich napisałem, Fanny – powiedział Valentine. – Kilka dni temu. A właściwie do Jacka. On podejmie decyzję, w jaki sposób przekazać tę wiadomość rodzinie. Starszy sierżant Hart został lekko ranny, więc namówiłem go, żeby zawiózł list do Romney Marsh. Zorganizowałem mu transport.

Fanny poszukała wzrokiem Valentine'a. Stał sześć stóp za nią w swym czarnym, miejskim ubraniu. Był zmęczony i szczuplejszy niż dawniej. Wydawał się starszy. Najchętniej rzuciłaby mu się w ramiona i poprosiła, by mocno ją objął. Ale skinęła tylko głową na znak, że dotarli do niej jego słowa.

– Starszy sierżant Hart. To dobry człowiek. Dziękuję, Brede.

Valentine podszedł bliżej. Na widok opatrunku znowu ścisnęło mu się serce. Kula drasnęła bok jej głowy i pozbawiła ją przytomności. Rana była powierzchowna, ale spowodowała wielki upływ krwi, więc kiedy dojechał do obozu i zdjął Fanny z siodła, był przekonany, że dziewczyna nie żyje. Gdyby Molly nie potknęła się w tamtym momencie, postrzał okazałby się fatalny w skutkach.

– Powiedział, że zaoferowała mu pani dom w Becket Hall. Postanowił skorzystać z zaproszenia, bo doszedł do wniosku, że nie ma już ochoty oglądać więcej żadnych bitew. Jak pani się czuje, Fanny? Jak rana? Miewa pani bóle głowy?

Potrząsnęła głową, nie patrząc mu w oczy.

– Od paru dni już nie. – Dotknęła ręką bandażu. – Nie pamiętam chwili, w której zostałam postrzelona. Myśli pan, że Rian również nie pamiętał? Zanim umarł? Nie mogę znieść... nie mogę znieść myśli, że cierpiał.

– Więc proszę o tym nie myśleć, Fanny. Nic dobrego z tego nie przyjdzie. Lucille?

Siostra wstała z ławki i splotła przed sobą ręce.

– Tak, tak. Muszę poinstruować Frances, żeby wzięła się do pakowania. Niedługo wyjeżdżamy, prawda, Valentine? Teraz, kiedy Fanny wydobrzała... no,

przecież zaczęła mówić...

– Lucille.

– Tak, tak, już idę. – Uniosła spódnicę i obeszła brata dookoła. – Mógłbyś przynajmniej udawać cywilizowanego człowieka, wiesz? Proste „dziękuję” siostrze, która... Na gwiazdeczki! Nie morduj mnie wzrokiem!

Valentine zaczekał, aż siostra zniknie we wnętrzu domu, i usiadł obok Fanny na ławce.

– Próbowałem, kochanie. Ale nie zdołałem go odnaleźć. Przykro mi.

Fanny przygryzła zębami dolną wargę i kiwnęła głową.

– Nie dowiemy się nigdy, co go spotkało, prawda?

– Raczej nie – przyznał Valentine. Bardzo chciał powiedzieć jej prawdę. O tym, jak znalazł Riana. I jak go zostawił. Jak następnego dnia z samego rana wrócił do tamtej obórki, ale ciała Riana nie było... Jak pojechał na południe śladem cofających się Francuzów i szukał. Przez cały czas próbował zrozumieć sens słów Riana, próbował sobie wytłumaczyć obecność mężczyzny o jasnych oczach, którego twarz widział przez ułamek sekundy, zanim Shadow powalił go na ziemię.

Fanny znowu patrzyła przed siebie niewidzącym wzrokiem, nie dostrzegała ani ogrodu, ani muru, nie dostrzegała nic; czuła tylko nieustający, tępy ból.

Valentine siedział przy niej w milczeniu i rozpamiętywał rozmowę ze starszym sierżantem Hartem. Żołnierz powiedział mu, że rano, w dniu wielkiej bitwy ochrzczonej już bitwą pod Waterloo, w obozowisku pułku pojawił się dobrze ubrany Anglik i rozpytywał o porucznika Riana Becketa.

Hart poinformował go, że Rian służył jako młodszy adiutant Wellingtona, mężczyzna podziękował i odjechał.

– Wydał mi się dziwnie podejrzany, milordzie. Jakby wszędzie węszył za porucznikiem – powiedział Hart Valentine’owi. – Pomyślałem jednak, że to może być ktoś z rodziny, kto przyjechał tu za panną Becket, aby ją zabrać do domu. Znaleźli ją, milordzie?

Valentine odpowiedział niewyraźnym mruknięciem i odszedł, żeby w spokoju wszystko przemyśleć. Nie znalazł jednak odpowiedzi na nurtujące go pytania. Jeśli wierzyć Wigginsowi, to nikt z Becketów nie przyjechał do Brukseli w poszukiwaniu Fanny.

A więc kto rozmawiał ze starszym sierżantem? I kim byli ludzie, którzy ścigali Riana? Na pewno nie francuskimi żołnierzami. Rian odniósł wrażenie, że polowali na niego, że nie chodziło o konia. I najważniejsze ze wszystkich pytań: gdzie się podziało ciało?

– Jutro wyjeżdżamy, Fanny – odezwał się w końcu. – Mój jacht stoi na kotwicy w Ostendzie, popłyniemy prosto do Dover.

Potrząsnęła głową.

– Nie do Dover. Becket Hall leży nad kanałem La Manche i ma własny mały port. To na zachód od Dymchurch, mogę wam wskazać gdzie... O, Boże! Nie mogę wrócić do domu! Po prostu nie mogę. Jeszcze nie.

– Fanny, rodzina musi panią zobaczyć, upewnić się, że nic pani nie jest.

Zwróciła się ku niemu i złapała go za ręce, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, co robi. Jak miała ubrać w słowa ten irracjonalny lęk, który ożył w niej na widok poszarpanych ciał na polu bitwy, tę grozę z jej koszmarnych snów, która nagle stała się rzeczywistością?

Powiedziała więc to, co była w stanie powiedzieć.

– Tam jest Rian. Gdziekolwiek spojrzę, będę go widziała. Nie mogę wrócić do domu. Jeszcze nie. Nie zniosę tego. Nie potrafi pan tego zrozumieć, Brede?

„Proszę mi coś obiecać. Proszę mi obiecać, że zaopiekuje się pan Fanny. Że... że zmusi ją pan, by o mnie zapomniała. Ona... musi o mnie zapomnieć”.

– Niech pani będzie rozsądna. Prędzej czy później musi pani spojrzeć prawdzie w oczy. On odszedł. Z czasem ból osłabnie, zostaną tylko piękne wspomnienia. – Valentine zbeształ się w duchu za te żałosne frazesy. Głupiec, ostatni głupiec! Gdyby tylko mógł powiedzieć jej prawdę, że jej brat zginął jak bohater, ratując ich...

Nie mógł jednak tego powiedzieć. Podobnie jak nie mógł zdradzić, że Rian wymógł na nim obietnicę, że zaopiekuje się nią... i zmusi, by o nim zapomniała. By zapomniała o własnym bracie. Dlaczego? Dlaczego Becket powiedział coś takiego? Valentine nie mógł zasnąć, łamiąc sobie głowę nad tą dziwną prośbą.

Fanny nadal mocno ścisnęła dłonie Valentine'a. Najchętniej rozstałaby się z życiem, by raz na zawsze uwolnić się od miazdzącej trwogi. Ale Rian nie pozwoliłby na to. Jego duch goniłby za nią podczas jazdy przez trzęsawiska Romney Marsh, nie pozwoliłby jej usiąść na wysokich skałach i spojrzeć z góry na kanał. Powinna znaleźć się tam, gdzie nie będzie mógł na nią patrzeć...

Wreszcie wypuściła ręce Valentine'a, rozpięła trzy górne guziki sukienki i wyjęła zza stanika wielokrotnie złożoną kartkę. Podała ją Valentine'owi.

– Proszę to przeczytać.

Valentine rozłożył papier, który zachował jeszcze ciepło jej ciała. Natychmiast zorientował się, że miał przed sobą ostatnią wolę Riana Becketa, choć dokument różnił się zasadniczo od standardowych testamentów. Rian, jako bardzo jeszcze młody mężczyzna, nie był obeznany z podniosłym stylem, stosowanym przy spisaniu ostatniej woli.

Szybko przebiegł wzrokiem pojedynczą stroniczkę, pominął dyspozycje dotyczące jego konia, Jupitera, oraz ulubionej broni, ale zainteresował się kolekcją ołowianych żołnierzyków, które miały zostać przekazane Williamowi Henry'emu Becketowi.

– William Becket? – zapytał, przerywając na moment lekturę.

– Syn naszego brata Spencera – wyjaśniła Fanny. – To jeszcze niemowlę, a Rian już chce, żeby bawił się w wojnę.

Valentine kiwnął głową i czytał dalej. Dotarł do końca, starannie złożył kartkę i zwrócił ją Fanny. Bez słowa.

– Rian powiedział... powiedział, że przeczytamy to razem, jak wróci. I że będziemy się z tego śmiali – szepnęła Fanny, chowając testament brata z powrotem za dekolt. – Czy pan też uważa, że to zabawne, lordzie Brede?

– Wiedział przecież, że dobrowolnie podjąłem się roli pani opiekuna – odparł Valentine. – Czułem się... zaszczycony, mogąc to zrobić.

Fanny podniosła na niego oczy piekące od łez. Zdawała sobie sprawę, że zachowuje się nie fair wobec tego człowieka, ale jej potrzeba bezpieczeństwa była tak ogromna, że wszelkie lepsze instynkty musiały pójść w ką.

– Nie chodzi o rolę opiekuna, lordzie Brede. Czytał pan przecież, co napisał. Rian... Rian dał mnie panu. Jakbym stanowiła jego własność, którą mógł dowolnie dysponować.

Tak. To zastanowiło Valentine'a, ale myślał o czymś jeszcze. Niech pan ją zmusi, by o mnie zapomniała. Ona musi o mnie zapomnieć.

– To kwestia do dyskusji, Fanny – stwierdził w końcu. – Ma pani ojca, rodzinę. Wkrótce będzie pani wśród nich.

Znowu potrząsnęła głową.

– Nie mogę tam wrócić, Brede. Jeszcze nie. Nie ma go tam, ale będę go widziała na każdym kroku, gdziekolwiek pójdę, gdziekolwiek spojrzę. – Podniosła oczy do nieba, modląc się o zrozumienie Valentine’a. – Co mam zrobić?

– Ma pani rodzinę, więc adopcja nie wchodzi w rachubę. Pozostaje tylko małżeństwo.

Te słowa same padły z ust Valentine’a, zanim zdążył ugryźć się w język. Nie chciał ich wypowiedzieć, choć przez ostatnie osiem dni myślał o tym niemal bez przerwy. Myślał, pragnął, wierzył.

Fanny nie odzywała się.

– Fanny, ja... Proszę zapomnieć o tych słowach. Nie powinienem w tej chwili wywierać na panią presji. Pozwoli pani, że odwiozę ją do domu i...

– Tak – przerwała mu Fanny, zanim zdążył cofnąć słowa, które bardzo pragnęła usłyszeć, choć z innego powodu niż ten, jaki mu podała. – To dobre rozwiązanie. Rian bardzo pana podziwiał. On... wydaje mi się, że byłby zadowolony.

Znowu Rian. Co brat miał do tego, za kogo wyjdzie jego siostra?

– Pojedziemy do pana domu, oczywiście – odezwała się znowu Fanny, zanim Valentine zdążył znaleźć odpowiednie słowa. Ale nie patrzyła na niego. – W bezpieczne miejsce, jak najdalej od Romney Marsh. Tam nie będę musiała myśleć o... o złych rzeczach, które mogłyby się powtórzyć.

– O jakich złych rzeczach, Fanny? Co złego dzieje się w Becket Hall? – Valentine nic nie rozumiał i był tak zaintrygowany, jak chyba nigdy w życiu. Kim byli ci Becketowie? W jaką rodzinę wżenił się jego przyjaciel Jack Eastwood? – Fanny? Czy jest jakiś problem... w Becket Hall, w pani rodzinie? Czy dlatego pani uciekła?

Zamrugnęła powiekami i wyprostowała się, jakby wzięła się w garść na komendę, którą tylko ona usłyszała.

– Nie, oczywiście, że nie. Nie powinnam była tego mówić. Jestem... zmęczona i chciałabym wrócić do swojego pokoju. Ale decyzja zapadła, Brede? Pobierzemy się?

Chciała wstać, ale on delikatnie pociągnął ją z powrotem na ławkę, obok siebie.

– Myślę, że uda mi się zorganizować księdza na jutro rano i będziemy mogli wziąć ślub przed wyjazdem do Ostendy. Jeżeli naprawdę pani tego chce.

Fanny zamknęła oczy, żeby powstrzymać łzy. Rian chciałby tego z pewnością. Chciał, aby miała poczucie bezpieczeństwa. No i ten sen... ten dziwny sen, w którym Valentine zajął miejsce Riana. Chronił ją, pozwolił jej znowu poczuć się bezpieczną. Fanny nie do końca rozumiała, co nią kierowało, co doprowadziło ją do Valentine'a. Odette z pewnością potrafiłaby jej to wyjaśnić, ale niani tu nie było. Podobnie jak nie było Riana.

– Myślę, że Rian byłby szczęśliwy.

Valentine nic nie rozumiał. Cholerny Rian! Co go obchodziło szczęście nieboszczyka? A jednak obchodziło. Wiele zawdzięczał temu człowiekowi, bardzo wiele.

Zresztą, to nie był odpowiedni moment na zadawanie pytań. Tym bardziej że dostał przecież to, czego pragnął. Czy to znaczy, że był egoistą? Jeśli nawet, to kiedy indziej będzie się zmagał z wyrzutami sumienia!

Pomógł narzeczonej wstać z ławki, pochylił się i pocałował bandaż okrywający jej policzek.

– Rian chciałby z pewnością, żebyś ty była szczęśliwa, Fanny.

– Wiem. Dziękuję, Brede. Nie chciałabym być dla ciebie ciężarem.

– Nie będziesz – zapewnił i poprowadził ją w stronę tylnych drzwi. – Jeśli wierzyć mojej siostrze, to raczej ja będę ciężarem dla ciebie.

Wreszcie się uśmiechnęła.

– Muszę tylko pilnować, żebyś zawsze był porządnie nakarmiony – stwierdziła, po czym wbiegła na górę po wąskich schodach dla służby. Valentine wrzucił ramionami, potrząsnął głową i wyszedł...

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Byli małżeństwem od sześciu godzin. Fanny przez cały ten czas starannie unikała Valentine'a, udając ból głowy, i całą drogę przez kanał spędziła pod pokładem.

Na przystani w Dover uściskała Lucille na pożegnanie. Wiggins został z lady Whalley i jej pokojówką, żeby zająć się wynajęciem powozu i eskortować je do eleganckiej miejskiej rezydencji lorda Brede na Portland Square.

Valentine był równie zadowolony z odjazdu siostry jak ona sama. Znając Lucille, miał pewność, że jego pośpieszne małżeństwo już następnego wieczora będzie głównym tematem rozmów podczas obiadu we wszystkich domach w Mayfair. A Lucille znajdzie się w centrum zainteresowania, co ją wyraźnie cieszyło.

Fanny również z zadowoleniem obserwowała jej odjazd. Nie dlatego, że nie lubiła Lucie, bo lubiła ją naprawdę. Lucie potrafiła być całkiem zabawna na swój niemądry, samolubny sposób. Ale Fanny chciała wreszcie zostać sama z Valentine'em. Z mężem. Próbowwała nie odczuwać szczęścia z powodu tego małżeństwa, starała się koncentrować na żałobie, ale nie umiała go ignorować.

– Żono. – Valentine podał Fanny ramię. – Możemy się zatrzymać w Dover na noc, zjeść obiad w mieście i wrócić na „Pegasus” jutro rano.

Fanny podniosła na niego oczy, starała się wyczuć jego nastrój. Zwrócił się do niej tak oficjalnie. Czy to była kpina?

– Albo? – Wsunęła dłoń w zagięcie jego ramienia z nadzieją, że Valentine zaproponuje jej jakąś alternatywę, bo nie miała ochoty spędzić nocy poślubnej w gospodzie w Dover. Zdawała sobie przecież sprawę, czego oczekiwał mąż od panny młodej. Liczyła się z tym, decydując się na takie rozwiązanie. Uznała, że to niezbyt wygórowana cena za poczucie bezpieczeństwa.

A nawet bardzo niska cena, jeśli wziąć pod uwagę, jak bardzo lubiła pocałunki Valentine'a. Lubiała i tęskniła za nimi, tak jak tęskniła za jego uśmiechem i dotykiem. To było egoistyczne. W ogóle uważała się za okropną osobę, bo choć jej ukochany Rian zmarł, to serce ciągnęło ją do innego.

– Albo możemy od razu wyruszyć do Brede Manor i spędzić noc na morzu.

Chciałbym jak najszybciej sprowadzić konie na ląd. „Pegasus” nie jest przystosowany do przewozu koni.

Fanny kiwnęła głową. Molly i Shadow tłoczyły się razem w prowizorycznej zagrodzie na tylnym pokładzie za kabiną pasażerską.

– Wolałabym popłynąć dalej, jeśli nie masz nic przeciwko temu. – Nagle uśmiechnęła się, zaskoczona myślą, która w tym momencie wpadła jej do głowy. – A gdzie dokładnie znajduje się Brede Manor?

– Właściwie niezbyt daleko od Becket Hall, sądząc z twojego opisu. Twój dom jest na samym wybrzeżu, a Brede Manor w głębi lądu, kilka mil od Hastings, we wschodnim Sussex.

Tak blisko? Fanny weszła po trapie na jacht.

– Ale... na początku powiedziałaś, że wydawało ci się, że w Romney Marsh żyją wyłącznie owce?

– Bo naprawdę nigdy tam nie byłem. Z przykrością muszę przyznać, że wyjeżdżałem głównie do Brighton i Londynu. Ale zdążyłem już rzucić okiem na mapy pod pokładem i okazuje się, że od Dymchurch na wybrzeżu do Brede Manor jest w prostej linii niespełna czterdzieści mil. Jachtem będzie z pewnością dalej, z uwagi na ukształtowanie linii brzegowej. A jednak poświęcałem Romney Marsh tak mało uwagi, jakby znajdowało się na końcu świata. Nawet na moich mapach, choć muszę przyznać, że mają już ładnych parę lat, linia brzegowa Marsh jest nakreślona dość nieprecyzyjnie.

O tym Fanny dobrze wiedziała. Przecież tata wybrał Romney Marsh głównie z tego powodu. Największym atutem tego terenu była dla niego właśnie zmieniająca się nieustannie linia brzegowa, monotony krajobraz, słabe zaludnienie i powszechne wśród Anglików przeświadczenie, że te mniej więcej sto mil kwadratowych ziemi nie przedstawia sobą żadnej wartości, jeśli nie liczyć wełny i chmielu oraz towarów szmuglowanych przez lokalnych przemytników, oczywiście.

– Niespełna czterdzieści mil? Myślałam... myślałam, że mieszkasz na północy albo na zachodzie. Czy w drodze do twojego majątku... będziemy przepływać koło Becket Hall?

– Tak, ale będziemy żeglować nocą, więc nie możemy zbliżyć się zanadto do brzegu – stwierdził Valentine. Nie uszło jego uwadze, że twarz Fanny bardzo pobladła. – Zmieniłaś zdanie? Chcesz, żeby „Pegasus” tam zawinął? Czułbym się znacznie lepiej, gdybym mógł osobiście, a nie drogą listowną powiadomić twoją rodzinę o naszym małżeństwie.

– Nie! – Fanny zakryła ręką usta, jakby chciała cofnąć natychmiastową odpowiedź albo przynajmniej ubrać ją w inne słowa i usunąć z głosu nutkę paniki. Rodzina z pewnością zasypałaby ją pytaniami, również takimi, na które Fanny nie miała odpowiedzi. – To znaczy... chciałabym spędzić najbliższych kilka tygodni w twoim majątku. Przynajmniej dopóki rana się nie zagoi.

– Rana. Oczywiście. – Valentine nadal nic nie rozumiał, ale gotów był spełnić każde życzenie Fanny, byle na jej policzki powróciły rumieńce. Zawsze była taka dzielna, wręcz nieustraszona. Serce mu się ścisnęło, gdy widział jej lęk. – Pokojówka Lucille zapewniła mnie, że blizna, jeśli w ogóle pozostanie, to nie będzie wcale brzydka. Czy to tym się martwisz? Że widok bandażu przerazi twoją rodzinę?

Fanny wzruszyła lekko ramionami, odwróciła się i położyła ręce na relingu. „Pegasus” podnosił właśnie kotwicę i ponownie wypływał na kanał.

– Nie obchodzi mnie, czy zostanie jakaś blizna. A ciebie? – Podniosła oczy na Valentine’a. – Czy budziłaby w tobie odrazę?

Podniósł do ust jej rękę i patrząc prosto w oczy, przycisnął wargi do słodko pachnącej skóry.

– Byłbym zdruzgotany, gdybyś umarła. Wszystko inne jest powodem do radości.

– Dziękuję, ładnie powiedziane. – Fanny opuściła głowę, unikając jego wzroku.

Dziwne, jak silnie pociągał ją Valentine, nawet jeszcze za życia Riana.

Brede poczuł na twarzy pierwsze krople deszczu.

– Czas zejść pod pokład. Jesteś głodna?

– Chyba tak – powiedziała niepewnie i nagle poczuła się głodna jak wilk. A myślała, że już nigdy nie będzie miała ochoty na jedzenie i że nie będzie odczuwać pragnienia. Ale widać morskie powietrze potrafiło działać cuda i zgłodniała. Po raz pierwszy, odkąd odzyskała przytomność, poczuła palący ból twarzy.

Valentine sprowadził ją do odległego o kilka kroków saloniku, rozwiązał wstążki jej czepka i zdjął go ostrożnie, by nie dotknąć bandaża okrywającego prawe ucho i policzek.

– Połóż się teraz i prześpij trochę, obudzę cię, kiedy posiłek będzie gotowy. Mamy całkiem sporą kuchenkę jak na tak niewielki jacht.

Fanny zdobyła się na słaby uśmiech.

– Założę się, że został specjalnie zbudowany na twoje zamówienie i dostosowany do twoich potrzeb. Nie wolno przecież dopuścić, żebyś był głodny.

– Bo? – Valentine pytająco uniósł brew.

– Bo jak jesteś głodny, to zmieniasz się w ogra – wyjaśniła Fanny, zdejmując lekki płaszcz. – Pamiętam tamten wieczór, kiedy przywiozłeś mnie i Riana do swego... – Urwała i opuściła oczy na czubki własnych bucików.

Położył dłonie na jej ramionach.

– Masz do mnie pretensję, Fanny? Gdybym zostawił go tam, gdzie był, jego szanse nie byłyby wcale większe. Zapewne nawet mniejsze.

– Wiem – szepnęła, nie podnosząc głowy. – On był taki szczęśliwy, Brede. Wreszcie robił to, o czym zawsze marzył. Gdybyśmy potrafili przewidzieć przyszłość...

– Wypełniał swoje obowiązki, Fanny. I robił to dobrze. Został bohaterem. – A ja sukinsynem, dodał w myślach Valentine, i to najgorszego sortu. Czuł, że powinien powiedzieć Fanny prawdę. Ale zniechęciła go. Wreszcie podniosła wzrok i zobaczyła w nieprzeniknionych zazwyczaj oczach Valentine'a ból równie silny jak jej własny. Objęła dłonią jego policzek.

– Och, Brede, jak ty możesz mnie znieść? Rozczulam się nad sobą, boleję nad własną stratą i wcale nie myślę o tobie. To przecież... dzień naszego ślubu. Przepraszam.

Valentine nakrył ręką jej dłoń.

– Cierpisz po stracie brata, Fanny. Ja to rozumiem. Twoja rana jeszcze się nie zagoiła. To także rozumiem. – Uśmiechnął się lekko. – Niezależnie od tego, jak bardzo byłbym głodny, obiecuję nie zmienić się w ogra i nie prosić nowo poślubionej żony o więcej, niż będzie w stanie mi dać.

Przez zielone oczy Fanny przemknął cień. W słowach Valentine'a brzmiało autentyczne uczucie. Ale co ona właściwie wiedziała o miłości? Nie zdawała sobie sprawy, nie pomyślała nawet, że Valentine mógłby... O, Boże, ależ z niej głupia, samolubna idiotka, smarkuła udająca dorosłą kobietę. Lepiej nadawała się na żołnierza niż na żonę... a żołnierzem była fatalnym!

– Ale przecież wszyscy... wszyscy całowali damy.

– Słucham? – Valentine doszedł do wniosku, że chyba do końca życia nie zrozumie, jakimi drogami podążały myśli jego żony.

– Na balu. Rian flirtował z panną Pitney. Twierdził, że na balu wszyscy flirtują. A potem te pocałunki przed walką. To pocałunki bez większego znaczenia, prawda? To... to tylko skutek chwili. Nikt z nas nie wiedział, co nas czeka, kto przeżyje...

Kąciki ust Valentine'a uniosły się w lekkim uśmiechu.

– I sądzisz, że dlatego właśnie cię pocałowałem, Fanny? Pod wpływem chwili?

Zesztywniała.

– Sam tak powiedziałaś, pamiętasz? Że to konieczne. Że pewne rzeczy wydają się w danym momencie racjonalne. W danym momencie, Brede. To twoje własne słowa.

– Czy ty musisz pamiętać wszystkie wypowiedziane przez mnie słowa i rzucać mi je potem w twarz? – Ujął jej dłoń i złożył na niej pocałunek.

– Mówiłeś wtedy szczerze, prawda? Rian z pewnością nie powiedział aż tyle pannie Pitney. Ale przyznał się, że z nią flirtował. Więc pomyślałam... wydawało mi się, że ty tak samo jak Rian...

– Ciii, moja słodka. Za dużo myślisz. Nie łam sobie tym głowy. Zapewniam cię, że nie poprosiłbym cię o rękę, gdybym nie chciał, żebyś została moją żoną. – Postanowił wprowadzić lżejszy ton do rozmowy. – Niewykluczone, że decydujące znaczenie miał twój widok w spodniach...

– A więc nie ożeniłeś się ze mną tylko dlatego, że cię o to prosiłam? – palnęła bez zastanowienia.

– Prosiłaś? – Valentine potrząsnął głową. – Prawdę mówiąc, w mojej pamięci zapisało się to zupełnie inaczej. Nie przypominam sobie, żebyś mi się oświadczyła.

– A jednak to zrobiłam – zaprotestowała Fanny, ponieważ przynajmniej w tej jednej kwestii chciała wreszcie mieć jasność. – Zwróciłam twoją uwagę na to, że Rian dał ci mnie w testamencie. Mogłeś to przeoczyć, gdyby nie moje słowa.

– Bardzo wątpię, kochanie. Jego testament był bardzo jasno sformułowany.

Diabeł podkusił Fanny, by powiedzieć więcej.

– Ale gdybym nie bała się tak bardzo powrotu do domu, to...

– To nie wyszłabyś za mnie – dokończył Valentine. – Niezbyt to dla mnie pochlebne. Ale dlaczego, Fanny? Dlaczego tak się boisz powrotu do Becket Hall? Nie zapomniałem, co wczoraj mówiłaś: że w domu z każdego kąta będzie spoglądał na ciebie duch Riana. Ale co w tym takiego strasznego? Przecież on cię kochał, a ty kochałaś jego. Rian nie jest prawdziwym powodem twojej niechęci do powrotu, przyznaj to wreszcie. A przynajmniej nie jedynym.

Fanny przygryzła wargę. Bała się, że jeśli spróbuje powiedzieć coś więcej, to powie wszystko... A wszystkiego nikt mieszkający poza Becket Hall nie miał prawa wiedzieć. O wyspie. O powrocie tego zwyrodnialca, Edmunda Bealesa. O ostatnim roku, kiedy żyli w strachu, że wróg może pojawić się w każdej chwili i zrobić to samo, co przed laty na wyspie. O koszmarnych snach... i pojawieniu się w nich Valentine'a.

Tata i starsze rodzeństwo starali się trzymać to przed nią w tajemnicy, ale Fanny wiedziała. Świat zbliżał się do Becket Hall, w którym na długo znaleźli bezpieczne schronienie. A kiedy te dwa światy w końcu się zderzą, wszystko ulegnie zmianie, wszystko co znała i kochała. To już się zaczęło. Rian zginął. A mogli zginąć następni. Znowu.

Powinna się wstydzić. Wstydzić się własnego tchórzostwa, które kazało jej szukać bezpiecznego schronienia. A w ramionach Valentine'a czuła się bezpiecznie. Ale czy jakikolwiek mężczyzna, jakikolwiek mąż chciałby być uważany przez żonę za azył? Miała co do tego poważne wątpliwości.

– Fanny? Nie wyglądasz najlepiej, kochanie. Znowu rozboleła cię głowa?

Zamrugnęła powiekami, wyrwana nagle z zamyślenia.

– Nie, ja... Tak, chyba tak. Może powinnam się położyć?

– Tak. – Valentine poprowadził ją przez niewielki salonik do kajuty sypialnej, w której spędziła większość czasu, jaki upłynął od ich ślubu. Pchnął drzwi i przepuścił Fanny przodem. Spojrzał na szerokie łóżce, które kazał zainstalować, kiedy „Pegasus” był budowany, i pomyślał z żalem, że z pewnością nie zostanie zaproszony, by dzielić je z Fanny. – Zapukam, jak obiad będzie gotowy.

Fanny przytrzymała drzwi, zanim Valentine zdążył je zamknąć.

– Brede?

Jego głupie serce zabiło mocniej, jakby oczekiwał, że świeżo poślubiona dziewczyna jednak zaprosi go do swego łóżka. Ale to byłby błąd. Błąd, który prześladowałby go do końca życia! Nie mógł pójść do łóżka z Fanny, nawet gdyby jej się wydawało, że tego pragnie. Nie miał prawa tego zrobić, dopóki nie wyzna jej, że

zostawił Riana na pewną śmierć.

– Tak, kochanie?

– Czy... czy moglibyśmy później... porozmawiać?

– Kiedy tylko zechcesz – zapewnił z dwornym ukłonem.

Fanny podjęła decyzję. Księżę Wellington ufał Valentine'owi. I, co ważniejsze, ufał mu Rian. Kiedy Ethan poślubił Morgan, a Elly wyszła za Jacka, obaj mężczyźni zostali przyjęci do rodziny i powierzono im rodzinne tajemnice. Również Julię i Mariah, które wyszły za braci Fanny, obdarzono zaufaniem.

Co prawda na pokładzie „Pegasus” nie było taty, który dokonałby ostatecznej oceny, ale Fanny miała absolutną pewność, że jej ojciec nie zażądałby, aby Valentine'a trzymano w nieświadomości. Wiele mu zawdzięczała. Musiała wyznać prawdę.

– O czym będziemy rozmawiać? Nie wiem, Brede. Ale z pewnością znajdę jakiś temat – odpowiedziała z lekkim uśmiechem i zamknęła za nim drzwi.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Rzęsisty deszcz nie przestawał bębnić o powierzchnię morza, gęste chmury zasnuły niebo, więc kapitan „Pegasusa” musiał żeglować wyłącznie według wskazań kompasu. Wody kanału były jednak względnie spokojne, co pozwoliło stewardowi korzystać z piecyka i zaserwować Fanny i Valentine’owi prosty, ale smaczny posiłek złożony z pieczonych przepiórek oraz niewielkich, przypieczonych na brązowo ziemniaczków, rzepy i marchewek w znakomitym sosie.

Fanny pochłaniała jedzenie tak, jakby od tygodnia nie miała nic w ustach, a Valentine radował się powrotem jej apetytu. Rozparł się na krześle, uniósł kieliszek wina i obserwował z podziwem, jak opróżniała do czysta półmiski. Przebrała się w suknię, którą miała na balu u księżnej Richmond, a światło świec nadawało jej ramionom i dekoltowi złocisty połysk.

Zastanawiał się, czy Fanny zdawała sobie sprawę, jak bardzo była niezwykła i jak olśniewająco piękna. Wydatne, kuszące usta, urzekające, odrobinę skośne, zielone oczy. Wysoka, smukła, ale zaokrąglona w odpowiednich miejscach sylwetka. Czy naprawdę wierzyła, że może udawać żołnierza? Z tymi wdzięcznymi ruchami i dumnie uniesioną głową? Wystarczyło jedno spojrzenie, by Valentine rozpoznał w niej kobietę, następane sprawiło, że uległ jej nieświadomie roztaczanemu urokowi.

Początkowe pożądanie zostało wzbogacone o głębsze uczucia, gdy Fanny Becket zaprezentowała mu swą zuchwałość, nieugiętość, nieustraszonosć. Podziwiał jej odwagę i całkowitą obojętność dla jego pozycji społecznej i wpływów. Stawiła mu czoło, ośmielała się kpić z niego i lekceważyć polecenia. Miała odwagę śmiać się z niego... i sprawiała, że on śmiał się wraz z nią.

Upił łyk win. Miał już serdecznie dosyć wojaczki, ale gdy Bonaparte zbiegł z Elby, Valentine jeszcze raz stanął u boku Wellingtona. Niechętnie, bo był zmęczony nieustannym ryzykiem, które dawniej wydawało mu się takie ekscytujące; zmęczony walką i widokiem pobojowiska; śmiertelnie zmęczony rzezią.

Aż tu nagle w ten jego ponury świat wtargnęła promienna Fanny, wpadła jak burza i obróciła wniwecz jego przekonanie, że nie był już zdolny do odczuwania ludzkich uczuć. W jednej chwili odmłodził i ożył, był zafascynowany.

Marzył, by wróciła tamta kipiąca życiem i energią dziewczyna. Kaśliwa, arogancka, impulsywna, czasem szydercza.

Jej brat zginął i pograżyła się w rozpacz. To zrozumiałe. Valentine wyczuwał jednak, że nie chodziło tylko o śmierć Riana. Miał wrażenie, że obawiała się powrotu do domu. Ale dlaczego?

W końcu Fanny odłożyła widelec, wytarła serwetką usta i uśmiechnęła się do Valentine'a.

– Przepraszam. Nie zdawałam sobie nawet sprawy, jak bardzo byłam głodna. – Rzuciła szybkie spojrzenie na srebrne pokrywy, zasłaniające jeszcze kilka półmisek. – Jak myślisz, co jest pod tymi pokrywami?

– Nie wiem. Mam zadzwonić po stewarda, żeby je podniósł i nas obsłużył?

Przewróciła oczami. Na moment wróciła dawna Fanny.

– Co za bzdura, Brede. Przecież to najwyżej pięć kroków! – Zerwała się, podbiegła do tac i po chwili wróciła z odsłoniętymi już półmiskami, na których zostały pięknie ułożone brzoskwinie oblane karmelem. – Czy wiesz, że Lucille dzwoni po Frances, aby poprawiła jej poduszki pod plecami? Dla mnie to dziwne.

Valentine popatrzył na nią z uśmiechem.

– I bez wątpienia poinformowałam ją o tym.

Fanny podniosła do ust łyżeczkę, na którą przed chwilą wsunęła palcem kawałek brzoskwini. Przełknęła owoc i oblizała umazany syropem palec.

– Twoja siostra uważa mnie za dzikuskę. Twierdzi, że spełnia szlachetny uczynek, zatrudniając służbę, bo w przeciwnym razie ci ludzie poumieraliby z głodu. A ja sądzę, że jest po prostu rozpieszczona i leniwa.

– Co zapewne również jej powiedziałaś...

Fanny uśmiechnęła się, to był pierwszy prawdziwy uśmiech od bardzo dawna.

– Tak mi się wydaje, tak. A teraz została moją szwagierką i pewnie liczy na to, że będziemy się dość rzadko widywały. A ja ją naprawdę lubię.

– Jak większość ludzi. To ja jestem ogrem, pamiętasz?

Spojrzała na niego. W wieczorowym ubraniu i z włosami zaczesanymi do tyłu Valentine wyglądał bardzo dostojnie. Uświadomiła sobie nagle ze zdumieniem, że brakowało jej tego obrzydliwego, burego płaszcza, kołnierzyka rozpiętego pod szyją, zmiętego cygara w kąciku ust i potarganych włosów. Wielki lord Brede przypominał wtedy umorusanego, zaabsorbowanego zabawą chłopca.

– Wcale nie jesteś ogrem – stwierdziła stanowczo. – A przynajmniej zazwyczaj. Powiedziałabym raczej, że działasz na ludzi... przytłaczająco. Wystarczy teraz na ciebie spojrzeć: sama sztywna wyniosłość. Pewnie powinnam trząść się jak galareta. Ale ja postrzegam cię inaczej, jak pewnie wiesz.

Valentine poruszył się niepewnie. Fanny miała nad nim taką władzę.

– Nie postrzegasz mnie jako aroganta? Od kiedy?

Fanny podniosła palec do góry i przełknęła ostatni kawałek brzoskwini.

– Od dnia, kiedy zaprowadziłeś mnie do domu Lucie. Nie miałam czepka, więc nie włożyłeś kapelusza. To było bardzo uprzejme z twojej strony.

– Uprzejmość nie miała z tym nic wspólnego, moja droga – stwierdził Valentine i nieco się odprężył. – To było wyzwanie rzucone światu, bo gdyby towarzyszącą mi damę zaczęto wytykać palcami z powodu niewłaściwego stroju, ucierpiałby na tym także mój wizerunek. Ale jeżeli sam lord Brede paraduje po mieście z gołą głową, to naprawdę niewiele osób mogłoby zdobyć się na drwiny. W gruncie rzeczy chętnie zostałbym w Brukseli, żeby zaspokoić swoją ciekawość, bo podejrzewam, że po naszym wyczynie co najmniej pół tuzina elegantów i elegantek ośmieliło się paradować po ulicy bez czepka czy kapelusza. I co teraz powiesz o mojej arogancji?

Fanny zachichotała.

– Morgan twierdzi, że londyńskie elity to stado baranów i gdyby nawet poznanie Lucie nie do końca mnie o tym przekonało, to dałeś mi właśnie niepodważalny dowód, że to prawda. Zjesz swoje brzoskwinie? Bo jeśli nie masz ochoty...

Valentine podsunął jej swój talerz.

– Proszę bardzo. Ja wyjdę teraz na deszcz, żeby wypalić cygaro.

– Nie musisz wychodzić. Lubię zapach cygar. Raz nawet się zaciągnęłam, ale okazało się, że przyjemny zapach to jedno, a działanie to całkiem co innego. Potem przez wiele godzin leżałam w łóżku nieruchomo, a cały pokój wirował. Rian straszyl, że będzie skakał po materacu, aż mnie zemdli i... och.

Na tym skończyła się lekka, niezobowiązująca rozmowa. Duch Riana, który opuścił ich łaskawie na czas posiłku, wrócił na posterunek.

– Fanny? Dobrze się czujesz?

Odłożyła łyżkę i odetchnęła głęboko.

– Ja... obawiam się, że teraz tak już będzie. Na godzinę czy dwie uda mi się zapomnieć, a potem wspomnienia będą wracały ze zdwojoną siłą. Sama nie wiem, co gorsze. Zapominanie czy przypominanie sobie. – Podniosła oczy na Valentine'a. – Jak ludzie po czymś takim żyją? To tak strasznie boli.

– Z czasem ból zaczyna słabnąć, Fanny. W przeciwnym razie ludzie nie mogliby dalej żyć. Pozwolisz, że zostawię cię na chwilę samą i zajrzę do koni? Wypalę też na dworze cygaro. Nigdy nie palę pod pokładem, bo to grozi pożarem.

– Zaczekaj, wyjdę z tobą. – Fanny natychmiast zerwała się od stołu, nie chciała nawet na moment zostać sama. – Ja... mam ochotę odetchnąć świeżym powietrzem.

– Ciągle pada.

– Nie roztopię się. – Wzięła z sąsiedniej kajuty płaszcz z kapturem i narzuciła go na ramiona. Valentine założył jej kaptur na głowę.

– Nie wolno dopuścić, żeby bandaże przemokły.

– Przyznam ci się, że najchętniej pozbyłabym się już tych bandaży. Odette zawsze powtarza, że woda i mydło oraz świeże powietrze to najlepsze lekarstwa.

– Odette? A kto to taki?

Fanny starannie zawiązała troczki płaszcza i odpowiedziała dopiero po chwili. Od dłuższego czasu łamała sobie głowę, jak poruszyć temat Becket Hall. Wymyślała rozmaite sposoby rozpoczęcia tej ważnej rozmowy, ale nie przyszło jej do głowy, że mogłaby zacząć wyjaśnienia od Odette. Niemniej furtka została uchylona i postanowiła skorzystać z otwierającej się przed nią drogi.

– Odette to kapłanka voodoo, którą tata zabrał z nami do Becket Hall. Prawdziwa kapłanka. Jeśli ją rozgniewasz, Brede, to możesz resztę życia spędzić jako skrzecząca ropucha.

– Przyjmuję ostrzeżenie – odparł Valentine ze szczerym rozbawieniem. Włożył swój budy płaszcz i wciągnął na głowę wyjętą z kieszeni czarną marynarską czapkę robioną na drutach. – Powiedziałaś, że przywieźliście Odette ze sobą. Więc nie zawsze mieszkaliście w Anglii?

Fanny nie przestawała myśleć o Odette, zastanawiała się, co powiedziałyby niania na jej lęki. Może uznałaby, że Fanny posiada dar jasnowidzenia i jej obawy to projekcja nadciągającej katastrofy. A może koszmarny sen byłoby dla niej dowodem,

że w Fanny wstąpił zły duch *loa*.

– Słucham? A, tak. Rzeczywiście nie mieszkamy w Becket Hall od zawsze. Muszę ci powiedzieć, że w tym stroju nie masz raczej szansy zainicjować nowej mody w Londynie – zakpiła Fanny, kiedy Valentine otworzył przed nią drzwi prowadzące na pokład. Przesunęła się obok niego i z miłym zaskoczeniem wciągnęła w nozdrza czysty zapach ciepłego, przesyconego morską wodą powietrza.

Deszcz przeszedł w lekką mżawkę, która niewiele się różniła od mgły. Wystawiła twarz i chłonęła wilgoć, zawsze lubiła spacerować brzegiem morza podczas deszczu. Wracali potem z Rianem do domu, przemoczeni do suchej nitki, a tata mówił, że wyglądają jak mokre szczury i... Nie! Nie mogła sobie teraz pozwolić na takie wspomnienia. Rozpoczęła wreszcie wyjaśnienia, zbyt długo odkładane i absolutnie niezbędne, i musiała dokończyć swoją spowiedź.

Najpierw jednak podeszła do drewnianej zagrody, żeby zajrzeć do Molly. Valentine był tuż za jej plecami.

– Lekkie kołysanie jachtu trochę ją uspokaja – powiedział i przytknął zapalną do końca cygara. – Ale będą szczęśliwe, kiedy zacumujemy w Hastings.

– Pojedziemy do Brede Manor konno? – zapytała, gdy razem stanęli przy relingu.

– Jeśli sobie życzysz, to tak.

Fanny zmarszczyła brwi, jej nastrój znowu się zmienił.

– Nie, nie mogę. Musiałabym znowu włożyć mundur, a już nigdy tego nie zrobię.

– Znajdziemy w Hastings damskie siodło – obiecał szybko Valentine, żeby ją uspokoić. – Jeśli wolisz, to mam też w mieście powóz, czeka od paru miesięcy w stajniach w pobliżu portu. Shadowowi jednak przydałby się porządny galop, na pewno wolałby go niż trucht za kareta.

– Dziękuję. Ja również mam ochotę pogalopować. – Fanny oparła się biodrem o reling. Koniec cygara żarzył się czerwono, ale rysy twarzy Valentine'a były ledwo widoczne w ciemności. – Brede, jest coś, co ci muszę powiedzieć.

– Domyślam się. – Poszedł za jej przykładem i również oparł się o reling. – Chodzi o twoją rodzinę, prawda?

Kiwnęła głową i znowu rozpoczęła od Odette.

– Tata zabrał Odette razem z nami z wyspy. Z naszej własnej małej wyspy w pobliżu Haiti...

Przez następny kwadrans Valentine nie odzywał się, palił swoje cygaro, podczas gdy Fanny kreśliła obraz dawnego życia na wyspie, życia Geoffreya Baskina i jego rodziny oraz członków jego załogi i ich rodzin. Niczego nie ukrywała.

Opowiadała, jak kolejno ona i pięcioro innych dzieci trafiło na wyspę jako adoptowane potomstwo Geoffreya. Jak Geoffrey wraz ze swym partnerem Edmundem Bealesem z powodzeniem żeglowali na statkach kaperskich i jak Edmund okrutnie zdradził Geoffreya, gdy ten oznajmił, że porzuca wyspy i dawne „życie”. Wtedy właśnie wylądował wraz ze swą załogą na wyspie i zamordował Isabellę oraz wszystkich mężczyzn, kobiety i dzieci, którzy nie zdążyli się ukryć.

Wówczas wszyscy odwrócili się od morza, porzucili dawne życie i zapragnęli już tylko ukryć się w bezpiecznym miejscu. Przyjęli nazwisko Becket i żyli w spokoju, z dala od świata. W końcu jednak zostali zaangażowani w pomoc miejscowej ludności, której dochody z przemytu zostały zagrożone przez pojawienie się grupy brutalnych przestępców pod nazwą Gangu Czerwonych Ludzi.

Courtland Becket i pozostali członkowie rodziny kolejno wyplływali na patrole „Czarnym Duchem”, by ochraniać lokalnych przemytników. Skończyło się tym, że przyjaciel Valentine’a Jack odegrał znaczącą rolę w zdemaskowaniu przywódców gangu. Okazało się, że pracowali oni dla Edmunda Bealesa, który od dawna uchodził za zmarłego.

W zeszłym roku wyszło na jaw, że Edmund Beales parał się nie tylko przemytem, jego ambicje sięgały dalej – chciał przejąć kontrolę nad całym handlem morskim i prawdopodobnie połączył siły z Napoleonem Bonapartem...

– Beales wykorzystywał Gang Czerwonych Ludzi, żeby przemycać złoto do Francji i w ten sposób wkraść się w łaski Bonapartego – wyjaśniała Fanny Valentine’owi, który słuchał w milczeniu i próbował oswoić się z myślą, że Fanny Becket to nie tylko piękna dziewczyna. – Oczywiście to się skończyło, gdy Czerwoni Ludzie zostali ujęci, ale równocześnie Beales dowiedział się o naszym istnieniu. On... on może wrócić, Brede. Może nas znaleźć. A my nie mamy już dokąd uciec, choć tata kazał zbudować nowy statek, żeby w razie potrzeby nas stąd zabrać.

Valentine wrzucił niedopałek cygara do morza. Jego mózg pracował na najwyższych obrotach. Jako doskonale wyćwiczony żołnierz nie tylko zapamiętał każde słowo, lecz również przeanalizował każdy fakt i sporządził listę pytań. Zaczął od tego, co go osobiście najbardziej niepokoiło.

– Wróćcie na Karaiby? Gdybym cię odwiózł do domu, mógłbym cię już więcej nie zobaczyć.

Fanny zbliżała się już do końca swej opowieści i była coraz bardziej przybita. Większość z tego, co powiedziała dotychczas, знаła z relacji innych i recytowała jak wyuczoną lekcję. W tej chwili jednak najbardziej przerażały ją jej własne sny. Przeszłość dręczyła ją, to prawda. Ale to przyszłość budziła grozę.

– Nie, na pewno nie tam. Nie moglibyśmy tam wrócić. Wiesz, ja właściwie niewiele pamiętam z tamtego dnia, zostały mi tylko strzępy wspomnień, jakieś urywki. Większość z tego, co wydaje mi się, że pamiętam, w rzeczywistości znam tylko z opowieści. Ale zawsze wiedziałam, że to Rian mnie uratował i zaniósł w bezpieczne miejsce. Kiedy wyjechał po uzyskaniu patentu oficerskiego, zaczęłam... zaczęłam miewać koszarne sny. Śnił mi się tamten dzień...

Valentine zamknął jej ręce w dłoniach.

– Ciii, kochanie... Drżysz... Chętnie wszystkiego wysłucham, ale kiedy indziej. Na razie dosyć.

Gwałtownie potrząsnęła głową.

– Nie, ja muszę to z siebie wyrzucić, Brede. Muszę ci opowiedzieć, co pamiętam... co widziałam w snach. Widziałam, jak Rian biegł, niosąc mnie pod pachą. Czułam jego rękę na ustach, kiedy siedzieliśmy schowani w jaskini. Ja... pamiętam, że go mocno ugryzłam. Aż do krwi. Rian dotąd ma... miał bliznę we wnętrzu dłoni. A potem... potem tata po nas przyszedł i Rian biegł ze mną na statek. Niósł mnie na barana. Nadal mam przed oczami... swoją sukienkę. Pamiętam wszystko, w najdrobniejszym szczególe.

Odwróciła się i wbiła wzrok w majaczącą niewyraźnie w ciemnościach twarz Valentine'a.

– Ja ciągle czuję smak przeszłości, Brede. Czuję w ustach smak krwi Riana. Stałam na wzgórzu obok księcia Wellington, ale nie widziałam bitwy pod Waterloo, znowu widziałam, słyszałam i czułam smak tamtego dnia na wyspie. To było upiorne. Byłam śmiertelnie przerażona.

– Ile miałaś lat, kiedy wyspa została zaatakowana? – zapytał Valentine, starając się uporządkować w głowie to, czego się od niej dowiedział.

– Chyba trzy. Tata i Odette uznali, że wyglądam na trzylatkę, kiedy trafiłam na wyspę. Rian miał około dziewięciu. My... my obchodziliśmy urodziny tego samego dnia. Za dzień urodzin przyjeśliśmy ten, w którym tata nas znalazł. To był dzień bitwy pod Waterloo, Brede. Odtąd będę obchodziła urodziny sama. Jak zdołam to znieść?

Wciągnęła drżący oddech i po chwili kontynuowała.

– Rian był przy mnie na statku. Mówił, że nie chciałam go puścić ani na krok, w dzień i w nocy. Łaziłam za nim jak szczeniak przez cały okres naszego dorastania. Nie mógł się ode mnie opędzić, nie potrafię zliczyć, ile razy zawracałam mu głowę. Ale gdy jestem... gdy byłam z Rianem, czułam się bezpieczna.

– On cię ocalił i opiekował się tobą. – Valentine kiwnął głową. Wreszcie zaczynał rozumieć. Fanny i Riana od dzieciństwa łączyła wyjątkowo silna, choć bardzo specyficzna i przerażająca więź. Nasuwało mu się wiele pytań, ale one mogły poczekać do spotkania z Jackiem, który bez wątpienia będzie w stanie podać mu więcej szczegółów na temat Edmunda Bealesa i jego ambitnych planów.

– Tak, Rian opiekował się mną. Byliśmy nierozdzielnie związani, należeliśmy do siebie. A teraz odszedł i straciłam poczucie bezpieczeństwa. – Wysunęła dłonie z rąk Valentine'a, objęła się ramionami i mocno zacisnęła powieki. – To chyba głupie. Nie, nie chyba. Na pewno. Jestem dorosłą kobietą, nie dzieckiem. Koszmarne sny to tylko sny... Ale Edmund Beales żyje i krąży gdzieś w pobliżu, a ja nawet przy tacie i reszcie rodziny nie... nie czuję się bezpieczna...

Valentine stanął przed nią i ostrożnie wziął ją w ramiona.

– Przy mnie będziesz bezpieczna, Fanny. Przysięgam. Przy mnie zawsze będziesz bezpieczna.

Fanny przytuliła się do niego, ocierała się zdrowym policzkiem o wilgotną wełnę jego płaszcza, a ręce wsunęła pod materiał, żeby jak najmocniej objąć Valentine'a w pasie. Zamknęła oczy i czerpała z niego siłę.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Valentine nie wiedział, jak długo stali razem przy relingu. W końcu jednak, gdy deszcz znowu mocno się rozpadał, wziął Fanny na ręce i zniósł po schodkach do saloniku.

Jego umysł nadal systematyzował uzyskane od niej informacje. Ogarnęła go dziwna pokora, gdy zrozumiał, że Fanny powierzyła mu tajemnicę. Otrzymał do rąk broń, która mogła zniszczyć jej rodzinę, a otrzymał ją dlatego, że Fanny ufała, iż on nigdy tej broni nie wykorzysta.

I nie zamierzał tego zrobić. Postanowił jednak skonfrontować świeżo zdobytą wiedzę z Jackiem i wydobyć z przyjaciela wszelkie informacje, które Fanny przed nim zataiła lub których nie znała.

Nie wypuszczając jej z objęć, przeszedł przez salonik i nogą otworzył drzwi kajuty pasażerskiej. Dopiero przy łóżku postawił ją na podłodze.

Fanny położyła otwarte dłonie na jego piersi i podniosła na niego oczy. Dostrzegł w nich pytanie, ale nie strach.

– Zrobiło się późno, kochanie. – Czas, żebyś poszła spać.

Żołądek ścisnął jej się ze strachu na myśl o pozostaniu samej w kajucie. Po świeżo odbytej spowiedzi miała właściwie gwarancję, że koszmar sprzed lat powróci.

– A... gdzie ty będziesz spał?

– W salonie. Sypiałem już w znacznie gorszych warunkach.

– To śmieszne. To łóżko jest olbrzymie. Chyba możemy spać w nim oboje?

– To nie najlepszy pomysł, Fanny – powiedział Valentine. Miał nadzieję, że sama domyśli się powodu. – Rana głowy jeszcze się nie zagoiła i... masz za sobą ciężki dzień.

– Czy to z powodu tego, co ci powiedziałam? Jesteś wstrząśnięty, tak?

– Wstrząśnięty? – Valentine potrząsnął głową. – Ani trochę. Myślisz, że kaper i przemytnik mógłby zrobić wstrząsające wrażenie na szpiegu? Zresztą jeśli mam być

szczerzy, to wolałbym, żeby nikt nie zagłębiał się zanadto w drzewo genealogiczne Clementów. Każdy z nas ma w rodowodzie jakichś występnych przodków, Fanny. Szczególnie ci, którzy wywodzą swój ród od kogoś, kto w zamierzchłych czasach, w ten czy inny sposób, wydebił tytuł od któregoś z naszych królów, nie mówiąc już o jego następcach, którzy utrzymali potem ten tytuł przez kilka stuleci. Nie jestem wstrząśnięty, Fanny, jestem wściekły. Z każdą chwilą coraz bardziej wściekły na Edmunda Bealesa...

– Boję się, że mógłby nas znaleźć – wyznała Fanny. Dreszcz przebiegł jej po krzyżu na sam dźwięk jego nazwiska. – Przez tyle lat byliśmy bezpieczni, ale to się zmieniło ostatniego lata. Tata zamówił nowy statek, a mój brat Chance zaczął częściej odwiedzać dom i zamykać się z tatą, Jacko i pozostałymi braćmi na długie godziny. Zabronili mi jeździć konno po mokradłach, chyba że miałam jakąś obstawę. A potem Bonaparte uciekł z Elby, co tak rozwścieczyło Riana, że powiedział mi więcej, niż zamierzał. Wyrwało mu się, że w tej ucieczce mógł maczać palce Edmund Beales.

– Ale Bonaparte został pokonany, Fanny. Możliwe, że ta porażka oznacza upadek potęgi Bealesa.

– Ale może również oznaczać, że będzie miał więcej czasu, by nas szukać – odparła Fanny, która dobrze to sobie przemyślała. – Becket Hall jest doskonale chroniony, Brede. Wiem o tym. Ale jest również odizolowany od świata, oblany z trzech stron wodami kanału La Manche.

– Innymi słowy, atak może nastąpić od strony lądu lub morza. Albo z obu kierunków jednocześnie – myślał głośno Valentine. Tak, powinien w najbliższym czasie zawieźć Fanny do domu, na własne oczy zobaczyć Becket Hall, poznać interesującego tatę swojej żony i porozmawiać z Jackiem. Krew zaczęła szybciej krążyć w jego żyłach, był dziwnie podekscytowany perspektywą konfrontacji z Edmundem Bealesem. – Ale już dosyć na dzisiaj, kochanie. Pogadamy o tym kiedy indziej, jak będziesz silniejsza. Na razie chcę ci tylko podziękować za zaufanie.

Fanny spuściła głowę, zakłopotana.

– Wysłam za ciebie, żebyś mnie do siebie zabrał, Brede. Żebyś mnie chronił. Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda?

Uśmiechnął się lekko.

– Tak, widzisz we mnie bezpieczny port w czasie sztormu, tak?

Gwałtownie uniosła głowę i pobladła.

– To... to samo powiedziałeś w moim śnie.

– Byłem w twoim śnie? To mi pochwlebia. Pewnie chciałabyś teraz zapytać, czy nie żałuję, że ożeniłem się z tobą?

Fanny potrząsnęła głową. Wolała nie znać odpowiedzi.

– A nie przyszło ci do głowy, Fanny, że to ty mogłabyś być dla mnie portem w czasie sztormu?

– Ale... ale to śmieszne. W czym ja mogłabym ci pomóc?

Wierzchem dłoni pogładził jej policzek.

– Po pierwsze, dzięki tobie czuję, że żyję. A to już coś. Nawet jeśli raz po raz doprowadzasz mnie do szału.

Fanny poczuła nagle przypływ nowych sił, a wraz z nimi odzyskała skłonność do żartów i przekomarzania się z tym irytująco fascynującym, dobrym i niezwykle pociągającym mężczyzną.

– Wcale nie. Ja... No, może trochę tak. – Kąciki jej ust uniosły się w uśmiechu.

– Nie słuchasz moich poleceń – stwierdził Valentine. – Sądziś najwyraźniej, że rozkazy są po to, by je lekceważyć.

Kiwnęła głową.

– Jakbym słyszała starszego sierżanta Harta.

– On za tobą przepada.

– Nie wiem dlaczego. Miał przeze mnie same problemy.

– Podczas gdy w moje życie wniosłaś jedynie słodką uległość, zmieniając je w nieprzemijający piknik – zakpił Valentine i złożył na jej czole pocałunek. Zaraz jednak spoważniał. – Czas spać, Fanny. Będą jeszcze inne noce.

Fanny złapała za guzik jego koszuli.

– Ja... ja nie chcę być tej nocy sama, Brede. Zostań ze mną. Proszę.

– Fanny, na miłość boską, czy nie zdajesz sobie sprawy, że...

Nie zdawała sobie sprawy z niczego. Chciała, pragnęła, potrzebowała znaleźć się w jego ramionach. Zanim więc Valentine zaczął wyliczać potencjalne problemy,

wspięła się na palce i przycisnęła wargi do jego ust.

Valentine wiedział, że nie powinien brać jej w objęcia, z bardzo wielu powodów. Ale gdy Fanny niewprawnie pocałowała go w usta, jego ramiona same zamknęły się wokół jej smukłego ciała.

– Jeszcze raz, proszę – powiedział, gdy przerwała pocałunek. Powtórzył to, co usłyszał kiedyś od niej, zaledwie kilka dni temu, choć teraz wydawało się, że od tamtej chwili minęła wieczność. – Ale tym razem... tak.

Opuszką kciuka odsunął nieco jej dolną wargę i objął ją rozchylonymi ustami. A potem przygryzł, najpierw delikatnie, a później nieco mocniej. Przycisnął Fanny do siebie i wsunął język do wnętrza jej słodkich ust. I znieruchomiał, dając jej szansę odmowy. Ale ona objęła jego twarz rękami i przyciągnęła do siebie.

Tym razem to ona skubnęła zębami jego wargi, zuchwale naśladowała to, co robił, jak uczennica, która pragnie popisać się świeżo zdobytą wiedzą przed nauczycielem.

Valentine poddał się wreszcie losowi, jak topielec, który po raz trzeci idzie na dno. I ze szczęściem zatonął w pocałunku. Uniósł Fanny w ramionach i ułożył na satynowej pościeli w kolorze burgunda, a potem zaraz wyciągnął się przy niej.

Fanny rozkoszowała się ciepłem bijącym od niego, cudownym dotykiem i jeszcze cudowniejszym poczuciem bezpieczeństwa. Nic nie mogło jej zranić, gdy był przy niej Valentine. Ani demony z przeszłości, ani czyhające na nią w przyszłości. Nie musiała myśleć. Doświadczała i uczyła się.

Palce Fanny odnalazły guziki jego koszuli i rozpięły ją niecierpliwie, by móc wśliznąć się pod materiał i dotknąć ciepłego, silnego ciała. Położyła płasko dłoń na torsie Valentine'a i poczuła przyspieszone uderzenia serca. Może dla niego to było równie niezbędne jak dla niej? Taki człowiek jak Valentine musiał mieć przecież własne demony.

Tyle wiedział, a ona tak niewiele. Ale dokądkolwiek podążał, ona chętnie szła za nim.

Deszcz, bębniący nieustannie o pokład, przybierał na sile, morze było coraz bardziej niespokojne, bo jacht zaczął się lekko kołysać na fali, a Valentine uczył się jej i uczył ją. Ich ubrania zniknęły, ześliznęły się z gładkiej satyny na podłogę. Srebrzyste włosy Fanny rozsypały się po pościeli, a jej ciało instynktownie wygięło się w łuk, gdy Valentine okrywał pocałunkami jej szyję. Potem jego wargi powędrowały niżej, budząc w ciele Fanny nieznanne dotąd pragnienia. Wciągnął do ust brodawkę jej piersi i zaczął leciuteńko ssać. Jej ciało zareagowało natychmiast, oddech przyspieszył, a z gardła wydobył się głęboki pomruk.

Leżała biernie i akceptowała to, co robił, każdy jego nieznan, niespodziewany dotyk.

Nie wiedziała, co o tym myśleć, więc zrezygnowała z myślenia. Czuła. Poddała się całkowicie, a w głębi brzucha narastał żar. Rozpływała się w tym ogniu. Przyzwalająca. A nawet chętna. Wsunął dłoń pomiędzy jej uda i dotykał w sposób najbardziej intymny. Fanny nie była już w stanie leżeć biernie. Wbiła paznokcie w jego plecy, jakby chciała się zaczepić, przytrzymać, bo czuła, że traci kontrolę.

Valentine czuł jej rosnącą namiętność i słodkie podniecenie. Nie mógł oszczędzić jej bólu, ale chciał, żeby przynajmniej trwał jak najkrócej.

Była taka młoda, taka słodka, taka ufna. Nie chciał jej skrzywdzić. Dlaczego kobieta musiała doznać bólu, zanim mogła doświadczyć rozkoszy? Cierpienie Valentine'a, wynikające ze świadomości, że zaraz będzie musiał sprawić Fanny ból, nie było wcale mniejsze.

Wsunął się pomiędzy jej nogi i wyszeptał jej do ucha:

– Chcesz, żebym przestał, kochanie? Mogę przestać... I po prostu trzymać cię w objęciach.

Odwróciła leciutko głowę i spojrzała mu w oczy.

– Zrobiłbyś to? – zapytała cicho.

Tak, był gotów to zrobić! On, który zawsze korzystał z okazji, by zaznać rozkoszy.

– Wystarczy, że poprosisz.

– Ale nie poproszę – powiedziała i wsunęła dłonie w jego długie włosy, które opadły na twarz i w jednej chwili zmieniły budzącego lęk i szacunek lorda Brede w mężczyznę, który ryzykował życie, by pomóc jej szukać Riana. W mężczyznę, który z lekkim zdenerwowaniem pocałował ją w ogrodzie, który poprosił ją o rękę, bo martwił się o nią i czuł się za nią odpowiedzialny.

– W takim razie niech Bóg ma nas w swojej opiece, bo teraz nie będzie już odwrotu.

Położył się na niej, przerwał cienką barierę oddzielającą ich od siebie i wszedł w nią głęboko. Stłumił jej cichy krzyk bólu pocałunkiem i znieruchomiał. Przez dłuższy czas tulił ją tylko do siebie, dopiero potem zaczął się poruszać.

Fanny wczepiła się w niego z całej siły i wychodziła naprzeciw jego ruchom, aż nagle całe jej ciało zalała fala gorąca i pragnienie ustąpiło miejsca bezbrzeżnemu zachwytowi.

Dopiero wtedy Valentine przestał trzymać na wodzy własne pożądanie i pozwolił sobie na spełnienie. Ale i potem nie mógł wypuścić Fanny z ramion, bo czuł, że gdyby pozwolił jej odejść, straciłby wszystko. Dopiero w tym momencie zrozumiał, że czegoś takiego nie zaznał nigdy, a zawsze tego szukał. Przez całe życie.

Fanny leżała w niego wtulona i walczyła z sennością, ale powieki same jej się zamykały i powoli zapadała w rozkoszne poczucie absolutnej i zupełnej błogości. Valentine miał rację – to, co zrobili, było niezbędne. I potrzebne, im obojgu.

Monotonne bębnienie deszczu o dach kajuty ukołysało ją jednak do snu. Zасыpiając, uświadomiła sobie, że nie miała prawa być taka szczęśliwa, nie miała prawa czuć się taka bezpieczna...

– Och, Rian... – szepnęła cichuteńko w mrok, błagając go o wybaczenie.

W tym momencie, kiedy z ust Fanny padło ciche jak westchnienie imię brata, Valentine zrozumiał coś, co powinno być dla niego jasne od chwili, gdy dowiedział się, że ją adoptowano.

„Zmusz ją, by o mnie zapomniała. Ona musi o mnie zapomnieć”.

Wreszcie te słowa nabrały sensu.

Fanny kochała brata... który nie był w rzeczywistości jej bratem. A on, Valentine Clement, jego wysokość lord Brede, zostawił go na pewną śmierć... a potem poszedł do łóżka ze zrozwaloną, pogrążoną w żałobie siostrą, która szukała ukojenia.

Valentine wysunął się spod kołdry, znalazł swoje ubrania i przeszedł z nimi do saloniku. Ubrał się szybko i z zaciśniętymi ustami wyjął korek z kryształowej karafki, nalał sobie hojną porcję brandy i wyszedł na pokład wznieść toast za cholernego głupca, jakim się okazał.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Fanny obudziła się sama. Przez niewielkie okrągłe okienko w nogach łóżka wpadały do kajuty promienie słońca. Bulaj. Była pewna, że to okienko nosiło nazwę bulaj. Nigdy nie interesowała się żeglarstwem, wołała jeździć konno, doskonalić się w strzelaniu i szermierce z Rianem. Nie interesowała się również prowadzeniem gospodarstwa domowego w Becket Hall, więc jeśli Valentine liczył, że poprowadzi mu dom, to prawdopodobnie w ciągu najbliższych dwóch tygodni oboje umrą z głodu.

A jednak miała absolutną pewność, że takie okrągłe okienko nosiło nazwę bulaj.

Nie miała najmniejszych wątpliwości, że była w kabinie sama i może dlatego mogła myśleć o bulaju. Nie odczuwała natychmiastowej potrzeby zobaczenia się z Valentine'em po tym, co zaszło między nimi ostatniej nocy. Miała już przedtem mgliste pojęcie o tym, co się dzieje między mężczyznami i kobietami, nie była ani dzieckiem, ani idiotką. Nie zdawała sobie tylko sprawy, jak intensywne może być to doznanie. Jak dogłębnie osobiste. Intymne. Sama sprowokowała Valentine'a, a potem najpierw przyjmowała jego pieszczoty, a potem wręcz się ich domagała.

Czy go rozczarowała? Zrobili to, co robią małżonkowie w noc poślubną. Morgan już wiele lat temu podzieliła się z nią tą wiedzą, ale nawet jej opowieść nie zdołała przygotować Fanny na to, co rzeczywiście się wydarzyło.

Fanny miała kompletny mętlik w głowie. Umyła się szybko w letniej wodzie i włożyła jedną z trzech sukienek, jakie miała.

Do ściany przykręcony był okrągły zegar w ciężkiej obudowie z brązu i szkła, ale Fanny nie musiała nawet spoglądać na tarczę, by zorientować się, że słońce wzeszło już wiele godzin temu. Powiedziało jej to burczenie w brzuchu. Czowała, że przespała porę śniadania, miała jednak nadzieję, że na pokładzie „Pegasusa” zostało jeszcze trochę brzoskwiń.

Wyszła na pokład. Valentine stał przy relingu, tyłem do niej.

W nienagannie skrojonym ubraniu wyglądał bardzo oficjalnie. Nie mieściło jej się w głowie, że wbiła paznokcie w jego mocne, nagie plecy. Nie mogła uwierzyć, że ją całował i dotykał w tak intymny sposób. I nie miała najmniejszych wątpliwości, że nigdy nie będzie miała dosyć patrzenia na niego.

Nie odezwała się. Po prostu stała w miejscu i z bezgranicznym podziwem napawała się jego widokiem. Lord Brede. Jej mąż. Czy gdyby podeszła do niego i objęła go ramionami, pocałowałby ją? A może powiedziałby, że takie sprawy lepiej zostawić na wieczór?

Valentine wyczuł jej obecność. Miał już ją we krwi; jego serce biło dla niej.

– Dzień dobry, Fanny – powiedział, nie odwracając się. Był taki zmęczony i pusty, pozostał w nim już tylko wstyd. Więc, jak zwykle, schronił się za osłoną sarkazmu, szyderczy ton sprawdzał się zawsze, niezawodnie trzymał na dystans.

– Dzień dobry. Zaspałam, prawda?

– To zależy od twoich zwyczajów. Moja siostra, na przykład, uważa, że wstawanie z łóżka przed południem to barbarzyństwo graniczące ze świętokradztwem.

Opuściło ją zdenerwowanie, uniosła brwi i spojrzała na plecy Valentine'a. Był dzisiaj wyjątkowo sztywny. Może przez ten strój? Zawsze zachowywał się swobodniej, gdy miał na sobie bury łach szczurołapa. A może czekał na nią ze śniadaniem? Powinna jak najszybciej dać mu coś do jedzenia, bo gotów odgryźć jej głowę!

Nagle jednak zaczęła budzić się w niej irytacja. Jeśli Valentine miał do niej jakieś pretensje, to czemu nie powiedział po prostu, o co mu chodziło? Fanny nienawidziła kręactwa, ceniła otwartość i szczerłość. Choć z drugiej strony, właśnie przez tę bezpośredniość nieustannie wpadała w kłopoty.

Może powinna wziąć przykład z Valentine'a i nie być tak zapalczywa?

– Dobrze spałeś? – zapytała. Z determinacją nie ruszała się z miejsca, chciała go zmusić, by obejrzał się i przynajmniej na nią spojrzął. Nie przywykła, by ją ignorowano.

– Na ile było to możliwe.

Czekała... Liczyła w myślach, aby się uspokoić.

– Ja również dobrze spałam, dziękuję, że zapytałeś.

Wreszcie odwrócił się do niej. Mało brakowało, a zakryłaby usta rękami, tak nią wstrząsnął wyraz jego twarzy. A raczej kompletny brak wyrazu. Nie patrzył na nią. Patrzył przez nią. Dobry Boże, czym go aż tak rozczarowała?

– Brede?

– Podejdz tu, Fanny. Zblizamy się do rejonu, w którym przyda się twoja pomoc.

– Moja pomoc? Nie rozumiem – powiedziała, ale podeszła do relingu. Spojrzała na linię brzegową, od której dzieliła ich nie więcej niż mila.

Valentine nic nie mówił, czekał, aż Fanny sama się zorientuje, co ma przed oczami. Unikał nawet patrzenia na nią. Jak idiota! Jak ostatni dupek! – powtarzał sobie, ale nie potrafił się powstrzymać.

Fanny wychyliła się do przodu i przez kilka minut przyglądała linii brzegowej, po czym wyprostowała się.

– Jesteśmy blisko lądu. Ale czy brzeg nie powinien znajdować się z drugiej burty „Pegasus”?

– Od strony sterburty, tak, masz rację. Gdybyśmy płynęli kursem na Hastings. Ale nie płyniemy. Kiedy spałaś, kazałem zawrócić. Zaraz po północy.

– Dlaczego? – Fanny zaschło w ustach.

– Bo zabieram cię do domu. Do Becket Hall. Dopływamy już do Dungeness, ale musimy zawrócić w kierunku Dymchurch, trzymając się linii brzegowej. Becket Hall jest gdzieś pomiędzy nimi, prawda?

– Ale ja nie chcę...

– Droga żono – przerwał jej natychmiast. – Pozbądź się złudzeń, że twoje chęci mogą mieć jakikolwiek wpływ na moją decyzję. Jesteśmy małżeństwem, a po tym, co zrobiłem ostatniej nocy, już nic nie może tego zmienić. Ale przynajmniej teraz zamierzam postąpić właściwie. Zabieram cię do domu.

– I... zostawisz mnie tam? – zapytała Fanny niepewnie.

– Możliwe, przynajmniej na pewien czas. Tak będzie najlepiej. – Valentine nie mógł na nią spojrzeć. – Ty i Rian byliście nierozłączni. I nie było między wami więzów krwi.

Fanny rzuciła mu ostre spojrzenie, bo jego słowa zabrzmiały jak oskarżenie.

– Tak, sama ci o tym powiedziałam...

Spostrzegł zmieszanie i ból w jej ślicznych, zielonych oczach, ale dołożył

wszelkich starań, by to zignorować.

– I wygląda na to, droga żono, że mówisz także przez sen.

– Naprawdę? – Nagły chłód ogarnął całe ciało Fanny. – A co... co powiedziałam? Nie rozumiem, Brede. Co takiego mogłam powiedzieć?

Pozostawił to pytanie bez odpowiedzi, podniósł do oczu lunetę i przyjrzał się znowu linii brzegowej. Obserwował ją od świtu. Krajobraz zmieniał się stopniowo. Brzeg był coraz bardziej płaski, znikwały nierówne, poszarpane skały. W końcu na tle niskiego horyzontu pojawiły się karłowate drzewa, dostrzegł również odnogę cieszących się najgorszą sławą, zdradzieckich piasków Romney Sands.

Teraz w polu jego widzenia pojawiło się coś nowego: wyglądało to jak kawałek stałego lądu wrzucony ręką olbrzyma pomiędzy morze a bezmiar otaczających go z trzech stron płaskich trzęsawisk. Na tym cyplu zostało wzniesione masywne, czterokondygnacyjne gmazysko, jeśli liczyć z poddaszem. Słoneczne promienie odbijały się w co najmniej trzech tuzinach dużych okien.

Po bliższym przyjrzeniu się Valentine zauważył, że na najniższej kondygnacji nie było okien, a w odległości dwustu stóp od domu nie rosły żadne drzewa ani krzewy zasłaniające widok. Na taras prowadziły dwa skrzydła kamiennych schodów, usytuowanych w taki sposób, że ten, kto po nich wchodził, był przez cały czas widoczny z domu.

Budynek robił wrażenie. To nie był zamek obronny, nie mógł poszczycić się fosą ani wieżą. Jednak starannie go zaprojektowano i w odpowiednim miejscu wzniesiono kamienną fortecę, sprytnie udającą wiejską rezydencję.

Z tyłu, na niewielkim wzniesieniu, znajdowała się schludna wioska składająca się z długiej ulicy i kilku odchodzących od niej bocznych alejek. Valentine ze zdumieniem dostrzegł przez lunetę wyrzeźbioną w drewnie syrenę, która musiała niegdyś zdobić dziób statku.

W niewielkim, naturalnym porcie stały na kotwicy dwie korwety i fregata. Valentine gotów był się założyć, że na pokładzie tych pięknych i z pozoru niewinnych statków znajdowały się armaty.

Wreszcie uśmiechnął się, choć w jego uśmiechu nie było wesołości.

– Chyba jednak obejdzie się bez twojej pomocy. Jak powiada starożytne przysłowie: dom to dom, choćby był mało przytulny.

– O, Boże – wyszeptała Fanny i zacisnęła obie ręce na relingu, żeby nie upaść. Dom. Takim go zapamiętała. Jak mogła być taką idiotką i bać się zobaczyć go

znowu? Teraz niczego nie pragnęła tak bardzo, jak uciec z pokładu tego jachtu i schronić się w zaciszu swej sypialni. – Co ja powiedziałam? Powtórz mi, co mówiłam.

– Nic, czego nie mówiłaś już wcześniej, żono. Często i niedwuznacznie zapewniałaś mnie o swej miłości do brata. Przecież pojechałaś za nim aż do Brukseli, prawda? To ja popełniłem błąd, Fanny, cała odpowiedzialność spada na mnie. Uwiodłem bezbronną, pogrążoną w rozpacz dziewczynę. To zasługuje na chłostę, jeśli nie kulę w łeb. A teraz wybac, muszę zamienić parę słów z kapitanem.

Fanny wyciągnęła rękę, by go zatrzymać, ale doszła do wniosku, że lepiej tego nie robić. Bała się, że cokolwiek powie, zabrzmi podejrzenie i zostanie uznane za zdradę Riana. Za samolubne kłamstwo, mające na celu zjednanie Valentine'a. Jej męża. Nawet jeśli obwinił siebie o jakąś zbrodnię czy grzech, to nie oznaczało bynajmniej, że ją uważał za wolną od wszelkiej winy.

Obrzuciła jeszcze ostatnim spojrzeniem plecy oddalającego się mężczyzny i stanęła przy relingu. Nie drgnęła, dopóki „Pegasus” nie zakotwiczył obok „Respite”.

Cała rodzina zebrała się na tarasie, stali ramię przy ramieniu i obserwowali zbliżającego się „Pegasusa”, tylko Ainsley Becket i Jack Eastwood czekali na nabrzeżu. Szalupa była już na wodzie, bo nawet tak niewielka jednostka jak jacht musiała rzucić kotwicę dobre sto jardów od brzegu.

– Mają na ramionach czarne opaski. Już wiedzą o Rianie – zauważyła Fanny, gdy Valentine stanął obok niej przy relingu. Nie obchodziło jej, czy zejdzie wraz z nią na ląd, czy wrzuci ją tylko do szalupy i zaraz każe podnieść kotwicę.

Zobojętniała i wydawało jej się, że już nigdy nic nie poczuje.

Myliła się. W chwili, gdy stanęła na nabrzeżu, a Ainsley Becket położył dłonie na jej ramionach i spojrzał w oczy, Fanny poczuła nagle tak rozdzierający ból, że nie mogła przez chwilę złapać tchu.

– Och, tato... przepraszam – zdołała tylko wykrztusić i z płaczem padła mu w objęcia.

Valentine patrzył na nich. Wysoki, uderzająco przystojny mężczyzna o przenikliwych, błękitnych oczach skinął mu głową, jakby chciał powiedzieć: później zajmę się panem, a potem otoczył ramieniem barki Fanny i poprowadził ją po kamienisto-piaszczystej plaży do Becket Hall.

– Odwiozłeś ją do domu – stwierdził Jack i wyciągnął rękę do Valentine'a. – Jest ciężko ranna? Jak do tego doszło, Valentine? Jak, u licha, zdołała doprowadzić

do tego, że została postrzelona? Czy przywiozłeś ciało Riana, żebyśmy mogli go tutaj pochować? Twój list był bardzo lakoniczny, a starszy sierżant nie potrafił odpowiedzieć na wiele pytań.

– Później, Jack. – Valentine ruchem głowy wskazał wioskę. – Czy gdzieś w pobliżu jest jakiś bar, stary przyjacielu?

Jack zmarszczył brwi.

– Jest. Ostatnia podróż. Ale czekają na ciebie w domu.

– Mogą poczekać, do cholery. W tej chwili odczuwam gwałtowną potrzebę upicia się. Do nieprzytomności.

Jack uśmiechnął się lekko. Zmarszczka zniknęła z jego czoła.

– Tak, Fanny potrafi doprowadzić człowieka do takiego stanu. Ale miała dobre intencje. Jest młodsza od Riana, ale zawsze odgrywała wobec niego rolę opiekunki.

– Między innymi. – Valentine ruszył w stronę wioski, ale Jack złapał go za ramię.

– Później, przyjacielu. Ainsley będzie chciał z tobą pogadać, jak tylko odda Fanny pod opiekę kobiet. Przez ostatni tydzień niemal nie odrywał od oka lornety, wypatrywał was na horyzoncie, nie mógł się doczekać na Fanny i dalsze wieści o Rianie. Podejrzewam, że biedak nie zmrużył nawet oka. To taki mocny mężczyzna. Inteligentny. Zdecydowany. Dziwnie się czułem, widząc go bezbronnym i cierpiącym. Ale nadal nad wszystkim panuje, Valentine. Trzyma wszystko mocno w garści. Pod tym względem twój Żelazny Książę to w porównaniu z Ainsleyem Becketem niemowlę w beciku.

Valentine przyjrzał się Jackowi uważnie. Przyjaciel pozostał takim samym przystojnym draniem, jak dawniej, ale zaszła w nim niewidoczna na pierwszy rzut oka zmiana. Pewna stateczność, której dawniej nie było, pewność siebie, wynikająca zapewne z przynależności do rodziny. Z małżeństwa. Z poczucia, że był kochany. Bez wątplenia Jack nie był tym samym chmurnym awanturnikiem o ostrym spojrzeniu co dawniej. Może Eastwood okazał się rozsądniejszy od Valentine'a, wycofał się w odpowiednim momencie. Uniknął kolejnego ciężaru, który lord Brede musiał dźwigać na barkach...

– Pan i udzielny władca Becket Hall, tak? Kapitan? A jeśli ja nie mam ochoty z nim rozmawiać? Każe mnie przeciągnąć pod statkiem? A może wrzuci do studni zwyczajem przemytników?

– Więc już wiesz. Rian albo Fanny ci powiedzieli. Cóż, nie zamierzam

zaprzeczać, wiem, że potrafisz dochować tajemnicy. – Jack opuścił rękę. – Ale dlaczego jesteś taki rozdrażniony? Był czas, kiedy uznałbyś to za ekscytujące albo przynajmniej zabawne.

Valentine potrząsnął głową i westchnął.

– Wybacz, Jack. Nie zwykłem się tłumaczyć. A tym bardziej ponosić porażek.

Jack poklepał przyjaciela po ramieniu i skierował go ku Becket Hall.

– Chodzi o Riana, tak? Niepotrzebnie obwiniasz się o jego śmierć, przyjacielu. To nie twoja wina. Obaj wiemy, że na wojnie nikt nie jest bezpieczny. Dzięki twojej pomocy Rian mógł zrealizować najskrytsze marzenia. Jestem ci za to ogromnie zobowiązany. Rian to... Rian był wspaniałym chłopakiem. Choć przyznaję, że zbyt idealistą. Ale to był jego wybór.

Stanęli u stóp schodów prowadzących na taras. Valentine podniósł wzrok na Becket Hall.

– A ty wybrałeś to miejsce.

Jack uśmiechnął się szeroko.

– Powiedziałbym raczej, że to miejsce wybrało mnie. Kiedy poznasz Eleonorę, zrozumiesz. Z mojej strony to była całkowita i bezwarunkowa kapitulacja. I nie mógłbym być szczęśliwszy. No, chodźmy. Miejmy to już za sobą.

– Chyba masz rację. Becketa już widziałem. Kogo jeszcze mam się spodziewać?

– Fanny opowiedziała ci o nas, zgadza się?

Valentine kiwnął głową.

– Ośmioro rodzeństwa. Obecnie siedmioro.

– Tak, obecnie siedmioro – potwierdził Jack cicho. – Trudno nam jeszcze się z tym pogodzić. Chance jest najstarszy, ale nie ma go tutaj. Stara się uzyskać pomoc w Ministerstwie Wojny, zdobyć informacje, które pozwoliłyby nam dotrzeć do...

– Edmunda Bealesa – podrzucił Valentine. – Fanny opowiadała mi o wyspie i o tym, co wydarzyło się od tego czasu.

– Fanny? Wątpię, czy ona wie choć połowę.

– Wie wystarczająco dużo, by obawiać się powrotu Edmunda Bealesa. Ona nie chciała wrócić do domu, Jack. Bała się tu wrócić po stracie swojego obrońcy.

– Chryste. – Jack podszedł do kamiennej balustrady tarasu i spojrzał w morze, jakby chciał dostrzec drugi brzeg. – Fanny jest nadal dzieckiem, prawda?

Valentine położył łokcie na balustradzie, spojrzał na horyzont, a potem przeniósł wzrok na zacumowany w porcie jacht i nieoczekiwanie przemknęła mu przez głowę myśl, jakim cudem sprowadzą Molly na ląd, skoro nie ma przystani.

– Niestety, już nie. I to nie tylko z jednego powodu – mruknął i spuścił głowę.
– Więc Chance’a nie ma w domu. A kto jest?

– Court... Courtland. Nieugięty jak skała. I bezgranicznie lojalny. Jest również Spencer, ostatni z braci. Walczył w Kanadzie i Ameryce. Małżeństwo go trochę uspokoiło, ale to choleryk, w gorącej wodzie kąpany. Kiedy starszy sierżant powiedział nam o Rianie, Spence walnął pięścią w ścianę, a że Becket Hall jest zbudowany jak twierdza, to połamał kłykcie. Mariah, jego żona, bez słowa poszła po wiaderko z lodem. To idealnie dobrana para.

– Mówisz tak, jakbyś przepadał za nimi wszystkimi.

– To moja rodzina. Stanowimy przypadkową zbieraninę, ale w dziwny sposób pasujemy do siebie. W domu jest jeszcze Callie, najmłodsze z dzieci Becketa, oraz Mariah i Eleonora, oczywiście. Morgan kilka lat temu wyszła za Ethana Tannera.

– Za Aylesforda? Interesujące. A jak do was pasuje nikczemny lord?

– Zdziwiająco dobrze. Niektórzy z nas udają, że nic o nim nie wiedzą.

– A inni oszukują samych siebie – dodał cicho Valentine, nie odrywając oczu od morza. – No, dobrze. Miejmy to już za sobą.

– Można by pomyśleć, że prowadzę cię na egzekucję – mruknął Jack. – Och, jeszcze jedno. Nie wiem, czy Jacko będzie w gabinecie Ainsleya. Jeśli tak, to go ignoruj.

– Fanny wymieniła to imię. Kto to jest?

– Prawdę mówiąc, nie jestem pewien. Wiem tylko, że jest z Ainsleyem od samego początku. Dawniej musiał budzić prawdziwy respekt, ale potem rozpił się i roztył. Ostatnio jeszcze bardziej. Ale na twoim miejscu starałbym mu się nie narazić i wolałbym nie spotkać się z nim w ciemnej uliczce. To takie ostrzeżenie.

– Zapamiętam. Wchodzimy? – zapytał Valentine.

Jack otworzył przed nim jedno z francuskich okien przy końcu tarasu.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Ainsley Becket wstał zza biurka i podszedł do Valentine'a z wyciągniętą ręką.

– Witam w Becket Hall, wasza lordowska mość. Żałuję tylko, że spotykamy się w takich okolicznościach.

Valentine poczuł mocny uścisk dłoni.

– Ja również, panie Becket. Proszę przyjąć moje najszczerze kondolencje z powodu śmierci syna.

Rozejrzał się po pokoju. Młody, jasnowłosy brodac z spokojnych oczach odczekał chwilę, a potem również podszedł z wyciągniętą ręką.

– Courtland? – zapytał Brede. – Jestem Valentine.

Courtland skinął głową i odsunął się na bok, odsłaniając wyższego, smukłego mężczyznę o urodzie Hiszpana, który pochylił głowę na powitanie, ale nie ruszył się z krzesła, na którego oparciu złożył ręce.

– A pan jest zapewne Spencerem.

Spencer podniósł do góry lewą, zdrową rękę.

– Proszę mi wybaczyć brak manier, milordzie... Valentine – poprawił się po chwili. – Brat pisał nam o panu. Podobno wziął pana za łajzę ubiegającego się o posadę ordynansa. Myślałem, że Rian jest zbyt bystry na taką pomyłkę.

– Miał powody, żeby tak myśleć – odparł Valentine i uśmiechnął się lekko na to wspomnienie. – To był dobry chłopak. I dzielny. Bardzo wam wszystkim współczuję.

– Wolelibyśmy mieć chłopaka niż pańskie współczucie – burknął rozwalony na jednej ze skórzanych kanap tęgi starzec o przenikliwym spojrzeniu. Podniósł się na nogi i ruszył do wyjścia. – Zostawiam was, kapitanie. Nie mam zdrowia wysłuchiwać tego, czego nie mam ochoty usłyszeć.

– Dobrze, Jacko – powiedział Ainsley. I dopiero gdy potężny starzec zamknął za sobą drzwi, zwrócił się do gościa. – Może kieliszek wina, Valentine?

– Z przyjemnością. – Valentine objął spojrzeniem dwóch braci Becketów, Jacka i wreszcie przeniósł wzrok na Ainsleya. – Czy moglibyśmy pomówić w cztery oczy, sir?

Courtland pozostał nieporuszony, z twarzą pozbawioną wyrazu, natomiast Spencer najeżył się natychmiast. Jack dobrze nakreślił ich sylwetki, pomyślał Valentine z przekonaniem. Jedno tylko pominął: że obaj byli inteligentni i potencjalnie niebezpieczni.

Ainsley podał mu kryształowy kieliszek wypełniony do połowy ciemnoczerwonym płynem.

– Nie widzę powodu, by nie spełnić pańskiej prośby. Panowie?

Courtland złapał Spencera za rękę i pociągnął go w stronę drzwi. Jack obrzucił Valentine'a zaciekawionym spojrzeniem i ruszył za nimi.

– Teraz czuje się pan swobodniej? – Ainsley zajął miejsce za biurkiem i wskazał gestem Valentine'owi, by usiadł, gdzie mu wygodnie.

– Tak, dziękuję. – Valentine przystawił do biurka jedno ze stojących pod ścianą krzesel o prostym oparciu i usiadł.

– Pozwoli pan, że ja zacznę. – Ainsley wziął z biurka ciężki brązowy przycisk do papierów i balansował nim na dłoni. – Przede wszystkim pragnę przeprosić za obarczenie pana opieką nad moją samowolną córką.

– Nad moją samowolną żoną – poprawił Valentine, patrząc prosto w niesamowicie błękitne oczy gospodarza.

Ainsley nawet nie mrugnął. Jego twarz nie zdradziła zaskoczenia, tylko palce zacisnęły się powoli na ciężkim przycisku.

– Tak, Fanny jest moją żoną. Wczoraj rano została nią w świetle prawa, a wczorajszej nocy w pełnym tego słowa znaczeniu.

– Koniecznie musiał mnie pan o tym powiadomić?

– Tak, to było konieczne. Ponieważ popełniłem błąd, potworny błąd. Egoistycznie wykorzystałem dziewczynę pogrążoną w głębokiej rozpacz po stracie brata. Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie, ale stało się i nie można już tego cofnąć.

Jeden kącik ust Ainsleya uniósł się lekko, a błękitne oczy zaślniły.

– Lordzie Brede, moja córka... żadna z moich córek... nie zrobiłaby czegoś, na co nie miałyby ochoty. Jeśli Fanny wyszła za pana, to znaczy, że tego chciała. Teraz od pana zależy, czy nie pożałuje swojej decyzji.

Valentine nie mógł usiedzieć spokojnie. Wypił wino, odstawił kieliszek i zerwał się z biurka.

– Ona kocha Riana. Dlatego przyjechała za nim do Brukseli. Bo go kochała. I nadal go kocha. We mnie widzi... kogoś, kto zapewni jej bezpieczeństwo.

Ainsley milczał przez dłuższy czas. Podparł ręką podbródek i obserwował Valentine'a, który spacerował po dywanie.

– Jack twierdzi, że nie jest pan dupkiem – odezwał się w końcu. – Ponieważ nigdy nie miałem powodu wątpić w słuszność jego ocen, muszę przyjąć, że jest pan po prostu skrajnie zmęczony, Valentine. Zgadzam się, że Fanny kochała Riana. On również ją kochał, bardzo. Ale niech pan nie doszukuje się problemów tam, gdzie ich nie ma. Jest pan dojrzałym mężczyzną. Wie pan, że istnieją rozmaite rodzaje miłości, rozmaite jej poziomy, a nawet okresy. Zależy panu na Fanny, prawda?

Valentine przerwał swój marsz i spojrzał na Ainsleya.

– Tak, do licha! Ale to nie usprawiedliwia wykorzystania jej w momencie, gdy była całkowicie bezbronna.

Ainsley odprężył się i wygodniej rozparł się na krześle.

– Ten problem musicie rozwiązać sami. Nie boję się o Fanny, ona doskonale potrafi o siebie zadbać. To raczej o pana myślę z pewną troską. – Wstał z krzesła. – A teraz pozwól pan, że powitam go w naszej rodzinie.

Valentine uniósł obie dłonie i cofnął się nieco.

– Dziękuję, sir. Ale jeszcze nie skończyłem.

Ainsley usiadł z powrotem.

– Więc proszę kontynuować.

– Przede wszystkim muszę wyznać, że Fanny opowiedziała mi o... o waszej rodzinie. Nie zamierzam was osądzać i mogę obiecać, że nie zdradzę nigdy waszych tajemnic. Byłbym zaszczycony, gdybym mógł w jakikolwiek sposób pomóc wam w sprawie Edmunda Bealesa. Nalegam, by skorzystał pan z mojej pomocy.

Ainsley uniósł brew.

– Fanny opowiedziała panu o wszystkim? Przyznaję, że jestem zaskoczony. Oddała w pana ręce przyszłość całej rodziny.

Valentine potrząsnął głową.

– Nigdy nie zrobię niczego, co mogłoby zranić Fanny. Już dość złego zrobiłem, nie sądzi pan?

– Sądzę, że sporo czasu zajmie mi wysłuchanie wszystkiego, co ma pan mi do powiedzenia i dopowiedzenie tego, co jeszcze powinien pan wiedzieć. Jako mój przyszły partner...

Valentine usiadł na krześle i przysunął się do biurka.

– Muszę uczynić jeszcze jedno wyznanie, panie Becket. Opowiedzieć o swej ostatniej rozmowie z Rianem.

Ainsley ponownie sięgnął po przycisk do papierów, ale zachował milczenie.

– Wieczorem po bitwie, kiedy Rian nie wrócił po przekazaniu rozkazów jednemu z dowódców, Fanny i ja pojechaliśmy go szukać. Fanny... Fanny myśli, że nie udało mi się go znaleźć, ale to nieprawda. Znalazłem go.

Dłoń Ainsleya jeszcze raz zacisnęła się mocno na przycisku.

– Pozwoli pan, że najpierw podam najważniejsze informacje, potem obiecuję uzupełnić szczegóły, jeśli będzie pan sobie życzył. W tej chwili chciałbym przedstawić w najogólniejszym zarysie sytuację tak, jak ją wówczas widziałem. Trafiliśmy z Fanny do niewielkiej obory dla krów, w której leżał umierający koń Riana. Natomiast Riana nie znaleźliśmy, więc doszedłem do wniosku, że francuscy żołnierze rozpoznali w nim oficera i postanowili wykorzystać go w charakterze tarczy podczas ucieczki lub zabrali go ze sobą dla okupu. Tak czy owak, zniknął. Odkryłem natomiast jego szablę, zakrwawioną. Walczył. Wyszedłem sprawdzić, czy gdzieś w pobliżu nie zaczęli się w ciemności francuscy maruderzy i czy mogę bezpiecznie wyprowadzić Fanny z ukrycia i odwieźć ją do naszego obozu. A tymczasem znalazłem Riana. Leżał oparty o pień drzewa, ciężko ranny.

– Jak ciężko? – zapytał Ainsley zdławionym głosem.

– Bardzo ciężko. Jupiter przewrócił się na niego, powodując poważne obrażenia wewnętrzne, chłopak otrzymał również postrzał w nogę. Poza tym... ale może o tym opowiem później, teraz chcę powiedzieć co innego. Kiedy rozmawiałem z Rianem, wrócili Francuzi. Rian błagał, żebym dał mu swój pistolet. Czuł, że

umiera, i prosił... nie, on żądał, bym zabrał Fanny w bezpieczne miejsce.

– Ona w ogóle nie powinna tam się znaleźć.

– Zgadzam się, sir. Przyznaję panu absolutną rację. Ale właściwie nie miałem wyboru. Za pozwoleniem, wrócę jednak do swej opowieści. Rian powiedział, że trzech lub więcej Francuzów przywlekło go z obory w to miejsce, porzucili go, słysząc strzał z pistoletu. To był strzał, którym skróciłem mękę Jupitera. Miałem jeszcze jeden naładowany pistolet. W oddalonej o dobrych trzydzieści jardów obórcie została szabla Riana. Oraz dwa konie. No i Fanny, pozbawiona jakiegokolwiek obrony.

– Zostawił go pan tam.

– Tak. – Valentine popatrzył Ainsleyowi prosto w oczy. – Odbezpieczyłem pistolet, włożyłem mu go do ręki i zrobiłem to, o co prosił. Zabrałem stamtąd Fanny. Wtedy właśnie została ranna, podczas ucieczki. Usłyszałem jeszcze jeden strzał z pistoletu. Jestem pewien, że Rian spełnił swoje pragnienie i zabrał ze sobą na tamten świat jeszcze jednego Francuza, ułatwiając równocześnie siostrze ucieczkę.

Ainsley wreszcie zareagował. Objął głowę rękami.

– Słodki Jezu. Boże. Słodki Jezu. Rozszarpali go na strzępy, tak? Mojego chłopca, mojego dobrego, kochanego chłopca. Mojego pięknego syna...

Valentine siedział prosto, z rękami zaciśniętymi na krawędzi blatu.

– Możliwe, że tak się stało. Ale może i nie.

Ainsley uniósł głowę i spojrzał na Valentine'a, ogromną siłą woli opanował wybuch emocji.

– Proszę o wyjaśnienia.

– Wróciłem tam następnego dnia. O świcie. Chciałem przywieźć zwłoki Riana tutaj, do rodziny. Ale zwłok nie było. Przeszukałem cały teren, bardzo starannie, na wypadek gdybym pomylił miejsce. Na próżno. Nic, ani śladu. A kompanie pogrzebowe jeszcze nie zdążyły tam dotrzeć. Więc ruszyłem w pościg za Francuzami. Przez cztery dni podążałem za nimi na południe, ale nie trafiłem na ślad Riana. Ale jest coś jeszcze.

– Trudno mi przełknąć to, co już pan powiedział. Ale proszę kontynuować.

– Zacząłem przypominać sobie pewne szczegóły, które wcześniej umknęły mojej uwadze, bo koncentrowałem się na bezpiecznym wywiezieniu stamtąd Fanny. Rozumie pan chyba, że gdyby ci ludzie dopadli ją w oborze i zorientowali się, że pod

brytyjskim mundurem kryje się kobieta... Cóż, Rian miał rację, koniecznie musiałem ją stamtąd zabrać. Ale potem uświadomiłem sobie, że mężczyzna, z którym zderzył się mój koń, gdy opuszczaliśmy oborę, nie miał na sobie francuskiego munduru. Nie miał żadnego munduru. I dotarło do mnie coś jeszcze. Coś, co obiecałem panu powiedzieć. Rian miał jeszcze jedną ranę. Paskudne, krwawiące rozcięcie na lewym przedramieniu. Głębokie aż do kości.

– I?

– I kiedy uniósł lewą rękę, żeby mnie przekonać, że nie było dla niego ratunku, zauważyłem opaskę uciskową. Ktoś założył opaskę uciskową, aby nie wykrwawił się na śmierć. Nie sądzę, by zrobił to sam Rian. Nie miał na to czasu, był przecież atakowany. Zrobili to napastnicy. Początkowo zakładałem, że chcieli go wykorzystać w charakterze tarczy lub dla okupu. Ale przypomniałem sobie, co Rian jeszcze powiedział, i doszedłem do znacznie bardziej niepokojącej konkluzji.

Valentine zamilkł na chwilę, by wziąć się w garść. Tyle czasu poświęcił rozpatrywaniu dziwnych słów Riana na temat Fanny, że przeoczył coś bardzo istotnego.

– Rian odniósł wrażenie, że ci ludzie polowali na niego. Że chodziło im o niego, a nie o konia. Zresztą jeden wierzchowiec niewiele by pomógł pięciu piechurom. Ale dlaczego mieliby polować na Riana? Dlaczego gdy porzucili go, słysząc mój wystrzał, po niego wrócili? Dlaczego, sir?

– Zabrali go. – Ainsley zacisnął powieki, na jego twarzy odmalowały się gniew i ból. – Zabrali go, bo wiedzieli, kim jest.

Valentine wypuścił wreszcie długo wstrzymywany oddech i oparł się plecami o krzesło. Ulżyło mu, że Ainsley Becket doszedł do tego samego wniosku co on.

– Tak, sir. Po tym, co Fanny mi później powiedziała, jestem pewien, że tak. Wszystkie elementy układanki zaczęły do siebie pasować. Starszy sierżant Hart powiedział, że tuż przed rozpoczęciem bitwy ktoś przyjechał do pułku i rozpytywał o Riana. Hart uznał, że to ktoś z rodziny, kto przyjechał po Fanny. Ale tak nie było. Szukali Riana. Nie chcieli go zabić, tylko pojmać. Do końca życia sobie nie daruję, że nie zabrałem go stamtąd, choćby i wbrew jego woli.

– Ale wówczas naprawdę nie miał pan wyboru – stwierdził Ainsley. – Pierwszą i jedyną myślą Riana było zapewnić siostrze bezpieczeństwo. Jego rany były naprawdę poważne.

– Nie sądzę, żeby długo pożył. Stracił zbyt wiele krwi. Może gdyby Jupiter był w pełni sił i gdyby nie było ze mną Fanny, udałoby mi się zabrać Riana sprzed nosa tych ludzi i dowieźć go do kwatery głównej, choć naraziłbym go na potworny ból.

Ale nie jestem pewien, czy nawet gdyby trafił w ręce chirurgów, to zdołałby przeżyć. Wątpię. Jego śmierć nastąpiłaby tylko trochę później, szczególnie przy panujących w Brukseli upałach. Z reguły więcej ludzi tracimy na skutek upałów i infekcji niż na polu bitwy. Wyświadczyłbym mu tylko niedźwiedzią przysługę. Jestem przekonany, że Riana nie ma już pośród żywych. Nie mógł przetrwać w niewoli.

– Dosyć. Podjął pan decyzję. Dokonał pan wyboru pomiędzy śmiertelnie rannym Rianem a Fanny. Ja na pana miejscu podjąłbym taką samą decyzję, Valentine. Nie raz musiałem dokonywać podobnych wyborów i nie zazdroszczę panu bezsennych nocy trawionych na analizowaniu własnych postępów. Ale trzeba to zostawić za sobą.

– Z powodu Edmunda Bealesa.

Ainsley kiwnął głową.

– Jest coraz bliżej. Muszę wysłać kogoś do Chance'a i nakłonić go, by natychmiast porzucił Londyn i wracał do rodziny. Mógłby nawet przywieźć ich tutaj. Morgan także.

– Urządził pan tutaj prawdziwą fortecę.

Ainsley z roztargnieniem kiwnął głowę, jego mózg pracował intensywnie.

– Miałem nadzieję stworzyć tutaj spokojny dom dla mojej żalgi i moich dzieci. – Otrząsnął się z zamyślenia i spojrzął na Valentine'a. Najwyraźniej podjął decyzję. – Beales musi coś wiedzieć. Z pewnością jeszcze nie wszystko. I bez wątpienia był zaabsorbowany innymi sprawami, więc może zostawił nas sobie na później. Ale jeśli torturował Riana... Jeśli Rian żył wystarczająco długo, by udzielić im jakichkolwiek wskazówek, gdzie mieszkamy i kim jesteśmy, to nie ma czasu do stracenia. Romney Marsh to sto najrzadziej zaludnionych mil kwadratowych w całej Anglii, a my zajmujemy najbardziej odludny zakątek tych stu mil kwadratowych. Wprowadziliśmy wiele zabezpieczeń, nasi ludzie są lojalni, ale nie jesteśmy niewidzialni.

– On nadal żywi do pana taką nienawiść? Po tylu latach?

– A ja w pełni odwzajemniam tę nienawiść, choć z innych powodów. Jeżeli to już wszystko, to proszę wybaczyć, ale... Fanny!

Valentine zerwał się z krzesła i spojrzął w stronę drzwi. W progu stała Fanny, blada jak kreda, z szeroko otwartymi oczami.

– Fanny – odezwał się Ainsley łagodnie. – Chodź tu do mnie, kochanie. Co usłyszałaś? Co... Fanny!

Ale już jej nie było.

– Chryste! Co ona słyszała? Dokąd uciekła? Szybko, człowieku.

– Siadaj, Valentine – powiedział Ainsley. – Dajmy jej trochę czasu.

– Ale jeżeli usłyszała moje słowa, że gdyby nie było jej ze mną, to mogłem wywieźć stamtąd Riana...

– Lepiej zostawić ją na razie samą z jej bólem. Jack jest prawdopodobnie w salonie, z resztą rodziny. Proszę po wyjściu stąd skręcić w prawo i iść prosto korytarzem. Niech mu pan powie, że zasugerowałem, byście wraz z Courtem i Spence'em zajrzeli do Ostatniej Podróży. Zaszyjcie się w najciemniejszym kącie i proszę im opowiedzieć to wszystko, co powiedział pan mnie. Ja wezmę na siebie Jacko.

Valentine nie miał ochoty powtarzać tej historii. Chciał znaleźć Fanny, wziąć ją w ramiona i zapewnić, że ona nie była niczemu winna. Musiał jednak przyznać rację Ainsleyowi. Przecież on sam również potrzebował czasu, żeby to wszystko przetrwać, kiedy poskładał już wszystkie fakty w logiczną całość. Valentine nie przywykł do przyjmowania niczyich poleceń, ale Ainsley Becket był panem tego domu, a Fanny jego córką.

– I jeszcze jedno – dodał Ainsley, gdy Valentine zmierzał już do drzwi. – Radzę usiąść jak najdalej od Spencera. Mariah nie byłaby zachwycona, gdyby jej mąż złamał sobie drugą rękę na pańskiej głowie.

– Ja...

Ainsley powoli pokręcił głową.

– Nie. Wałkowanie w kółko tego, co się stało, niczemu nie służy. Zaczynamy od tego punktu. Tak będzie najlepiej, zawsze tak postępujemy. Żyjemy dalej.

Valentine ze ściśniętym sercem spojrzał w stronę otwartych drzwi.

– Żyjemy dalej, tak. Dawniej sądziłem, że to wystarczy. Że wystarczy przetrwać. Ale tak nie jest, sir.

– Nie wystarczy i nigdy nie wystarczało. – Ainsley podszedł do okna i spojrzał na kanał. – Ale czasami, mój nowy przyjacielu, nie pozostaje nic innego...

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Spotkanie z Jackiem i braćmi Becket przebiegło nie najlepiej, ale przynajmniej było dość krótkie i względnie bezkrwawe. Valentine zostawił ich w gospodzie, kiedy Jack lekkim ruchem głowy dał mu znak, by wyszedł. Postanowił powiosłować na jacht i zajrzeć do koni.

Ale „Pegasus” nie kołysał się już na wodzie w niewielkim porcie. Valentine oparł ręce na biodrach, zastanawiając się nad ewentualnymi konsekwencjami takiego rozwoju wydarzeń, gdy za jego plecami rozległ się jakiś głos.

– Wysłałem pańskiego kapitana do Littlestone-on-Sea, milordzie, tam jest głębsza woda i nabrzeże. Mieliśmy do wyboru to albo ręczny kołowrót, a nie chciało nam się holować na ląd dwóch koni. Posłałem na pokład Jacoba Whitinga, żeby przyjechał tu na klaczy i przyprowadził pańskiego wierzchowca.

Valentine odwrócił się. Miał przed sobą starego, zasuszonego wilka morskiego na pałakowatych, chuderlawych nogach.

– A jacht?

– Kazałem pańskim ludziom spływać do domu. Niepotrzebna nam tutaj taka zabawka, nie? Na jej pokładzie nie byłoby miejsca nawet na jedno głupie działo, choćby najmniejsze. A tak na marginesie, jestem Billy. Znam pana. To pan zostawił naszego Riana na śmierć.

Valentine’owi zrobiło się niedobrze.

– Tak, to ja. Nie widziałem pana w gospodzie, Billy. Chował się pan pod stołem?

Billy uśmiechnął się szeroko, prezentując świeże braki w uzębieniu.

– Potrafię się stać niewidoczny, milordzie. To mój talent. Niezle panu przyłożył, co? A pan tylko się uchylił. Nie oddał mu pan, bo ma tylko jedną zdrową rękę. – Billy wsadził język w świeżą dziurę po zębie, a potem oblizał usta i uśmiechnął się. – Niech pan nie próbuje tego z Jacko. Bo on po prostu rąbnie pana jeszcze raz, tylko dwa razy mocniej. A kiedy już padnie pan na ziemię, to jeszcze pana skopie. To cały Jacko, powinien pan o tym wiedzieć.

– Ten człowiek jest dwa razy starszy ode mnie.

– No to co? Jest też dwa razy większy, choć przyznaję, że głównie w obwodzie. Jeden cios to można od biedy wytrzymać. Ale nie dwa. Po drugim odsłoni pan miękkie podbrzusze, a tego nie należy robić.

– Zapamiętam, dziękuję. Czy pan również zamierza mi przyłożyć, Billy? Jeden raz, oczywiście.

– Ja? Nie. Myślę, że Spence zrobił to za nas wszystkich. Teraz pewnie żałuje, jak zawsze, gdy straci panowanie nad sobą. Żona da mu popalić, jak się o tym dowie. Oni nadal siedzą w Podróży, wie pan. Gadają o tym wszystkim i zaczyna do nich docierać, że postąpił pan właściwie. Ale to i tak boli. Rian był dobrym chłopcem. Choć zbytnim idealistą.

– Był oficerem, Billy. I mężczyzną, a nie dobrym chłopcem. Zginął jak żołnierz. Jak bohater. Zapamiętajcie to sobie wszyscy.

Billy przez chwilę poruszał zamkniętymi ustami, po czym splunął na ziemię.

– Dobrze, dobrze. Ale mamy o jednego mężczyznę mniej. Idą ciężkie czasy, a my mamy o jednego chłopca mniej.

– Nie, Billy, nie macie.

Billy znowu pokazał wyrwę w dolnej szczęce, rozciągając usta w szerokim uśmiechu.

– W takim razie w porządku. Tak będzie sprawiedliwie.

Valentine patrzył, jak Billy wraca do Ostatniej Podróży. Cóż to za dziwni ludzie. Prostolinijni, gwałtowni, a zaraz potem „W takim razie w porządku”.

Nieświadomie potarł obolałą prawą kość policzkową, zszedł na brzeg i ruszył z powrotem do Becket Hall. Musiał zobaczyć się z Fanny. Przeprosić ją. Upewnić się, że nic jej nie jest, że nie obwinia się o śmierć Riana.

Ale co jej powiedzieć?

Fanny siedziała na balustradzie, w lekkim płaszczu narzuconym na ramiona. Chłodna bryza znad morza rozwiewała jej jasne, prawie białe włosy.

Patrzyła w morze, z tej odległości Valentine nie mógł dostrzec wyrazu jej twarzy.

Wszedł po szerokich stopniach na taras, podszedł do Fanny i oparł przedramiona na balustradzie obok niej. Milczał.

– Czy ktoś pomyślał o nakarmieniu cię? – odezwała się w końcu. Nie patrzyła na niego. Nie mogła na niego patrzeć. Ciężka na nich jakaś klątwa. A Rian zapłacił za to życiem.

– Nie. Nic nie jadłem. Od wieczora. Ale to nieważne.

– Chyba nie. – Fanny poruszyła się lekko na balustradzie. – Jak mogłeś się zmusić, żeby mnie dotknąć?

– To niewłaściwie postawione pytanie, Fanny. Powinnaś zapytać, jak mogę się zmusić, by cię teraz nie dotykać.

Odwróciła się od niego, uniosła nogi, przerzuciła je na drugą stronę balustrady i zeskoczyła na taras.

– To moja wina. To wszystko moja wina. Gdybym nie pojechała do Brukseli... gdybym nie pognała za Rianem, jakby sam nie potrafił o siebie zadbać...

– Fanny, przestań gdybać. – Valentine wziął ją w ramiona. – Gdyby Bonaparte nie uciekł z Elby. Gdyby w ogóle się nie urodził. Gdyby, gdyby... Stało się, co się stało. Nie zadręczaj się, kochanie. To niczemu nie służy.

Wyrwała mu się, choć bardzo chciała pozostać w jego ramionach.

– Zniszczyłam życie dwóch ludzi, Brede. Riana i twoje. Ty nigdy nie zapomnisz, że go tam zostawiłeś... a ja nie zapomnę, dlaczego to zrobiłeś. Odejdź, Brede. Proszę. Wracaj do domu. Nie ma powodu, byś tu został.

– Fanny...

– Nie, już nic nie mów... Kochałam Riana. Kochałam! A potem wyszłam za ciebie. On odszedł, więc zwróciłam się ku tobie. Jestem samolubna, mogę ci przynieść tylko nieszczęście. Wystarczy, że... że zabiłam jednego człowieka.

– Fanny, nie zabiłaś nikogo.

Spojrzała na niego z ogniem w oczach.

– Gdyby mnie tam nie było, Brede, gdyby nie było mnie przy tobie, kiedy znalazłeś Jupitera, a potem Riana, czy zostawiłbyś go tam na śmierć? Nie, nie odpowiadaj. Wiem, że nie zrobiłbyś tego. Zabrałbyś go... zabrałbyś go i przywiózł z powrotem. Nigdy byś go nie zostawił.

– Mógłbym go wcale nie znaleźć, Fanny. Wszedłem w tamte krzaki tylko dlatego, że martwiłem się o ciebie. Chciałem się upewnić, że nikogo nie ma w pobliżu obory. Było już całkiem ciemno i poszukiwania stały się niemożliwe. Gdybym był sam, wróciłbym po prostu do kwatery głównej i podjął poszukiwania następnego dnia. Do tego czasu Rian już by stamtąd zniknął. Albo umarłby tam, gdzie leżał. Bez różnicy.

Fanny odwróciła wzrok. Czy musiał być tak strasznie racjonalny?

– Gdyby nie ty, mógłbym nawet nie zauważyć, że Rian zaginał. Aż do następnego dnia. Ale przyjechałaś i ruszyłaś na poszukiwania, więc czułem się w obowiązku pojechać z tobą. Więc skończ z tym, skończ z tym natychmiast. Ostatnie słowa Riana dotyczyły ciebie, kazał mi obiecać, że zaopiekuję się tobą.

Dolna warga dziewczyny zaczęła drżeć.

– Oddał mnie tobie. Ja... ja myślałam wyłącznie o sobie, o tym, jak będzie wyglądało moje życie bez niego. Tymczasem on... on troszczył się o mnie w chwili, gdy powinien był myśleć o sobie. Chciałabym go odzyskać, Brede. Chciałabym, żeby wrócił, żebyśmy mogła poprosić go o wybaczenie. Ale to niemożliwe, prawda?

Objęła się ramionami, pogrążona w rozpacz.

– Nie, kochanie, to niemożliwe.

Uniosła głowę.

– Chcę, żebyś wyjechał, Brede. Nic tu po tobie. Rian by zrozumiał.

– Fanny, jesteś moją żoną. Jeżeli stąd wyjadę, to razem z tobą. Ale nie ma sensu spierać się o to, bo nigdzie nie pojedę. Powiedziałem już o tym twojemu ojcu.

– Dziś rano nie mogłeś się doczekać, żeby mnie tutaj zostawić, prawda? Co się zmieniło, Brede? Nie rozumiem.

– Słowa twojego ojca o rozmaitych okresach i poziomach miłości uświadomiły mi coś, co powinienem był sam zrozumieć. No i twój brat Spencer wbił mi odrobinę rozumu w ten zakuty łeb. Jesteś moją żoną, Fanny. Jestem twoim mężem. Żadne z nas nie może zmienić przeszłości, ale to nie znaczy, że nie ma dla nas przyszłości.

Potrząsnęła głową i zaczęła się przed nim cofać.

– Nie... to niemożliwe, Brede. Przykro mi...

Uciekła od niego, tak samo jak uciekła wcześniej od słów podsłuchanych w gabinecie Ainsleya. Pchnęła francuskie drzwi prowadzące do salonu, przebiegła obok Mariah, Eleonory i Callie.

Nie zwolniła kroku, dopóki nie znalazła się w swej sypialni. Zamknęła drzwi na klucz i oparła się o nie plecami.

– Nie tego cię uczyłam, drogie dziecko. Nie uciekniesz przed sobą, choćbyś najszybciej i najdalej biegła, bo gdy się zatrzymasz, wszystkie problemy pozostaną przy tobie.

– Odette. – Fanny wytarła policzki i weszła w głąb pokoju, w którym panował półmrok, bo zasłony pozostały zaciągnięte, jak w dniu, gdy uciekła z domu. – Ja... nie mam w tej chwili ochoty na rozmowę. Proszę.

Odette, wysoka i chuda, o skórze tylko o ton jaśniejszej od czarnych, żałobnych szat, które nosiła od śmierci Isabelli i pozostałych, potrząsnęła głową. Powoli podniosła się z bujanego fotela.

– Nie pamiętasz już pewnie, jak ciężko przechodziłaś odrę. Siedziałam na tym fotelu, trzymając cię w ramionach i kołysałam się. Byłaś rozpalona, gorąca jak piec, byliśmy już pewni, że cię stracimy.

– Odette, ja...

Stara kobieta puściła oparcie fotela i podeszła do Fanny.

– Ty milcz, dziewczyno. Jeszcze nie skończyłam. Martwiliśmy się o twoje oczy i o twoje malutkie serduszko, tak. Pokój był cały czas zaciemniony, dzień i noc. A Rian siedział tu kamieniem i wraz ze mną czuwał nad tobą. Nie wyszedł, nawet kiedy powiedzieliśmy mu, że on również może dostać krost. Nie dbał o to. Nie chciał cię zostawić w chorobie. Był jeszcze małym chłopcem, ale lojalnym.

– Byłam za mała. Nic nie pamiętam – powiedziała Fanny i wyciągnęła się na zaścielonym łóżku.

– Nie obchodziło go, co się z nim stanie. Byleś ty miała się dobrze.

– Czy Rian zachorował wtedy na odrę, Odette?

Potrząsnęła głową.

– Nie, dziecko. Nie zaraziłaś go wtedy i nie doprowadziłaś do jego śmierci teraz. Czasami coś się zdarza, a czasami nie. Nie zawsze możemy powstrzymać zło, Fanny. Ono po prostu przychodzi.

Fanny poczuła ukłucie wstydu, zapomniała na chwilę o własnej rozpacz, ogarnięta głębokim współczuciem dla starej niani.

– Masz na myśli wyspę, prawda, Odette? To, co się tam stało.

Odette kiwnęła głową.

– Przez wiele, wiele lat powtarzałam sobie w kółko: Odette, powinnaś była wiedzieć. Powinnaś była przejrzeć Edmunda Bealesa, gdy tylko na niego spojrzełaś. Jego i Loringę.

– Kogo?

Stara kobieta odsłoniła w uśmiechu nadal mocne i białe zęby.

– Wydawało ci się, że o wszystkim wiesz, dziecko? Ale nie wiesz, prawda? Loringa to moja siostra. Bliźniaczka. Jak druga strona tej samej monety. To właśnie ona dawno, dawno temu rzuciła na mnie klątwę, *baka*, by uczynić mnie ślepą na niebezpieczeństwo. Zobaczymy, ile zapamiętałaś z tego, czego cię uczyłam. Powiedz, co wiesz o bliźniętach.

Fanny pociągnęła nosem. Zapomniała, że chciała zostać sama i po prostu leżeć w ciemności. Skoncentrowała się na tym, co zapamiętała.

– W świecie voodoo bliźnięta to *marassa* – wyrecytowała jak wyuczoną lekcję. – Potężne, wyjątkowe, uprzywilejowane. Bywają tak silne jak *loa*. Należą do różnych narodów i noszą różne imiona. *Nago marassa, Ibo marassa, Congo marassa* i... zapomniałam.

– *Dahomey*. My jesteśmy *Dahomey* – oświadczyła z dumą Odette. – *Dahomey marassa. Dahomey hungan*. Kapłanki. Obdarzone większą mocą niż większość pozostałych bliźnięt. Mocą dobra i zła. To dwie strony tej samej monety.

Fanny kiwnęła głową.

– Ona cię nienawidzi, ta Loringa, prawda? Bliźnięta chyba często się nienawidzą?

– Tak, często. Ale w dzieciństwie, kiedy jeszcze niewiele rozumieją. Potrafią wyrządzić sobie ogromną krzywdę. Kiedy dorosłam, kiedy poznałam swoją moc, powiedziałam sobie, że wybieram słoneczną stronę. Więc poszłam za twoim tatą.

Teraz Fanny zrozumiała.

– A Loringa, twoja siostra, wybrała mrok. Prawda, Odette?

– Wybrała Bealesa. Nadal jest przy nim. Przez lata nie wyczuwałam jej obecności. A teraz ją czuję. Głęboko w kościach.

– I to mi chciałaś powiedzieć, Odette? Że wyczuwasz swoją siostrę? Jest coraz bliżej? – Fanny odruchowo sięgnęła po *gad*, ząb aligatora przypięty wewnątrz stanika jej sukni.

– Coraz bliżej. Jestem silniejsza od niej, tak było od dzieciństwa. Mogę wprowadzić zamęt w jej planach, teraz, kiedy wiem, co knuje. Mogę trzymać ją na dystans. Ale nie w nieskończoność. Powiedziałam już o tym twojemu tacie. Mówię też tobie. Wyczuwam twoje przerażenie, dziecko. I nie bez powodu jesteś przerażona, ale jeszcze mamy czas, żeby przygotować się do rozstrzygającej bitwy.

Fanny wierzyła czasami, że Odette widzi wszystko i wie wszystko. Kiedy indziej zaś wydawało jej się, że to zwyczajna kobieta.

Odette położyła rękę na ramieniu Fanny.

– I jeszcze jedno. Kiedy masz przy sobie mężczyznę, zobacz w nim mężczyznę. I bądź wobec mężczyzny uczciwa. Nie zważaj na strach, nie kieruj się strachem. Nie oglądaj się w przeszłość. Zobacz mężczyznę, patrz w jego oczy, z nich odczytasz prawdę. Rozumiesz mnie, dziecko? Rian by tego chciał.

Fanny pochyliła głowę i odezwała się cicho:

– Rian i ja nie byliśmy bliźniętami. Ale stanowiliśmy dwie strony tej samej monety, prawda? Od dziecka. On dawał, a ja tylko samolubnie brałam. On był dobrem, a ja złem.

Odette westchnęła głośno, poirytowana.

– Jesteś równie zła jak ten słupek wspierający baldachim, moje dziecko. Rozpaczaj po bracie. To w porządku. Ale nie kładź się do grobu wraz z nim, bo to obelga dla jego pamięci.

– Brede powiedział, że nie możemy zmienić przeszłości, ale to nie znaczy, że nie mamy przed sobą przyszłości. – Popatrzyła na Odette. – Ale ja jej nie widzę. Czuję strach i nie widzę przed sobą żadnej innej przyszłości, dopóki Edmund Beales nie zniknie na zawsze.

– Wiem – odparła, objęła Fanny i wtuliła jej twarz w miękkie piersi. – Wiem, ale zaufaj mi.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Fanny pozostała w swoim pokoju do końca dnia. Callie przyniosła jej jedzenie. I Fanny, ku własnemu zdumieniu, zjadła wszystko i jeszcze kawałkiem chleba wytarła resztki sosu z talerza.

Godziny mijały, za oknem zapadła ciemność, dochodzące z głębi domu odgłosy zaczęły cichnąć, a Fanny myślała o tym, co robił Valentine. Myślała również o rozmowie z Odette.

Przyglądziła palcami włosy i wyciągnęła z szafy haftowane pantofelki, które dostała od Callie na Boże Narodzenie. Zapragnęła zobaczyć się z Valentine'em. Nagle ktoś zapukał do drzwi. Fanny zakryła ręką usta, by stłumić okrzyk zaskoczenia.

– Kto... kto tam?

– Otwórz drzwi, Fanny.

– Brede – wyszeptała i jej serce zgubiło jedno uderzenie.

– Odejdź! – krzyknęła głośno, żeby Valentine usłyszał ją przez solidne, drewniane drzwi. – Ja... Zobaczmy się jutro.

– Fanny, otwórz drzwi. Trzeci raz nie poproszę.

– Doskonale – odparła stanowczo. – Nie będę już musiała cię dzisiaj słuchać.

Wydawało jej się, że zza drzwi dobiegł cichy śmiech. Niemożliwe. Przecież nie powiedziała nic zabawnego.

A potem szeroko otworzyła oczy, bo ogromny klucz tkwiący dotąd w zamku, upadł z łoskotem na podłogę. Potem zazgrzytał inny klucz, klamka opadła i do pokoju wszedł Valentine. Fanny stała jak wrośnięta w ziemię.

– Jak...

– Odette dała mi klucz oraz wyjaśniła, jak trafić do twojego pokoju. Ostrzegła mnie również, że jeśli nie postawię na swoim, to do końca życia będę siedział pod pantoflem – oznajmił i schował klucz do kieszeni kamizelki. – Może niezbyt pasuje

do roli Kupidyna, ale wydaje się kobietą pragmatyczną. W końcu jesteśmy małżeństwem. A ja muszę gdzieś spać, prawda?

– Pozwolę sobie zaproponować stajnię, milordzie. – Fanny cofnęła się o kilka kroków, choć najchętniej rzuciłaby mu się w ramiona.

Dziwne. Valentine miał na sobie wytworny, londyński strój, ale jego krawat był rozwiązany i nieco... przybrudzony na brzegach. Tego wieczora Brede był w połowie eleganckim arystokratą, a w połowie wagabundą.

– Stajnię? – Valentine uśmiechnął się. – Jestem winien Spence’owi pięć funtów.

Fanny otrząsnęła się z zamyślenia i spojrzała na niego oczami okrągłymi jak u sowy.

– Słucham? Spence’owi?

– Tak. Najpierw mi przyłożył, a potem doszliśmy do wniosku, że raczej się lubimy. On twierdził, że wyślesz mnie do stajni. Ja opowiadałem się za piekłem.

– Spence... Spencer uderzył cię? Dlaczego?

– Co do tego panują rozbieżne opinie. – Valentine odstawił świecę. – Court uważa, że Spence po prostu znacznie sprawniej operuje pięściami niż ludzką mową, natomiast Jack twierdzi, że wiele osób odruchowo zaciska pięści na widok mojej twarzy.

Fanny podeszła bliżej, by lepiej przyjrzeć się twarzy Valentine’a. Jego policzek był rzeczywiście zaczerwieniony i lekko opuchnięty. Potem spojrzała mu w oczy i jej własne zwęziły się. A więc to tłumaczyło jego niezbyt porządny wygląd.

– Brede, ty jesteś kompletnie pijany.

– Nonsens. – Minął ją, ściągając z szyi krawat. – Może mam trochę w czubie, ale mocno trzymam się na nogach. Jestem lordem, moja droga. Lordowie nie zniżają się do pijaństwa.

– To moja wina, prawda? To przeze mnie szukałeś zapomnienia w butelce?

Odwrócił się twarzą do niej.

– Nie pochlebiaj sobie, moja droga. – Zaczął rozpinąć guziki kamizelki, wyliczając równocześnie powody, które skłoniły go do picia. – Wypiliśmy za twojego brata. Potem za Wellingtona. Za Blüchera. Za trwałą pokój. Za pięknego Uxbridge’a.

I ponownie za Riana. Wiele, wiele razy za Riana. Wypilibyśmy nawet za księcia regenta, ale żaden z nas nie przepada za tym tłustym Florizelem. Aha, i piliśmy jeszcze za moje małżeństwo. Jak mogłem o tym zapomnieć? No, więc jestem... zjawiam się u swej młodej żony.

– Och, Brede...

Zdjął zakiet i kamizelkę, wyciągnął koszulę ze spodni i rozejrzał się po pograżonym w półmroku pokoju.

– Nie ma pachołka do butów? Szkoda. – Usiadł w bujanym fotelu i wyciągnął przed siebie nogę. – Zrobisz mi tę grzeczność, droga żono?

– Wezwę kogoś. – Fanny ogarnęło nagle zdenerwowanie. Valentine był taki męski. Wziął ją do łóżka już poprzedniej nocy, to prawda. Ale to było coś zupełnie innego niż teraz. Teraz jej nie pocieszał. Był... cóż, można nawet powiedzieć, że przekorny. Prowokował ją tym łobuzerskim, chłopięcym uśmiechem.

Postanowiła dać rano Odette surową reprimendę za wtrącanie się w nie swoje sprawy. Braciom również.

– Wezwać kogoś? Nonsens. Z powodzeniem możesz to zrobić. – Valentine kiwnął na nią zagiętym palcem. – Przecież ty sama, Fanny, wytykałaś mi lenistwo i uzależnienie od innych w sprawach, z którymi możemy sobie bez trudu poradzić sami.

– Och, zamknij się, Brede. Przestań wykorzystywać moje własne słowa przeciwko mnie. Złap się mocno poręczy fotela.

Valentine bujał się w przód i w tył.

– Czuję się tak, jakbyśmy znowu byli na jachcie. – Mgła zasnuła jego oczy. – Czy to nie tam...

Fanny potrząsnęła głową i zrezygnowała z dalszego oporu. Im szybciej zdejmie mu buty, tym szybciej będzie mogła położyć go do łóżka i będzie miała spokój, bo Valentine najprawdopodobniej natychmiast zaśnie.

– Wyciągnij nogę przed siebie, a drugą zaprzyj się o podłogę – rozkazała.

Odwróciła się tyłem do niego i usiadła okrakiem na jego nodze jak na końskim grzbiecie.

– Czyż to nie uroczy widok! – zawołał Valentine. Nie był na tyle pijany, by nie zdawać sobie sprawy, że doprowadza swą młodą żonę do szału. Uznał po prostu, że

tak będzie w porządku... bo ona robiła to samo z nim. – Tyłek Wigginsa nie umywa się nawet do twojego, kochanie. A wiesz, że on zdejmuje mi buty w białych rękawiczkach? Naprawdę! Żeby nie zostawić odcisków palców na lśniących cholewkach. Nie masz przypadkiem pod ręką białych rękawiczek, żoneczko?

– Udław się swoimi odciskami, Brede! Mam ochotę cię udusić. Moich braci również – wycodziła Fanny przez zaciśnięte zęby. Valentine podniósł drugą nogę i przyłożył podeszwę do pupy Fanny.

– Ty ciągnij, kochanie, a ja będę pchał. To przecież naturalny podział ról, prawda?

– Mam nadzieję, że naprawdę jesteś pijany, Brede. – Odważyła się odwrócić głowę i spojrzeć na niego. Raz czy dwa razy w życiu zdarzyło jej się widzieć pijanych braci. Nie mówili tak wyraźnie, raczej czepiali się siebie nawzajem i wyśpiewywali sprośne piosenki.

Uśmiechnął się krzywo, jakby trzymał w ustach cygaro, choć akurat go nie miał.

– Zaczynam wierzyć, że tak. To bardzo przyjemne uczucie.

– Miło mi, że dobrze się bawisz – warknęła Fanny i z całej siły szarpnęła but.

Fotel na biegunach gwałtownie wahał się do tyłu i z głośnym trzaskiem runął na podłogę.

– A teraz jest mi jeszcze milej – dodała z satysfakcją, spoglądając na osłupiałą minę Valentine'a. Wyglądał naprawdę komicznie.

– No, no, zostałem wyrzucony z siodła – powiedział Valentine. I zachichotał.

Zachichotał! Lord Brede chichotał? Jakimś cudem nadal siedział w fotelu, którego oparcie leżało na podłodze. Był bezradny jak dziecko i chichotał.

– Przestań. – Fanny odsunęła jego nogę i wyciągnęła obie ręce, żeby pomóc mu wstać. – Podnieś się, na litość boską, z podłogi, zanim ktoś przyjdzie. Ta pozycja nie przystoi człowiekowi o pańskim znaczeniu, milordzie.

Valentine śmiał się coraz bardziej.

– Jesteś niemożliwy. – Fanny stanęła za przewróconym fotelem i próbowała go podnieść. Ale na próżno napinała kręgosłup, przy całkowitym braku współdziałania ze strony Valentine'a nie miała nawet co marzyć o podniesieniu bujaka z podłogi. – Wiesz co, Brede? Powinnam cię tak zostawić... jak zółwia odwróconego do góry

nogami.

– Może powinniśmy przenieść się na łóżko, żono, zanim zajmimy się drugim butem?

Fanny uznała po chwili zastanowienia, że mąż rzeczywiście powinien trafić na łóżko, zanim straci przytomność. Valentine padł na wznak i zamknął oczy.

– Ostatni raz tak się czułem... – stwierdził, otwierając oczy i spoglądając na haftowane różyczki baldachimu – ...gdy byłem niewiele młodszy niż ty teraz, Fanny. Szkoda, że to szybko minęło, bo to wspaniałe uczucie. Naprawdę szkoda...

Valentine podciągnął się na tyle, że jego głowa znalazła się już blisko poduszki.

– Podnieś głowę, Brede, żebym mogła wsunąć ci... Tak, teraz lepiej. Mam nadzieję, że nie zaczniesz rzy... to znaczy, że się nie pochorujesz. Nie chcę, żebyś przeze mnie... Rian miał rację, potrafię doprowadzić do tego, że mężczyzna szuka ucieczki w butelce. Mam nadzieję, że jesteś usatysfakcjonowany. Chce mi się płakać.

Valentine złapał ją za ramię i przyciągnął do siebie. W głowie mu się kręciło, ale już nie tak przyjemnie jak przed chwilą. To dziwne, stracił kontrolę nad sobą. Dziwne i trochę przerażające. Jego serce otworzyło się, pękły okowy, które sam na nie nałożył.

– Kobiety zwykle płaczą, kiedy mężczyźni topią smutki w alkoholu, kochanie. Żeby zapomnieć. Chodź, połóż się przy mnie, Fanny. Razem zdołamy zapomnieć. O wojnie i jej okropieństwach... już nie będzie koszmarnych snów...

– Och, Brede, tak mi przykro. Nie zdawałam sobie sprawy... nie dostrzegałam... Dźwigasz potworny ciężar, prawda?

Nie odpowiedział, zamknął oczy, westchnął i zasnął. Pocałowała rozpaloną skórę na jego karku i zapadła w głęboki, spokojny sen.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Valentine obudził się o świcie, wieloletnie przyzwyczajenie okazało się silniejsze od alkoholu, jaki wlał w siebie poprzedniego wieczora. Przewrócił się i zobaczyły śpiącą tuż obok Fanny.

To było interesujące.

Zachował mgliste wspomnienia o tym, jak potykając się, po ciemku, wracali plażą do Becket Hall z Ostatniej Podróży. Bracia Fanny, Jack i on. Żaden z nich nie szedł prosto i nie myślał jasno.

Przypomniawszy sobie, że kapłanka voodoo odciągnęła go na bok i wepchnęła mu do ręki klucz. Pamiętał jak przez mgłę, że wręczono mu świecę i dzięki niej zdołał znaleźć drogę do sypialni Fanny.

I było chyba coś z butami? Parsknął śmiechem. No, tak. Już pamiętał. Leżał na podłodze jak wyrzucony na brzeg wieloryb. Co za ujmą na honorze! Jego wysokość lord Brede, bezradnie leżący na plecach jak ostatni idiota.

Zgarnął z podłogi buty, zakiet i kamizelkę, poczuł ciężar schowanego w kieszonce klucza. Postanowił go zatrzymać na wypadek, gdyby Fanny znowu próbowała się przed nim zamknąć.

Rzucił ostatnie spojrzenie na łóżko. Zapragnął tam wrócić, zwinąć się obok Fanny, która w swej dziewiczej nocnej koszulce wyglądała tak niewinnie, ufnie, tak ponętnie... ale poczłapał przez ogromny pokój do wyjścia.

Ostrożnie zamknął za sobą drzwi, żeby nie szczęknęła klamka, i niemal wyskoczył ze skóry, gdy za jego plecami rozległ się ochryply szept:

– Chodź ze mną. Dam ci miksturę, która usunie z twojej głowy ból.

Valentine spojrzał nieufnie na kapłankę voodoo.

– Jeśli to coś w rodzaju angielskich specyfików medycyny ludowej typu: „napar z włosów psa, który cię ugryzł”, to muszę uprzejmie podziękować, madame – powiedział, zastanawiając się, czy kobieta przez całą noc czatowała na niego pod tymi drzwiami.

Odette uśmiechnęła się, jej zęby zalśniły olśniewającą bielą.

– Nie, nie spędziłam tu całej nocy. Usłyszałam, że uniosłeś powieki i przyszedł ci pomóc.

– Słyszała pani, jak uniosłem... do licha, kobieto, myślałem, że tylko ja to słyszę. Odette zachichotała.

– Umyj się, ubierz i wypij płyn ze szklanki, która stoi obok miski. Wypij wszystko, a potem wyjdź na słońce i przez dziesięć minut spaceruj nad morzem. Nie potrafisz się modlić do Najświętszej Panienki, ale myślę, że trzykrotnie zmówiona Modlitwa Pańska powinna spełnić zadanie.

– I to mnie uleczy? – zapytał Valentine, zaglądając do wskazanego przez Odette pokoju. Zobaczył swoje torby podróżne oraz naszykowane na łóżku ubranie. Dobrała nawet odpowiednią do żakietu kamizelkę, jego ulubioną.

Przez lata tułaczki po świecie Valentine niejedno już widział, poznał wiele typów ludzi, nie raz miał do czynienia z dziwakami. Ale Odette nie mieściła się w żadnej ze znanych mu kategorii.

– Fanny cię uleczy. A ty ją. A ta mikstura pozwoli ci pozbyć się z organizmu trucizny, jaką w siebie wlałeś. – Dotknęła ręki Valentine'a i zatrzymała go jeszcze na moment.

Obolała głowa nie pozwalała mu na jasność myślenia, więc skłonił się tylko i podziękował.

– Ona bardzo się boi, wiesz o tym. Ona widziała. Nie zdawałam sobie sprawy, że ona widzi, bo nawet ja, o wstydzie, nie dostrzegam wszystkiego! Ale pan Ainsley twierdzi, że Irlandczycy czasem tak mają. Na szczęście, Fanny nie widzi wszystkiego, co widzę ja. Chronią ją dobre *loa*. Jesteś porządnym człowiekiem, Brede, ja to widzę. Jesteś jej przyszłością. Ale daj jej czas, żeby uporała się z przeszłością.

Valentine już otworzył usta, by odpowiedzieć, ale stara kobieta odwróciła się i odeszła w głąb korytarza.

Wszedł do wskazanego pokoju i zrzucił z siebie wymięte ubrania. Umył się, wyszorował zęby, ogolił się starannie naszykowaną przez Odette brzytwą.

Wreszcie włożył czystą kamizelkę i ciemnoniebieski żakiet z czystej wełny. Ręcznikiem starł odciski palców Fanny z butów i wciągnął je.

Na koniec wypił miksturę i zszedł na dół.

Na zalanym słońcem tarasie był już Courtland, położył przedramiona na kamiennej balustradzie i jadł jabłko, nie odrywając oczu od plaży.

– Po takim wieczorze jak wczoraj najlepsze są jabłka – zwrócił się do Valentine’a. – Oczywiście są tacy, którzy wolą cienki kleik albo herbatę z melasą. Ale ja preferuję jabłka.

– Odette dała mi coś do wypicia – wyznał Valentine. – Trochę głupio się do tego przyznać, ale poczułem się znacznie lepiej.

– A zmówiłeś modlitwę do Najświętszej Panienki?

– Dziękuję za przypomnienie. Wiedziałem, że coś wyleciało mi z głowy.

– Nie zapominaj o tym. Ona będzie wiedziała. – Court wrócił do obserwacji plaży. – Ona zawsze wie.

Valentine podszedł do balustrady, żeby zobaczyć, co wzbudziło takie zainteresowanie Courtlanda.

Starszy sierżant Hart i jeszcze jeden mężczyzna szli wzdłuż długiego szeregu ludzi ustawionych wzdłuż brzegu. Mężczyzn. I chłopców. Kobiet. Dziewcząt. Młodych, starych, grubych, smukłych, wysokich, niskich. Wszyscy stali mniej więcej na baczność, z kijami od mioteł na ramieniu.

– Powinienem jednak odmówić tę modlitwę – mruknął Valentine, przecierając oczy. – Chyba mam halucynacje. Widzę starszego sierżanta Harta. Kim jest ten drugi gość?

– To Clovis. Clovis Meechum. Był ordynansem Spence’a podczas walk w Ameryce. Przeprowadzają musztrę oddziału.

Kąciki ust Valentine’a drgnęły z rozbawienia.

– Oczywiście. Tyle to sam widzę.

Courtland wyrzucił ogryzek daleko przed siebie, ale upadł on na piasek w znacznej odległości od „oddziału”.

– Mewy zajmą się ogryzkiem. – Oblizał palce i skinął na Valentine’a, by poszedł za nim do schodów prowadzących na plażę. – My wszyscy byliśmy żeglarzami. Wielu z nas nie umie nic więcej – wyjaśnił. – Spence uważa, że powinniśmy być przygotowani również do walki na lądzie. Twierdzi, że do tego trzeba innego rodzaju dyscypliny.

– Wyślecie do walki również kobiety? I dzieci?

– Wszyscy, którzy byli tamtego dnia na wyspie, pamiętają, co się stało. Od siedemnastu lat żyjemy ze strasznymi wspomnieniami. Skoro Bealesowi nie robi różnicy, kogo morduje, to my nie możemy robić różnicy, kto ma być przygotowany do walki, a kto nie.

– Chyba masz rację. – Valentine przypomniał sobie pytanie, które kiedyś zadał Fanny. – A nie pomyśleliście, żeby stąd wyjechać? Po prostu spakować manatki i przenieść się w inne miejsce.

Courtland kiwnął głową.

– Dlatego właśnie Ainsley zamówił fregatę. Na wypadek, gdybyśmy musieli uciekać z Becket Hall. Ale dokąd mielibyśmy się udać? Już raz uciekliśmy, ale wówczas nie mieliśmy innego wyjścia. Drugi raz nie uciekniemy, nawet jeśli Rian żył na tyle długo, że zdołali wydobyć z niego, gdzie jesteśmy. Beales i tak prędzej czy później nas dopadnie.

– Zna już wasze nazwisko. Becket.

– Tak. – Courtland wziął garść drobnych kamyczków i zaczął je rozsiewać po plaży. – Podejrzewamy, że doszło do tego, gdy Jack i Eleonora wybrali się do Londynu, żeby zdemaskować przywódcę Gangu Czerwonych Ludzi. Słyszałeś o nim?

– To gang przemytników wykorzystywany przez Bealesa w celu zdobycia złota dla Bonapartego.

– Dobrze, to mi ułatwi wyjaśnienia. Myślę, że kiedy Beales po raz pierwszy zetknął się z nazwiskiem Becket, nie zwrócił na nie szczególnej uwagi. Ale w zeszłym roku przysłała kolej na Spence'a i Mariah. Pojawili się zarówno w Calais, jak i w Londynie. Nasz udział w zawarciu pokoju nie był znany nikomu poza Wellingtonem, ale jakimś cudem nasze nazwisko po raz drugi dotarło do uszu Bealesa. To mogło wzbudzić jego zainteresowanie.

– I naprowadzić go na wasz trop.

– Ale Bonaparte niespodziewanie dla niego przegrał i Beales musiał pilnie zająć się swoimi sprawami na kontynencie. Nie miał czasu na to, co uznał za irytujący drobiazg, który pokrzyżował mu szyki w Anglii.

– Ale teraz ma.

– Tak, teraz ma. A nam pozostała już nad nim tylko jedna przewaga. My wiemy, kim on jest, a on prawdopodobnie nie zdaje sobie jeszcze sprawy, że nie jesteśmy tylko Becketami. Siedemnaście lat temu Spence, Eleonora, Rian, my wszyscy byliśmy jeszcze dziećmi. Beales nie mógł żadnego z nas rozpoznać. Uważa nas tylko za wrogów, którzy pokrzyżowali jego wspaniałe plany. Spencer dopilnował, by nie pozostał przy życiu nikt, kto mógłby mu złożyć raport.

Valentine nie podzielał pewności Courtlanda. Nazwisko Becket było rzeczywiście dość pospolite, ale ci, którzy polowali na Riana pod Waterloo, chcieli dopaść tego konkretnego Becketa.

– Masz więc nadzieję, że Beales uważa was po prostu za... inny gang przemytników? Jeden z wielu operujących wzdłuż całego naszego wybrzeża? W hrabstwie Kent? Sussex? W Kornwalii? To mogłoby tłumaczyć londyńską misję Jacka, ale nie Spence'a.

– Rzeczywiście. To strasznie zagmatwane, naprawdę nie orientujemy się, ile Beales może wiedzieć. Najgorsze jest to, że kilka lat temu, kiedy dopiero zaczynaliśmy chronić lokalnych przemytników przed Gangiem Czerwonych Ludzi, popełniłem karygodny błąd. Błąd nie do naprawienia. Występowałem jako „Czarny Duch”. Fanny mówiła ci pewnie, że statek Ainsleya nosił nazwę „Czarny Duch”...

– Przyjęliście wyłącznie strategię obronną?

– Nie. Jak tylko dowiedzieliśmy się, że Beales żyje, Ainsley rozesłał swoich ludzi po całym kontynencie. Ale rzadko udawało im się wpaść na jego ślad. Wiemy tylko, że podczas pobytu w Londynie posługiwał się innym nazwiskiem, prawdopodobnie używa wielu różnych nazwisk. Ciągłe próbujemy go znaleźć, ale w końcu to zapewne on wytropi nas.

– Zamknęliście się w uzbrojonej fortecy wzniesionej na płaskim, otwartym terenie, z kanałem La Manche za plecami. To dobra pozycja do obrony, bo nie sposób podejść was niepostrzeżenie, ale jeśli atak nastąpi jednocześnie z dwóch stron, to zostaniecie wzięci w kleszcze. Czy jest ktoś, kto mógłby przyjść wam z pomocą?

– Mieszkamy tu w izolacji od świata, nikt się nami specjalnie nie interesuje. Romney Marsh zachował znaczną odrębność, choć stanowi część Anglii. A Becket Hall to państwo w państwie, zupełnie jakbyśmy nadal żyli na wyspie. Teraz, kiedy zniknęła obawa przed inwazją Napoleona, Straż Wybrzeża skupi się na walce z przemytnikami. Ale liczba stacjonujących tu oddziałów niewątpliwie zmaleje, co będzie oznaczało zmniejszenie ochrony. Myślę, że ostateczna rozgrywka na tym terenie jest nieunikniona.

– Tak sądzi Fanny – mruknął cicho Valentine. – Chciałbym ją stąd zabrać. Wywieźć w bezpieczne miejsce. Była malutka, kiedy nastąpiło zerwanie między

Ainsleyem a Bealesem. To nie jej walka.

– To, do czego doszło na wyspie, to nie była kłótnia dwóch piratów, Valentine. To była masakra. – Courtland odwrócił się i Valentine spojrział mu w twarz. Nawet gęsta broda nie zdołała ukryć mocno zaciśniętej szczęki ani równie mocno zaciśniętych ust. – Ale masz rację, oczywiście. Fanny jest twoją żoną. Więc zabierzesz ją stąd?

– Nie byłem w swojej posiadłości, odkąd do Anglii dotarła informacja o ucieczce Bonapartego. Zapewne nagromadziło się sporo spraw, którymi powinienem się zająć. To może potrwać miesiąc albo i dwa. Gdybym zostawił tu Fanny, nie mógłbym spać po nocach. Rozumiesz to, prawda?

– Edmund Beales to człowiek doskonale zorganizowany – odezwał się w końcu Courtland. – Najpierw wszystko starannie planuje, potem przygotowuje atak i dopiero wtedy uderza. Ta rzeź sprzed lat wymagała miesięcy przygotowań. Jest dokładny i metodyczny.

– Dokładny i metodyczny? W jakim sensie? – Valentine starał się jak najlepiej poznać już teraz wspólnego wroga.

– Cóż, przyjmijmy założenie, że Rian zmarł, zanim zdążył im cokolwiek zdradzić, nawet jeśli... jeśli go torturowali. Beales, mając jedynie nazwisko Becket, prędzej czy później i tak nas wysledzi. Roześle swoich ludzi po całej Anglii.

– Najpierw przeszuka wybrzeże.

– Niewykluczone, ale mało prawdopodobne. Dużo o tym myśleliśmy, Valentine, żeby przygotować się na wszelkie ewentualności. Beales przyjmie założenie, że nasi przemytnicy stanowili tylko element większej gry, podobnie jak w jego wypadku. Innymi słowy, zaczną szukać głowy całego przedsięwzięcia, a nie jego członków.

Valentine rozważał przez chwilę słowa Courtlanda, po czym przyznał mu rację.

– Znam kilku parów Anglii, czerpiących profity z przemytu. Arystokratów, bankierów i innych „szanowanych” obywateli. Niektórzy nawet się tym chełpią.

– Dlatego Beales najprawdopodobniej rozpocznie poszukiwania od Londynu i stamtąd będzie je rozszerzał w stronę wybrzeża.

– Wtedy właśnie możecie zostać odkryci.

– W końcu do tego dojdzie. Choć zapewniam cię, Beales nie może tak po prostu rozesłać swoich ludzi po tawernach, żeby wypytywali o Becketów. Jeśli tak

zrobi, myślę, że zostaniemy poinformowani.

– To wszystko, o czym mówiłeś, wymaga czasu. I to sporo czasu. Powiedz mi teraz, co się stanie, kiedy ludzie Bealesa zlokalizują Becket Hall.

– Mamy nadzieję, że odkrycie, iż Ainsley Becket to jego dawny partner Geoffrey Baskin będzie dla niego zaskoczeniem. To go na pewien czas powstrzyma. Wycofa się, żeby przegrupować siły. Przed laty Beales nie zdołałby nas zaskoczyć, gdyby nie miał pomocy. Pomocy kogoś, kogo, niestety, uważaliśmy za lojalnego względem nas.

– Wyśle kogoś, kto wkradnie się w wasze łaski, zdobędzie zaufanie i pozna tajemnice.

– Moje gratulacje, Valentine. Powtórzyłeś niemal słowo w słowo to, co powiedział Jack.

– Szpieg pozostaje szpiegiem – stwierdził Valentine ze smutnym uśmiechem.

– A zdrajca zdrajcą – dodał Courtland. – Z uwagi na to zagrożenie długo i uważnie przyglądaliśmy się starszemu sierżantowi Hartowi, kiedy przyjechał tu z wiadomością o Rianie. Bardzo długo i bardzo uważnie, Valentine.

– A potem go zaakceptowaliście.

– A potem go zaakceptowaliśmy jako porządnego człowieka, tak. Wydaje się, że żywi wobec Fanny ojcowskie uczucia. A skoro już mowa o mojej nierozważnej, nieobliczalnej, samowolnej siostrze...

Valentine odwrócił się i zobaczył Fanny w prostej, czarnej sukience, która podkreślała jej wysoką, smukłą sylwetkę i jasne, niemal białe włosy. Szła powoli, a potem puściła się pędem wprost w szeroko otwarte ramiona starszego sierżanta.

– Oboje potrzebują pocieszenia – stwierdził Courtland ze smutkiem. – Hart żyje w przekonaniu, że nasłał tamtych ludzi na Riana. Pomagaliśmy mu utopić rozpacz w butelce, podobnie jak tobie, a potem Spence i Clovis wzięli go ostro do galopu i dali mu mnóstwo roboty.

– Jestem wam za to wdzięczny. Powiedziałeś, że Beales mógł wysłać swoich ludzi do Londynu, żeby wytropili Becketów.

Courtland pokręcił głową.

– Nie, przyjacielu, to nie zadanie dla ciebie. Fanny cię potrzebuje, a my potrzebujemy pewności, że Fanny nie narobi więcej szkód.

Valentine odwrócił głowę i spiorunował wzrokiem Courtlanda.

– To niemożliwe, Court. Widziałem go. Stracił zbyt dużo krwi, by mógł przeżyć. Już podczas rozmowy ze mną Rian czuł, że życie go opuszcza.

– Wiem, Valentine, choć mówię to z bólem. Mój brat nie żyje. Ty to wiesz. Ainsley, Jacko, my wszyscy zdajemy sobie z tego sprawę. Spróbuj przekonać o tym Fanny.

Valentine ponownie spojrzął na żonę, całkowicie zaabsorbowaną rozmową z Hartem. Courtland miał rację.

– Chryste – mruknął pod nosem i zmełł w ustach przekleństwo.

– Zrób więc to, co zamierzałeś zrobić od początku. Zabierz ją stąd, zawieź do swojego domu. Zajmij ją czymś lub kimś, dopóki się nie uspokoi, nie zaakceptuje śmierci Riana. Mamy przynajmniej kilka miesięcy. Potem wszyscy będziemy musieli stanąć do walki.

Valentine kiwnął głową, akceptując ten tok rozumowania. Ale musiał zadać jeszcze jedno pytanie.

– Powiedz mi, proszę, dlaczego Beales chce dostać Ainsleya żywcem?

Courtland przez chwilę milczał.

– Nikt z nas nie zna odpowiedzi na to pytanie. Tylko Jacko – odparł w końcu. – Beales pożąda czegoś, co ma Ainsley. Myśleliśmy, że chodziło mu o Isabellę i rzeczywiście jej pragnął. Ale nie tylko jej. Nie tylko...

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Podczas lunchu podanego w pokoju śniadaniowym Fanny wymówiła się brakiem apetytu i wstała od stołu przed drugim daniem. Odrzuciła propozycję Callie, która chciała jej towarzyszyć, zignorowała również pytające spojrzenie Mariah.

Obejrzała się za siebie, by sprawdzić, czy nikt za nią nie idzie, i wślizgnęła się do gabinetu Ainsleya. Wiedziała, że tata i wszyscy męscy członkowie rodziny zebrali się na lunch w jadalni.

Na palcach podeszła do biurka, na którym Ainsley trzymał mapy i szkice terenu. Szukała map Europy, szczególnie Belgii i Francji. Znalazła.

Ainsley zaznaczał na mapach ruchy Wellingtona i sił sprzymierzonych czerwonym atramentem, a wojsk Bonapartego niebieskim. Wypisywał również daty i nazwy miasteczek, więc Fanny bez większego trudu zlokalizowała pozycję Żelaznego Księcia w dniu ostatecznej bitwy. Powoli przesunęła palcem na południe.

Nie mogli oddalić się na większą odległość, mając ze sobą ciężko rannego Riana. Przecież chcieli mieć go żywego. Dokąd mogli w tej sytuacji pojechać? Oddziały sprzymierzone podążały na południe szeroką ławą, spychając niedobitki armii Napoleona w kierunku rdzennych ziem francuskich.

Fanny przycisnęła płasko rozłożone dłonie do biurka i wodziła wzrokiem od mapy do mapy.

Gdzie ona by go zabrała? Zabrałaby go do domu...

Mocno zacisnęła powieki i otrząsnęła się z melancholii.

Gdzie zacząć poszukiwania?

– Powinnaś zacząć od założenia, że Rian nie został ranny. Zastanowić się, jak wyglądałby plan nakreślony przed porwaniem, jaka byłaby wówczas droga ucieczki. I punkt docelowy, wybrane wcześniej miejsce spotkania.

Fanny odwróciła się tak gwałtownie, że zrzuciła na podłogę mapę, po której wodziła palcem.

– Brede! Wiedziałeś, że ja... Że jest... Wiedziałeś?

– Masz tendencję do wygłaszania... czy raczej wystękiwania... całkowicie oczywistych uwag, jakby ci zależało na zniszczeniu mojej wysokiej opinii o twojej inteligencji, kochanie. Taki sam skutek może mieć fakt, że poważnie rozważałaś takie szaleństwo.

– Daj spokój. – Fanny schyliła się, by podnieść mapy, ignorując silne drzenie własnych rąk. – Twoje pogardliwe uwagi nie robią na mnie wrażenia.

– Pogardliwe, tak? – Valentine przykląkł obok niej, by pomóc jej zbierać mapy. – Arogancki, wyniosły, lekceważący? Taki jestem? Zraniłaś mnie do żywego, madame.

Fanny zgromiła go spojrzeniem, zerwała się na równe nogi i rzuciła mapy na biurko. Zaskoczyło ją, jak dobrze wyglądał po takiej nocy.

Nagle uśmiechnął się.

– Tak, Brede, właśnie taki jesteś, a nawet gorszy. Jesteś nadęty, obrzydliwie obnosisz się ze swoją wyższością i... i... doprowadzasz mnie do szału.

– Szkoda – mruknął Valentine i uważnie przyjrzał się jednej z map Ainsleya.

– Więc może cię nakarmię. Przyznaj się, Brede. Nie jadłeś lunchu z tatą i pozostałymi, prawda? Dlatego teraz szczerzysz na mnie kły.

– Cóż, masz rację. Byliśmy z Courtlandem bardzo zajęci i nie jedliśmy lunchu. Ani śniadania, jeśli mam być szczerzy.

Popatrzyła na niego z zaciekawieniem. Był bardziej zadowolony z siebie niż zwykle.

– Czy raczylibyś mi wyjaśnić, co to znaczy, że byliście z Courtem zajęci?

– Wszystko w swoim czasie, moja słodziutka. – Popukał palcem w mapę. – Tutaj. Wziąwszy wszystko pod uwagę, zabrałbym go tu. Do Valenciennes.

Fanny pochyliła się nad mapą i jej głowa znalazła się tuż przy głowie Valentine'a.

– Dlaczego?

– Po pierwsze, Valenciennes jest położone tuż za granicą Francji, a ja na ich miejscu wolałbym opuścić Belgię i znaleźć się jak najdalej od wojsk sprzymierzonych na wypadek, gdyby Bonaparte przegrał. To całkiem ładne, spore

miasto, a bardzo wątpię, by Beales miał ochotę zatrzymać się w jakiejś prowincjonalnej gospodzie, która ma do zaoferowania podróżnym wyłącznie wilgotne prześcieradła. Przecież musiał się liczyć z tym, że zostanie tam przez tydzień, a może i miesiąc, czekając na rozstrzygającą bitwę.

– Tobie też zależałoby na komfortowych warunkach...

– To cię drażni? – zapytał Valentine i uśmiechnął się do niej. – I, co najważniejsze, Valenciennes jest położone sto mil na północ od Paryża. Dość blisko, gdyby Bonaparte odniósł zwycięstwo, ale wystarczająco daleko, gdyby przegrał. W dodatku wystarczą trzy dni, by dotrzeć do oddalonego o niespełna sto mil na zachód wybrzeża, gdzie zawsze wieją sprzyjające wiatry. Na podstawie opowieści Ainsleya wyobrażam sobie Bealesa jako człowieka, który lubi być przygotowany na wszelkie ewentualności.

– Wciąż mówimy o hipotetycznej sytuacji... że Rian nie został ranny. – Fanny odwróciła głowę i niemal otarła się nosem o twarz Valentine'a. Był taki miły.

– Tak... Z pewnością chciałby jak najszybciej przewieźć Riana w jakieś ustronne miejsce, żeby bez przeszkód zadawać mu pytania.

Pożałował tych słów natychmiast.

– Chciałeś powiedzieć: torturować go. – Zakręciło jej się nagle w głowie, jakby miała zemdleć. – Musimy go odnaleźć.

– Fanny, Rian z pewnością nie żyje. Bóg mi świadkiem, że wolałbym w to nie wierzyć, bo to ja zostawiłem go na pastwę losu. Ale jeśli miałby wpaść w ręce Bealesa, to z dwojga złego... lepiej, żeby nie żył.

– Jadę go szukać – oznajmiła Fanny stanowczo.

Valentine położył rękę na jej ramionach.

– Nie, Fanny, nie pojedziesz go szukać. To z góry skazane na niepowodzenie. I zdecydowanie zbyt niebezpieczne. Nie zgadzam się na to.

– Nie zgadzasz się? A kim ty jesteś, żeby... Nie patrz tak na mnie! Wiem, kim jesteś. Ale starszy sierżant Hart przyznaje mi rację. Nie możemy pozostać z pytaniami bez odpowiedzi. Musimy przynajmniej spróbować.

– Z tym akurat zgadzamy się wszyscy. Ainsley, ja i pozostali – stwierdził Valentine, wyjął mapy z rąk Fanny i odłożył je na stół. – Podejź do okna, Fanny.

Zastanawiała się, czy nie szarpnąć jeszcze raz map, ale uznała, że byłby to

daremny wysiłek.

– A co mam niby zobaczyć?

– Rzecz w tym, czego nie zobaczysz.

Spojrzała na niego ze zdumieniem, zmarszczyła brwi i odwróciła się do okna.

– Gdzie zniknęła korweta Chance’a?!

– A wraz z nią twój brat Courtland, starszy sierżant Hart, Clovis Meechum, Billy i niewielka załoga. Dzięki roztropności Ainsleya wszystkie jednostki były gotowe do wyjścia w morze. Musieliśmy tylko dostarczyć na pokład zapasy żywności i wodę.

Fanny zamknęła oczy i oparła się bezwładnie o Valentine’a.

– Ty to zrobiłeś? Zrobiłeś to dla mnie? Myślałam... Myślałam, że to tylko ja. Ale teraz szuka go Court. On go znajdzie. Wiem, że go znajdzie.

Valentine otoczył ramieniem jej talię. Wolał nie wyjaśniać, że Courtland pojechał szukać ciała Riana, które będzie piekielnie trudno znaleźć.

– Teraz już możesz ze spokojnym sumieniem pojechać ze mną do Brede Manor, prawda?

Fanny poczuła nagły przypływ paniki. Chciała rzucić się do ucieczki, choć równocześnie pragnęła pozostać tam, gdzie była – w ramionach Valentine’a.

– Do Brede Manor? Ja... nie myślałam... No, oczywiście. Gdzie indziej mielibyśmy pojechać?

Cmoknął ją w czubek głowy.

– Mamy przed sobą wspólne życie, Fanny. Najwyższy czas zająć się przyszłością. Możemy wyjechać, jak tylko się pożegnamy. Wszyscy czekają już na nas w bawialni.

– Czekają? Miałeś bardzo pracowity poranek, Brede. – Fanny przełknęła z trudem, nienawidziła poczucia, że była manipulowana. – Założyłeś z góry, że wyrażę zgodę, tak? I wszyscy się z tobą zgodzili?

– Nie chciałbym wyjść na nieskromnego, ale wierzę, że zostałem przez twoich najbliższych zaakceptowany. – Valentine uśmiechnął się. – Ale pomijając już moją uroczą i nad wyraz pociągającą osobę, to przecież ty sama prosiłaś, żebym cię zabrał

z Brukseli do Brede Manor, pamiętasz? Courtland zrobi wszystko, co w ludzkiej mocy. A za miesiąc będziemy tu z powrotem, Fanny. Za miesiąc czy dwa.

Oczy Fanny zwięzły się podejrzliwie.

Czyżby przelicytował? Przesadnie się pospieszył, pragnąc oderwać ją od Becket Hall i bolesnych wspomnień, zabrać ją tam, gdzie będzie ją miał wyłącznie dla siebie? Valentine starał się przybrać przyjazny wyraz twarzy.

Fanny podniosła ręce w geście kapitulacji.

– Dobrze, Brede. Jak postanowione, to postanowione. Potrafię uznać swoją porażkę.

– Ty nigdy nie uznajesz swojej porażki, kochanie. I choć mogłoby to zostać uznane za rodzaj perwersji, to w moich oczach stanowi to część twojego uroku – powiedział Valentine do pleców oddalającej się Fanny, po czym ruszył za nią do salonu, w którym zebrała się cała jej rodzina.

Jack podszedł, by uścisnąć rękę Valentine'a. Przyglądał się Fanny, która żegnała się ze wszystkimi po kolei.

– Niech Bóg ma cię w swojej opiece, Valentine. Obawiam się, że Fanny tyle wie o prowadzeniu domu co ja. Patrz, Eleonora wtyka jej jakieś książki. Pewnie o zasadach dobrego wychowania i inne poradniki.

– A Fanny przyjmuje je z miną osoby, której wręczono kosz pajaków. Czy ona naprawdę nie ma pojęcia o prowadzeniu domu?

– Fanny? Ona doskonale jeździ konno, dobrze strzela, nieźle posługuje się białą bronią. Ainsley wyznaje zasadę, że każdy powinien doskonalić się w tym, co go naprawdę interesuje. A Fanny interesowała się zawsze tym, co interesowało Riana.

– I dobrze. Nie ożeniłem się z Fanny po to, by nadzorowała moją służbę.

– Oczywiście, że nie. Ożeniłem się z nią z tego samego powodu, dla którego ja poślubiłem Eleonorę. To upokarzające, gdy odkrywamy nagle, że przeżyliśmy pół życia, nie zdając sobie nawet sprawy, jak bardzo było ono puste. Aż nagle jakiś uśmiech, ton głosu je wypełnia.

– Zawsze byłeś elokwentny, przyjacielu – stwierdził Valentine, obserwując Fanny, która mocno objęła Ainsleya.

Jack uśmiechnął się szeroko.

– Eleonora pozwoliła mi powiedzieć ci o tym, czego jeszcze nikt nie wie, ponieważ już raz zanadto się pospieszyła z informacją i nic z tego nie wyszło. Wygląda na to, że pod koniec roku zostanę ojcem.

– Moje gratulacje! – zawołał Valentine, choć kiedy przez moment postawił się w sytuacji przyjaciela, poczuł przerażenie. W Brede Manor dzieci nie miały szczęśliwego dzieciństwa, przynajmniej w jego pokoleniu.

– Dziękuję. Ale pamiętaj, Eleonora nie chce, by ktoś się o tym dowiedział.

– Podejrzewam, że zachowanie tego w tajemnicy nie będzie łatwe – zauważył Valentine z uśmiechem.

– Tutaj? W Becket Hall trudno zachować cokolwiek w tajemnicy. Gdybym kichnął w najgłębszych zakamarkach piwnicy, to przynajmniej trzy osoby znalazłyby się na tyle blisko, by zawołać „na zdrowie”. Na jak długo wyjeżdżasz?

– Zakładasz, że tu wrócę?

Jack kiwnął głową.

– Wiem, że wrócisz. Tak samo się palisz do rozgrywki z Bealesem jak my wszyscy. To oczywiste. Z powodu Fanny. I bez wątpienia z powodu Riana. Ale pamiętaj, że nie zawiodłeś. Mam poczucie, że oddałem Riana w najlepsze ręce. Czy wiesz, że widziałem go w Londynie?

– Nie wiedziałem. – Valentine nie odrywał spojrzenia od Fanny, która próbowała zwrócić książki Eleonorze, która ze śmiechem odmawiała. – Mów.

Jack opowiedział o tym, jak spostrzegł wysokiego, chudego, ciemnego mężczyznę wsiadającego do powozu. To była tylko chwila, przelotne wrażenie, ale Chance potwierdził tożsamość Bealesa, wdając się w rozmowę z jego służącym, który przyznał, że jego pan żuje liście.

– Liście koki, Valentine. To przyzwyczajenie wyniesione z wysp, jak twierdzi Ainsley. Tak czy owak, Beales występował w Londynie pod nazwiskiem Nathaniel Beatty.

Valentine gwałtownie odwrócił głowę, spojrział na przyjaciela i dał mu znak, by wyszedł z nim na korytarz.

– O co chodzi, Valentine? Słyszałeś to nazwisko?

– Jadłem z tym człowiekiem obiad – powiedział Valentine, rozcierając sobie kark i próbując sobie przypomnieć, gdzie i kiedy to było. – Może na kongresie

wiedeńskim w tym roku? Tak, to musiało być wtedy. Już pamiętam. Został przedstawiony siedzącym przy stole biesiadnikom jako... niech pomyślę... jako finansista. A przedstawił go Charles Talleyrand. Przepraszam, świeżo upieczony ksiązę Talleyrand.

Jack był pod wrażeniem.

– Talleyrand? Człowiek, który zdaniem Bonapartego, sprzedałby dla zysku własnego ojca? Mogliśmy się domyślić, że Beales będzie zabiegał o poparcie człowieka, który potrafi grać na dwie strony i od obu czerpać korzyści. Trzeba natychmiast o tym powiedzieć Ainsleyowi.

– Ty mu powiesz – mruknął Valentine, bo Fanny wyszła właśnie do holu. Najwyraźniej przegrała batalię o książki. – Ja zabieram żonę do domu. – Z uśmiechem wyciągnął rękę do Fanny. – Z tymi książkami pod pachą wyglądasz jak uczennica, moja słodka. Gotowa do wyjazdu? To ruszajmy. I tak będziemy musieli zatrzymać się na noc w zajeździe, żeby nie zamęczyć koni.

Fanny skrzywiła się.

– Wszyscy zachowują się tak, jakby nie mogli się doczekać mojego wyjazdu. – Włożyła czepek, który jedna z pokojówek naszykowała jej na stoliku w holu. – Wiesz, że chciałam jechać wierzchem, na Molly.

– Jutro, kochanie. Ruszajmy wreszcie.

Fanny ucałowała Jacka na pożegnanie, odwróciła się, by objąć Becket Hall ostatnim spojrzeniem, jakby rozstawała się z domem na zawsze, a potem wyszła na ganek i spojrzała na schody.

– Odette! Zastanawiałam się, gdzie się podziałaś. Chciałam cię szukać, żeby się z tobą pożegnać, ale ten gbur za moimi plecami dosłownie wypchnął mnie za drzwi.

Stara kobieta zaczekała, aż Fanny zejdzie ze schodów, i mocno ją objęła.

– Bądź grzeczna.

– Odette! Tylko tyle masz mi do powiedzenia?

– Nawet to, moje dziecko, stanowi nie lada wyzwanie. Niełatwo ci będzie mu sprostać.

– Odette, to była dla mnie prawdziwa przyjemność. – Valentine podszedł do nich, zakończywszy rozmowę ze stangretem.

Otworzył drzwi karety i wsadził żonę do środka, nie zawracając sobie głowy opuszczaniem schodków. Potem sam wskoczył i usiadł obok Fanny przodem do kierunku jazdy.

Powóz ruszył. Valentine natychmiast objął Fanny i zanim dotarło do niej, co się dzieje, już ją całował, długo i mocno.

Wszelkie protesty i długa lista pretensji natychmiast wywietrzały jej z głowy, zarzuciła mu ręce na szyję i przyciągnęła go jeszcze bliżej. Westchnęła, gdy objął dłonią jej pierś i przez cienki materiał sukni przesunął kciukiem po brodawce.

Całował ją raz za razem, z uśmiechem pieszcząc jej usta językiem.

A potem nagle odsunął ją i rozłożył aksamitne siedzenia karety.

– Co... co ty robisz? Co to? Brede?

– To, co niezbędne, moja słodka. – Wyciągnął długie nogi, oparł obcasy o przeciwległą kanapę powozu, po czym zsunął się nieco i przybrał najlepszą pozycję, jaką może przybrać mężczyzna, który pragnie, by żona dosiadła go i poruszała się w rytm pędzącego powozu.

– Niezbędne? Znowu to określenie? Dlaczego to było niezbędne?

Odwrócił głowę i uśmiechnął się do niej łobuzersko.

– Mam nadzieję, że już wkrótce zrozumiesz, kochanie. Na razie pozwolę sobie tylko powiedzieć, że pewne rzeczy z czasem stają się coraz przyjemniejsze, wraz ze zdobywaniem praktyki.

Fanny odwróciła oczy od Valentine'a, udając nagłe zainteresowanie przesuwanym się za oknem płaskim, monotonnym krajobrazem. Wreszcie zrozumiała.

Odwróciła się i... uderzyła go w brzuch.

– Przepraszam, Brede. To było... niezbędne.

Następnie rozsiadła się na kanapie i z uśmiechem, który nie schodził z jej twarzy przez następną milę, rozpamiętywała słowa, które szepnęła jej przed odjazdem Mariah.

„Pamiętaj, Fanny, że on jest tak samo zdenerwowany nową dla siebie sytuacją jak ty, równie bezbronny i podatny na ciosy. Mężczyźni tylko lepiej skrywają swe

uczucia, a twój mąż prawdopodobnie z większym powodzeniem niż inni. Tylko od ciebie zależy, czy zaufa ci na tyle, by być z tobą szczerą...”

Walenie męża pięścią w brzuch nie było zapewne tym, co Mariah miała na myśli.

Fanny zamrugała oczami, do których niespodziewanie napłynęły łzy. Zbyt długo wyglądała przez okno na zalane jaskrawym, czerwcowym słońcem Romney Marsh. To z pewnością dlatego.

– Brede? – odezwała się, nie odrywając wzroku od krajobrazu, w którym jedyną zmienną była liczba owiec pasących się na poszczególnych polach.

– Nie, nie przepraszaj, Fanny – powiedział, uszczęśliwiony, że w ogóle raczyła się do niego odezwać. – Uległem impulsowi. W twoim domu, choć ogromnym, kłębi się tłum ludzi. Po raz pierwszy zostaliśmy sami od chwili przyjazdu. Przepraszam.

– Byliśmy sami poprzedniej nocy – powiedziała ostrożnie.

– Obawiam się, że niewiele pamiętam z minionej nocy, kochanie. Ostatnia rzecz, jaką sobie ze wstydem przypominam, to że leżałem na podłodze i chichotałem jak wiejski głupek. Waham się pytać... ale czy byłem bardzo obrzydliwy?

Fanny wbiła wzrok we własne, złożone na kolanach ręce.

– Nie pamiętasz? Naprawdę nie pamiętasz?

Serce Valentine’a zgubiło jedno uderzenie, po czym ruszyło jak z kopyta.

– Co ja zrobiłem, Fanny? Czy... czy próbowałem ci się narzucać?

Energicznie potrząsnęła głową.

– Nie, oczywiście, że nie. Jesteś dżentelmenem.

Valentine nie zdołał się powstrzymać. Wybuchnął głośnym śmiechem.

– Tylko z konieczności, kochanie. Z najwyższym trudem toleruję insygnia wysokiej pozycji społecznej. Ale zachowywałem się przyzwoicie?

– Ty... mówiłeś tylko różne rzeczy – zaczęła Fanny, ale potrząsnęła głową. – Byłeś pijany, Brede.

Zdjęła czepkę i potrząsnęła głową. Włosy rozsypały się na jej policzki. Valentine’owi podobały się te niesforne loczki.

– Co mówiłem?

Ujęła jego rękę w nadziei, że ten serdeczny gest złagodzi wymowę słów.

– Mówiłeś o przyjaciółach, których straciłeś na wojnie, i o tym, jak się cieszysz, że ta rzeź skończyła się wreszcie. Ja... ja straciłam Riana i to straszliwie boli. Ty pożegnałeś znacznie więcej bliskich ci ludzi, bez porównania więcej.

Brede uścisnął jej rękę.

– Edwarda Pakenhama w Nowym Orleanie. To był wspaniały człowiek. Zawsze będzie mi go brakowało. To taka bezsensowna śmierć w bezsensownej bitwie. Miałem trzech ordynansów, wszyscy zginęli. Więc zrezygnowałem z ordynansów. – Popatrzył na Fanny i uśmiechnął się. – Przepraszam, że roztkliwiałem się nad sobą, jak wszyscy, którzy topią smutki na dnie butelki.

Nie odpowiedziała. Oparła jedynie głowę na jego ramieniu i zamknęła oczy...

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Fanny obudziła się, gdy karetka szarpnęła mocno i stanęła. Domyśliła się, że musiała zapaść w sen, jak tylko złożyła głowę na ramieniu Valentine'a. Uniosła powieki i stwierdziła, że leżała mu na kolanach.

Wyczuł napięcie wracające do jej ciała i pomógł jej się podnieść. Przez ponad godzinę gładził jej włosy i miękki policzek, a przez głowę przelatowały mu niespokojne myśli.

– Przepraszam, Brede. – Fanny poprawiła szal, nie odważyła się spojrzeć mu w oczy. – Dlaczego mnie nie obudziłeś? Mogłeś mnie zrzucić.

– Na podłogę? – zapytał i z przyjemnością spostrzegł wypływający jej na policzki rumieniec. – Prawdę mówiąc, Fanny, grzejesz znacznie lepiej niż gorąca cegła pod stopami.

– Skoro tak, to mogę chyba powiedzieć, że dobrze mi się spało. Jesteś bardzo wy... – Zakryła ręką usta, czuła, że tego akurat zdania zdecydowanie nie powinna dokończyć. Odwróciła się do okna. – Gdzie jesteśmy?

– Nie mam pojęcia. Wiesz, karetka twojego ojca ma wyjątkowo dobre resory, albo drogi w Romney Marsh są znacznie lepsze od tych, do których przywykłem.

– Nie bez powodu – odparła Fanny z roztargnieniem, bo akurat wkładała czepek, próbując nie myśleć o nadchodzącym wieczorze, kiedy zostaną z Valentine'em sami. – Nie możemy ryzykować, że ugrzęźniemy na środku drogi z transportowaną w głąb łądu kontrabandą i o świcie nakryje nas straż przybrzeżna z kołami buksującymi w błocie. Och!

Valentine ukrył uśmiech.

– Ja już o wszystkim wiem, zapomniałaś?

– Chyba tak. Jak długo spałam?

– Ze dwie godziny. Dlaczego pytasz?

– Myślałam o fregacie. Przy sprzyjającym wietrze za kilka godzin powinni zawinąć do Ostendy, prawda?

– Żałujesz, że nie pojechaliśmy razem z nimi?

Zacisnęła usta i potrząsnęła głową.

– Nie. Nie popełnię drugi raz tego samego błędu. Sprawiałam tylko wszystkim kłopoty, bo starali się chronić mnie, zamiast myśleć o sobie. Oni znajdą Riana i przywiozą go do domu. Jestem tego pewna.

– Fanny, nie możesz...

– Proszę, Brede, nie mów nic więcej. Pozwól mi oszukiwać się tak długo, jak to możliwe. Nic więcej nie mogę zrobić.

– Możesz zachować go w sercu, Fanny. On cię bardzo kochał – powiedział Valentine i zobaczył łzy błyszczące w kącikach jej oczu.

– Dziękuję za zrozumienie, Brede. A teraz – powiedziała z wymuszonym uśmiechem – najwyższy czas cię nakarmić.

Valentine otworzył drzwi, opuścił schodki i pomógł Fanny zejść na ziemię. Kazał najpierw wnieść ich bagaże do zajazdu, a dopiero potem zająć się końmi. Wprowadził ją do ciasnego, ciemnego holu zajazdu noszącego wyjątkowo nietrafną nazwę Złote Runo.

Ich pojawienie się wprawiło karczmarza w prawdziwe osłupienie, a kiedy Jacob wsadził głowę w drzwi, żeby zapytać „milorda” o dalsze polecenia, właściciel zajazdu wyprostował się, jakby urósł o cal, i donośnym głosem zaczął pokrzykiwać na żonę, żeby zaraz zaprowadziła „jej wysokość” do osobnej jadalni, a on zajmie się dostarczeniem czystych prześcieradeł do najlepszej sypialni.

Najwyraźniej „wielcy państwo” rzadko zatrzymywali się na noc w Złotym Runie.

Fanny popatrzyła na Valentine’a z rozbawieniem i nagle dotarło do niej, że to ona była „jej wysokością”. Lady Brede. Bogowie! Z największym wysiłkiem zachowała nieprzeniknioną minę – jako że wyniosłość przekraczała zdecydowanie jej możliwości.

– Czy wasza wysokość zechce łaskawie pójść za mną? – zapytała nerwowo pulchna, rumiana żona oberżysty i dygnęła nisko, wskazując ręką w głąb korytarza.

Fanny szepnęła coś szynkarce na ucho i została zaprowadzona do prymitywnej, ale czystej wygodki. Kiedy wróciła do jadalni, na stole były już chleb, szynka i ser.

Natychmiast wbiła zęby w plaster cudownej, wiejskiej szynki i gestem wskazała sterty jedzenia Valentine'owi, który wszedł właśnie do pokoju i usiadł naprzeciw niej. Żadne z nich nie odezwało się, dopóki właściciel zajazdu nie postawił przed Valentine'em kufła piwa, a przed Fanny dzbanka świeżej lemoniady.

Fanny przełknęła i zaśmiała się. Wskazała dzbanek Valentine'owi, prosząc bez słów, by nalał jej trochę lemoniady. Wypiła łakomie do dna, a potem wytarła serwetką łzy rozbawienia z oczu.

– Zawsze tak jest?

– Co, Fanny? – Valentine udał, że nie rozumie pytania.

– Przecież wiesz! – Rozłożyła szeroko ręce. – Te... ukłony... To żenujące, nie sądzisz? Nie dla mnie, bo mnie to raczej bawi, ale dla innych, takich jak nasz poczciwy gospodarz. Wyobrażam sobie, że dotąd nie przestał się kłaniać.

– Pewnie tak. Kłania się, płaszczy, a w myślach dostosowuje już radośnie wysokość rachunku do przypuszczalnego stanu mojego portfela. Jesteś teraz lady Brede, moja słodka. Kiedy pojedziemy do Londynu, zostaniesz przedstawiona księciu regentowi. Choć to dość wątpliwy honor.

Fanny szybko wytarła brodę serwetką i sięgnęła po następny plaster szynki. Żuła go w zamyśleniu, opierając się łokciem o stół.

– A już na pewno oczekują, że lady Brede będzie posługiwała się widelcem – dodał Valentine, biorąc łyk wina.

– Potrafię posługiwać się widelcem – oświadczyła Fanny i złapała palcami kolejny plaster szynki. Położyła go na talerzu i oblizwała palce. – Elly zanudzała nas bez przerwy wykładami o etykiecie, zachowaniu się przy stole i innych podobnych głupotach. Nieustannie.

Valentine zdawał sobie sprawę, że Fanny celowo zachowywała się przy stole jak łobuzica.

– Dała ci również książki. Wziąwszy to wszystko pod uwagę, muszę przyjąć, że w tej chwili z premedytacją prezentujesz brak manier.

Wzięła do ręki widelec i nadziała nań kawałek szynki.

– Muszę jednak przyznać, że mam powód. Próbuję ci udowodnić, że małżeństwo ze mną było błędem. Nie wiem, dlaczego to robię. Już przestaję. Widzisz? Posługuję się nawet widelcem.

– Och, nie musisz tego robić ze względu na mnie. A może nie czytałaś >*Historii życia Toma Jonesa, czyli dzieje podrzutka* i opisu obiadu w towarzystwie rozkosznej pani Waters? O, marszczysz brwi. Masz rację, mówienie o takich rzeczach z własną małżonką to chamstwo.

– Nawet jeśli twoja małżonka nie ma zielonego pojęcia, o czym mówisz? – Fanny przypomniała sobie ostrzeżenie wygłoszone na odjeźdźnym przez Odette i postanowiła od tej chwili już zawsze używać widelca. – Wiesz, ja naprawdę jestem strasznie głupia. Taka nieokrzesana, wiejska dziewczyna, prostaczka. Za tydzień będziesz mną śmiertelnie znudzony.

– Albo przyjmę rolę mentora. Mogę ci czytywać wieczorami. Wydaje mi się, że spodobałby ci się *Tom Jones*. Jestem bardzo ciekaw twojej reakcji na tę książkę.

– Powiedziałam, że jestem głupia, Brede. Co nie oznacza, że nie umiem czytać. – Wydała dramatyczne westchnienie. – Ale nie umiem malować, grać na harfie i śpiewać. Aha, nie potrafię również szyć. Kiedy ktoś mi każe zrobić którąś z tych rzeczy, wpadam w szal.

Tym razem to Valentine położył łokieć na stole i uśmiechnął się.

– Próbujesz mi wybić z głowy zatrzymanie cię w charakterze małżonki? Pozwól sobie przypomnieć, kochanie, że już jesteśmy małżeństwem, w pełnym tego słowa znaczeniu.

– Wiem, biedaku. Ja cię tylko ostrzegam. W Brukseli czy nawet w Becket Hall było inaczej. Ale teraz próbujesz mnie wciągnąć do swojego świata i powinieneś zdawać sobie sprawę z tego, że ja do niego nie pasuję. Lucie twierdzi, że tak się nadaję do towarzystwa jak ona do życia w ubóstwie, cokolwiek przez to rozumie.

– Rozumie przez to, moja słodka, że nie ma pojęcia, czym jest ubóstwo.

Fanny ułamała kawałek świeżutkiego chleba.

– Nie chciała opuścić kwatery głównej Wellingtona po tym, jak mnie potraktowałeś, więc zagroziłam, że stanę w powozie i zacznę wykrzykiwać wszystkie brzydkie słowa, jakie kiedykolwiek słyszałam.

– Zrobiłaś to?

– Nie – westchnęła, nie przestając kruszyć chleba. – Ale na prośbę Lucie powiedziałam jej potem wszystkie te słowa po cichu.

– Na gwiazdeczki! – zawołał Valentine i parsknął śmiechem.

– To właśnie usłyszałam z ust Lucie! Wielokrotnie. A potem uraczyła mnie co najmniej trzema z tych świeżo poznanych słów

Valentine pocierał ręką usta, żeby ukryć szeroki uśmiech.

– A powiedziałaś panie Pitney...

– Że jest głupią dziewczuchą bez serca. – Zamrugła oczami, udając niewinną, wiejską dziewczę. – Czy wiesz, że panna Pitney jest blisko spokrewniona z jakimś tam księciem?

– Tak, jestem tego świadomy. To znakomita familia, wielka i potężna, o korzeniach sięgających biblijnego potopu, choć obecna generacja pozostawia wiele do życzenia. Co jeszcze? Może pokazałaś kostkę u nogi? Wyszłaś z domu bez przyzwoitki? Wylałaś komuś na głowę owsiankę, poczuwszy do niego nagłą urazę?

– Nic z tych rzeczy. Spędziłam u twojej siostry tylko kilka dni. Nie zdążyłam narobić jej prawdziwych kłopotów. Ale pomyśl, Brede, skoro w ciągu tych kilku dni zdążyłam tak narozrabiać, do czego może dojść, kiedy zawieziesz mnie do Londynu?

– Właśnie o tym myślę. Może dojść do tego, że moje nazwisko zostanie okryte hańbą na wieki, prawda?

Fanny przechyliła głowę na bok i popatrzyła na niego przez szerokość stołu. Jego oczy błyszczały z rozbawienia.

– Wstydz się! Myślisz teraz o przestrodze, jaką usłyszałeś od ojca, wyruszając na wojnę, prawda? Rozkoszujesz się tą myślą.

– To prawda. Okropnie się wstydzę. Stary tyran przewraca się pewnie w rodzinnym grobowcu. Jeszcze lemoniady, kochanie?

Fanny otworzyła usta.

– Ożeniłeś się ze mną w nadziei, że zrobię z siebie pośmiewisko?

Valentine postawił przezornie dzbanek poza zasięgiem rąk Fanny.

– Nie, najśłodsza, nie ożeniłem się z tobą z tego powodu. Ale obecna rozmowa daje mi nadzieję, że śmiertelnie zazwyczaj nudny sezon tym razem będzie całkiem zabawny.

– Więc pozwolił, bym się zhańbiła? Jesteś naprawdę podły. Wstydl!

Tak, jego Fanny różniła się bardzo od głupiutkich debiutantek.

– Tak, ale mój plan nie ma szansy się powieść, ponieważ ty nigdy nie okryjesz hańbą ani siebie, ani mnie. Londyn zakocha się w tobie od pierwszego wejrzenia, jak ja.

– Ty jesteś... zakochany? – Serce Fanny zgubiło co najmniej dwa uderzenia.

Valentine wstał, obszedł stół i wyciągnął do niej rękę.

– Po uszy.

I nagle Fanny, która dotychczas nie miała najmniejszych trudności w rozmowie z Valentine'em i z radością uprawiała szermierkę słowną, zapomniała języka w gębie. Stali, patrząc sobie głęboko w oczy, gdy oberżysta zastukał do drzwi i nie czekając na zaproszenie, wtargnął do środka, trzymając się pod boki.

– Ja... błagam o wybaczenie, milordzie. Ale pewna... osobistość chce pana widzieć. A właściwie aż dwie. I nie przyjmują odmowy...

– Tu jesteście! Martwiłam się, że nie uda nam się was złapać, co byłoby naprawdę okropne, bo Jacob powoził zaprzęgiem, a Bóg mi świadkiem, że to słodki facet, ale nie jest w stanie wykrzesać większej prędkości niż pięć mil na godzinę nawet z koni dwa razy lepszych niż taty, a konie taty są naprawdę świetne!

Oczy Fanny stały się okrągłe jak spodki, gdy obok stojącego w progu karczmarza przepchnęła się zjawa w ciemnoczerwonych jedwabiach.

– Morgan?

– Oczywiście, a ze mną Ethan. – Siostra Fanny wpadła do pokoju i wyciągnęła ramiona na powitanie. – Wyszłaś za mąż. Nie mogę w to uwierzyć.

Valentine z uśmiechem szczerego rozbawienia obserwował, jak Fanny rzuciła się w ramiona siostry tak do niej niepodobnej, jak to tylko możliwe.

– Brede. – Lord Aylesford wszedł cicho za żonę, strzepując rękawiczką podróżny pył z rękawa. Jego strój był nieskazitelny, a ciemnoblonde włosy starannie zaczesane do tyłu i związane na karku czarną tasiemką. Z pozoru ten sam głupawy elegant, jakiego Valentine pamiętał, ale dzięki wyjaśnieniom Ainsleya i pozostałych teraz znał go nieco lepiej. Aylesford stał się już stuprocentowym Becketem, jakby był nim od urodzenia.

– Aylesford. – Valentine odpowiedział ukłonem. – Co za niespodziewana przyjemność.

– Wątpię, by była to przyjemność – odparł z uśmiechem Ethan Tanner. – Który mężczyzna chciałby być zaskakiwany wizytami na samym początku miodowego miesiąca? Zdażyłem wysłuchać opowieści o twoim pośpiesznym wyjeździe z Becket Hall, zanim żona wywlekła mnie w pościg. – Wyciągnął rękę do Valentine’a. – Moje gratulacje, przyjacielu. I odrobina nieszczerego współczucia. Fanny da ci popalić.

– Przestań mu dokuczać, Ethanie – rzuciła ostrzegawczo Morgan, uwalniając się z nieco łzawych objęć Fanny. – Witaj w rodzinie, Valentine. Żałuję tylko, jak my wszyscy, że w takich okolicznościach.

– Wszystko będzie dobrze, Morgie. Courtland pojechał szukać Riana i na pewno przywiezie go do domu.

Morgan rzuciła Valentine’owi krótkie, pytające spojrzenie, a potem objęła ramieniem barki Fanny i wyprowadziła ją na korytarz.

– Jestem pewna, że w okolicy są jakieś miłe ścieżki spacerowe. Przejdziemy się, kochanie?

Valentine odprowadził je wzrokiem, po czym kazał podać drugi kufel i kolejny dzban piwa.

– Siadaj, Ethanie. Ona... ona próbuje na swój sposób oswoić się ze śmiercią Riana.

– Tak, Spencer powiedział mi w skrócie, co się stało, kiedy Morgan przebierała się w strój do konnej jazdy. Do licha, nie mogę uwierzyć, że chłopak zginął. Jak Ainsley to przyjął? Po nim nie można nic poznać, jest piekielnie skryty.

– Trudno mi ocenić, bo poznałem go dopiero kilka dni temu. Ale zgodził się wysłać Courtlanda wskazanym przeze mnie tropem. Nadzieja umiera ostatnia, Ethanie. Wszyscy to wiemy.

Ethan kiwnął głową.

– Nie wyobrażam sobie jego bólu. Kiedy patrzę na własne dzieci i... nie, nie chcę nawet sobie tego wyobrażać. Słyszałeś o Edmundzie Bealesie? Zakładam, że tak, bo wygląda na to, że to on nasłał zbirów na Riana.

Valentine pociągnął spory łyk piwa, próbując zebrać myśli.

– Nie rozumiem głębi nienawiści tego człowieka, mam na myśli Bealesa. Court powiedział mi coś ciekawego. Że jeśli Beales ich znajdzie, jeśli na nich napadnie, to będzie chciał dostać Ainsleya żywego. Czy wiesz dlaczego?

– Nie i nie myśl, że nie pytałem. To, co się wydarzyło, było potworne, ale to już przeszłość. Od tego czasu minęło... zaraz, ile to już lat? Chyba siedemnaście? Beales odniósł zwycięstwo, wredny drań.

– Wiesz, spotkałem go w tym roku w Wiedniu. Miał na palcu diament wielkości gęsiego jaja. I królewskie szaty. Oraz małego, czarnego pazia, który stał za jego krzesłem przez całe, trwające trzy godziny przyjęcie. Zapewne go zapamiętałem z powodu paskudnego traktowania tego dziecka. Wszyscy poza mną płaszczyli się przed nim. Jest bogaty i zawsze trzyma ze zwycięską stroną. Czego mógłby potrzebować od człowieka, któremu przed laty wyrządził taką krzywdę?

– Nie zapominaj o tym, że on nie ma pewności, czy Ainsley żyje – zauważył Ethan. Odkroił kromkę chleba z bochenka i położył na niej plaster szynki. – W tej chwili wie tylko tyle, że lukratywny przemysł został przerwany przez kogoś nazwiskiem Becket. Chyba że Spencer się myli i po naszym sierpniowym starciu z ludźmi Bealesa w Londynie ktoś jednak pozostał przy życiu. Tak czy owak, Beales jest człowiekiem ostrożnym, a my stanowimy przeszkodę stojącą mu na drodze.

– Po usunięciu tej przeszkody będzie mógł wrócić do Anglii bez obaw, że ktoś mógłby go zdemaskować? – Wszystkie elementy układanki trafiły wreszcie na swoje miejsce. – To jest to, Ethanie! Beales planuje powrót do Londynu.

– Triumfalny powrót! – Ethan uniósł swój kufel w toaście. – Zawsze myślałem, że mógłbym cię polubić, Valentine. Teraz, kiedy wreszcie rozwikłaliśmy tę zagadkę, pozwól, że wzniosę toast za ciebie i twoją śliczną żonę.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Fanny siedziała sama na niskim, kamiennym murku otaczającym kępę drzew w odległości jakichś stu jardów od stajni za Złotym Runem i rozmyślała o tym, co powiedziała jej Morgan.

Teraz już wszystkie zamężne siostry oraz Mariah udzieliły jej wskazówek. Mariah radziła, by zawsze brała pod uwagę uczucia Valentine'a, Eleonora zaś kazała jej zawsze pamiętać, że od tej chwili ponosi odpowiedzialność za wygodę męża.

Ale to Morgan uzmysłowiła jej, że o ile dżentelmen pragnie mieć w swym salonie damę, to woli, by jej doskonałe maniery i wytworne upodobania pozostały przed drzwiami sypialni.

– Widziałam, jak na ciebie patrzył, kiedy wpadłam do pokoju – stwierdziła Morgan, ściskając rękę siostry. – Patrzył tak, jakby chciał cię zjeść. Raz czy dwa widziałam lorda Brede w Londynie i nie przypuszczałam, że zobaczę kiedyś tyle ciepła i tkliwości w jego pospolitej twarzy.

– Jak możesz tak mówić? On wcale nie ma pospolitej twarzy! – zaprotestowała Fanny, autentycznie zaszokowana. – On jest... całkiem przystojny. Jest... no, jest po prostu sobą. Ale kiedy roześmieje się na głos... Jak mogłaś nazwać go pospolitym, Morgie? Wstydz się. On jest... jest po prostu piękny.

Morgan roześmiała się, słysząc te słowa, a potem potrząsnęła głową.

– Najwyraźniej nigdy nie widziałam jego uśmiechu. Kochasz go, siostrzyczko! Prawda? Elly martwiła się trochę, że może wcale go nie kochasz i wyszłaś za niego, bo Rian... Hmm, teraz widzę jak bardzo pomyliła się.

Kocha lorda Brede?

Fanny powtarzała w myślach te słowa, bawiła się nimi jak dzikimi stokrotkami o żółtych środeczkach, które zrywały z Morgan, idąc tutaj.

Fanny uniosła głowę, wciągnęła w nozdrza powietrze i uśmiechnęła się.

– Valentine? – Odwracała głowę w różne strony, wypatrując wśród drzew męża.

– Gdzie się podziała moja legendarna umiejętność bezszelestnego poruszania się?

Stał oparty o pień drzewa, z ręką uniesioną do góry. Pozbył się zakietu i kamizelki, a rozwiązany krawat wisiał luźno na jego szyi, jak biały szal w dniu, kiedy zobaczyła go po raz pierwszy. W zębach trzymał zapalone cygaro.

Serce Fanny zabiło mocniej.

– Poczulałam twoje cygaro – przyznała.

Valentine usiadł przy niej na murku. Fanny skończyła drugi wianek i chciała mu go włożyć na głowę.

– Nie. – Wziął go z rąk Fanny i umieścił na jej głowie, na poprzednim. – O, tak. Koronowałam cię na Królową Stokrotek.

– Nie wygłupiaj się.

– Pomachałem im na pożegnanie, żeby upewnić się, że naprawdę odjechali. Muszę przyznać, że mają wspaniałe wierzchowce. Twoja siostra doskonale trzyma się w siodle, ale nie umywa się nawet do ciebie, gdy dosiadasz konia po męsku, w spodniach od munduru.

– Mieliśmy już o tym nie mówić, pamiętasz?

– Pozwól mi przynajmniej na zawsze zachować w pamięci ten cudowny obraz, kochanie. – Uśmiechnął się, nie wypuszczając z ust cygara. – Przejdziemy się?

Fanny natychmiast zeskoczyła z murku.

– Przyszliśmy z Morgan stamtąd – powiedziała, wskazując w lewo. – Tam jest studnia. Morgan uznała ją za malowniczą.

– A krzyknęłaś coś w głąb studni?

Pochylił się nad studnią i krzyknął:

– Haaa-llllooo!

Fanny roześmiała się.

– Pozwól mi spróbować. – Pochyliła się nad studnią tak głęboko, że Valentine złapał ją za suknię, by nie straciła równowagi. – Co mam zawołać, Brede?

– Valentine – odparł spokojnie. – Zawołaj Valentine.

– Ale ja... – Fanny opuściła ręce. – Valentine – powiedziała cicho. A potem powtórzyła, już znacznie mocniejszym głosem. – Valentine.

Objął rękami jej drobną twarz.

– Jeszcze raz. Ale teraz powiedz tak: Valentine... pocałuj mnie.

– Valentine. Pocałuj mnie, proszę.

– O, dodałaś nawet proszę. Jak mógłbym odmówić?

– Odmówić? – Wbiła paznokcie w jego ramiona. – Drań! Przecież sam kazałeś...

Tyle tylko zdążyła powiedzieć, zanim zamknął jej usta pocałunkiem. Jego wargi były ciepłe i zaborcze, i spragnione. Osunęli się razem na szerokie, kamienne obramowanie studni. Siedzieli, dotykając się kolanami. Dopiero kiedy Valentine objął jej piersi, Fanny uświadomiła sobie nagle pewien drobiazg. Nie byli wcale w sypialni. I wcale o to nie dbała!

Jej palce same znalazły guziczki koszuli Valentine'a i zaczęły je rozpinąć.

Czuła jego dotyk nawet przez suknię i koszulkę. Z ich ust wydobył się cichy pomruk.

Oderwał wargi od jej ust i zaczął okrywać drobnymi pocałunkami linię jej szczęki, leciutko polizał wrażliwą skórę za uchem i zaczął podskubywać szyję, gdy odruchowo odchyliła głowę do tyłu. Otworzyła oczy i spojrzała w górę, na promienie słońca przenikające przez gęste liście drzew.

To wspaniały świat, pełen nowych widoków, nowych odgłosów... i całkiem nowych doświadczeń. Cudownych, wywołujących mocniejsze bicie serca, doświadczeń.

Prawa ręka Valentine'a zbłądziła na jej kolano i zaczęła podciągać spódnicę. Poczowała na nodze ciepło słonecznych promieni i lekki powiew wiatru, a potem gorącą dłoń, sięgającą coraz wyżej i wyżej, aż wśliznęła się pod króciutkie pantalone i znalazła drogę do ciepłego, wilgotnego miejsca.

Palce Valentine'a dotarły do pączka jej kobiecości, z którego wkrótce zaczęły się rozchodzić fale takich doznań, że oddech uwiązł jej w gardle.

Zamknęła oczy i całkowicie skoncentrowała się na tym, co z nią robił.

– Valentine...

Przyciągnął ją do siebie i szepnął jej do ucha:

– Tak, kochanie, tak. Wszystko w porządku, wszystko jest w porządku. –
Nakrył wargami jej usta, by stłumić okrzyki rozkoszy.

W końcu Fanny osunęła się bezwładnie w jego ramiona. Valentine delikatnie poprawił spódnice, przesunął palcami po rozgrzanych słońcem włosach, okrywał pocałunkami jej czoło i policzki, aż wreszcie odsunął ją od siebie.

– Jeśli będę w taki sposób reagował, kiedy wymówisz moje imię, to może dojść do tego, że nie zechcesz zwracać się do mnie po imieniu. Szczególnie w miejscach publicznych. – Wydał przeciągłe westchnienie.

– Valentine – powiedziała Fanny natychmiast. Przysunęła się do niego, ale zatrzymał ją, kładąc jej ręce na ramionach. – Co się stało?

– Pewnego dnia zrozumiesz. Ale na razie chciałbym cię prosić, żono, żebyś posiedziała spokojnie obok mnie, podziwiając kwiatki, drzewka i ptaszki... – Jego głos zamarł, gdy Fanny spojrzała na niego i na jej policzki wypłynął gorący rumieniec.

– Och, Brede, tak mi przykro. – Zeskoczyła z obramowania studni, odeszła na trzy kroki, odwróciła się do niego tyłem i mocno otuliła się szalem, jakby w ten sposób starała się ukryć przed nim swe wdzięki.

To zapewne nie był najlepszy moment, by wyznać jej, że niczego nie pragnął tak bardzo, jak przewrócić ją teraz na najbliższą kępę stokrotek i kochać się z nią do utraty tchu.

– Wszystko w porządku, Fanny. Daj mi jeszcze chwilę. Z pewnością zdołam to przeżyć.

– Nie, to wcale nie jest w porządku. – Trochę potrwało, zanim Fanny, skoncentrowana wyłącznie na swojej rozkoszy, zdołała zrozumieć jego problem. – Jestem głupią egoistką. Tylko biorę i nic nie daję w zamian.

– Fanny, nie... – zaczął Valentine, ale ona już odwróciła się na pięcie i z początku szybkim krokiem, a potem biegiem ruszyła w stronę gospody. Zapomniała, że jej srebrzyste włosy nadal zdobiły dwa wianki stokrotek.

Nic jej nie będzie, powiedział sobie Valentine. Przynajmniej nie musiał się niepokoić, że nie trafi do zajazdu. Powinien tylko dać jej trochę czasu, żeby

ochłonęła. A kiedy już to zrobi, będzie się starała mu to zrekompensować. Na jego ustach pojawił się swawolny uśmiezek na myśl o rozmaitych możliwościach...

Siedział więc sam przy studni, zatopiony w rozkosznych wizjach, w końcu jednak ruszył z powrotem do zajazdu. Znalazł gospodarza i zamówił wystawny obiad, który miał być podany w jego i Fanny sypialni za kilka godzin. Liczył, że będzie to niezapomniana uczta.

– Tak, milordzie – powiedział karczmarz, gdy wyczerpali już z Valentine'em temat prostego lecz wyśmienitego menu, jakie mogła zaoferować przydrożna gospoda.

– Czy pan również ma ochotę na kąpiel, milordzie?

– Również?

– Tak, milordzie. Moja żona i córki grzeją już w kuchni wodę dla milady. Mamy jeszcze jeden wolny pokój. Chciałby pan wziąć kąpiel?

Valentine położył rękę na barkach niższego mężczyzny i poprowadził go w stronę baru.

– Świetny pomysł, mój dobry człowieku. Ale chciałbym wprowadzić drobną korektę logistyczną.

Usiadł w salonie i zatopił się w myślach. Wojna wydawała mu się teraz dziwnie odległa. Całe szczęście. O wiele ważniejsza była dla niego teraz przyszłość. I Beales.

Pijąc drugi kufel ciepłego piwa wrócił pamięcią do rozmów toczonych kilka miesięcy temu przy wiedeńskim stole i próbował ułożyć ze strzępów zapamiętanych informacji jakąś logiczną całość.

Talleyrand był, jak zwykle, uroczy, miły, schlebiający, ale ani na chwilę nie stracił czujności. Przez cały czas starał się oszacować wartość i ważność otaczających go ludzi – i ich ewentualną przydatność w przyszłości.

Beatty-Beales tymczasem narzucał tematy konwersacji przez co najmniej trzy dania, kolejno kierował rozmowę na Bonapartego, Wellingtona i rolę sprzymierzonych. Valentine przypomniał sobie, jak długo rozprawiał o *Księżciu* Machiavellego i zawartych w nim wskazówkach.

Krótko mówiąc, był śmiertelnie nudny i zakochany w brzmieniu własnego głosu, więc Valentine dość wcześnie poprosił o wybaczenie i wstał od stołu. Na długo zanim padła propozycja, by panowie udali się na cygaro i brandy. Myślał wtedy, że

ten człowiek nigdy nie weźmie broni do ręki i nie wystawi się na żadne niebezpieczeństwo.

Mylił się. Ten człowiek sięgnął po broń.

Valentine odstawił kufel, odechciało mu się pić. Spojrzał na zegar nad ogromnym kominkiem. Rzucił kilka monet na ladę, wstał i ruszył korytarzem w stronę schodów prowadzących na piętro, gdzie czekała jego młoda żona, zapewne zniecierpliwiona i w nie najlepszym humorze.

Dotarł na półpiętro w chwili, gdy żona gospodarza i jej dwie córki, niestety bardzo do niej podobne zarówno z twarzy, jak i z figury, wyszły z pokoju na korytarz. Zaczekał, aż się oddalą, a potem podszedł do drzwi i zapukał.

Zza ciężkich, drewnianych drzwi dobiegł głos Fanny.

– Już mówiłam, że milady jest zadowolona i niczego nie potrzebuje.

– To tylko twój mąż, lady Brede – zawołał Valentine i uśmiechnął się, gdy usłyszał głośny plusk. Oczami duszy widział, jak Fanny energicznie wskakuje do wanny.

– Brede? Teraz? Gdzie byłeś? Zresztą nieważne. Odejdź. Biorę kąpiel.

– Taki właśnie był plan. – Wyjął z kieszeni klucz, który dał mu wcześniej oberżysta, i włożył go do zamka.

Fanny usłyszała zgrzyt klucza i rozpaczliwie wyciągnęła rękę po ręcznik wiszący na oparciu pobliskiego krzesła. W takiej właśnie pozie zobaczył ją Valentine po wejściu do niskiego pomieszczenia. Jej jasna skóra lśniła pod cienką warstwą mydlanych bąbelków.

– Brede! Wyjdź stąd!

Tymczasem ściągnął z szyi krawat i odrzucił go w stronę wysokiego, szerokiego łóża.

– Nie mówisz tego poważnie, moja słodka.

Wytrzeszczyła na niego oczy i gapiała się w milczeniu, jak rozpinał koszulę.

– Z całą pewnością mówiłam poważnie. I przestań szczyrzyć zęby w uśmiechu.

– Szczyrzyć zęby, kochanie? – Koszula poleciała w ślad za krawatem. – Pozwól sobie przypomnieć, że jestem lordem.

– Cóż z tego! A chichoczesz jak wiejski głupek. Sam tak powiedziałeś. – Przyglądała się spod zmrużonych powiek, jak podszedł do umocowanego w kącie pacholka do zdejmowania butów i ściągnął je z nóg bez większego problemu. – Przestań!

Nie słuchał. Jeszcze chwila, a będzie nagi jak go Pan Bóg stworzył. Bezradna, zamknęła oczy.

– Tak, to chyba dobry pomysł, najdroższa. – Valentine wstał, obszedł wannę i stanął za jej plecami. – Jeszcze za wcześnie na taką swobodę.

– Skoro tak, to dlaczego nie wyjdiesz? – zapytała Fanny i mimowolnie pisnęła, gdy wyjął z jej zdrętwiałych palców gąbkę i zaczął nią przesuwac po jej gołych plecach. – Och, Valentine...

– Ciii, kochanie, pozwól, że powiem ci coś bardzo ważnego. Największą przyjemnością na świecie jest sprawianie ci przyjemności. Nie wolno ci nigdy w to wątpić, rozumiesz, najdroższa Fanny?

Przygryzła dolną wargę i kiwnęła głową na znak, że słyszała.

Powoli kreślił namydloną gąbką kręgi na jej plecach. Starła się nie zwracać na to uwagi.

– Valentine, Morgan uważa, że mnie kochasz.

Ręka Valentine'a znieruchomiała, a na jego usta wypłynął lekki uśmiech.

– Tak? A nie sądzisz, że powinna raczej pozostawić tego typu wyznanie osobie zainteresowanej zamiast roztrąbić tajemnicę?

Fanny odwróciła się w wannie. Przekonała się, że Valentine nadal miał na sobie pantalonny.

– Więc to prawda? Kochasz mnie?

– Czy ja to powiedziałem? – zapytał.

– Naśmiewasz się ze mnie! – A potem Fanny złapała za pasek pantalonów Valentine'a i wciągnęła go do wanny.

Woda i mydlane bąbelki rozprysły się po całym pokoju.

Zuchwale sięgnęła pod wodą do zapięcia pantalonów.

– Wiesz, Brede, Morgan powiedziała mi coś jeszcze. Uważa, że jesteś pospolity.

Brede starał się usiąść prosto i włożyć sterczące w powietrzu nogi do wanny.

– Doprawdy? Bystra kobieta, choć muszę przyznać, że bardzo ładna.

– Ale się myli. Ja uważam, że jesteś absolutnie zachwycający.

– No, pięknie, więc jestem zachwycającym lordem Brede. Stanę się pośmiewiskiem we wszystkich klubach. – Z trudem pozbył się mokrych pantalonów i rzucił je na drugi koniec pokoju. – Zachwycający jak kiciuś, Fanny? Albo szczeniaczek? To czarujące.

– Nie bądź taki nadęty, Brede. Zupełnie nie przypominasz kiciusia.

– Więc szczeniaczka? – Wreszcie udało mu się oprzeć plecami o wannę. Otoczył Fanny ramionami i przyciągnął ją do siebie.

– Już bardziej. – Fanny przesunęła łąbką po jego szerokim torsie. – Może ogara? Z takimi cudownie oklapłymi uszkami.

– Coraz gorzej. – Brede odebrał jej łąbkę, zanurzył ją w ciepłej wodzie i zaczął leniwie kreślić mydlane spirale wokół czubeczków jej piersi. – Muszę przyznać, że byłby to poważny cios dla mojego dostojenia, gdyby nie to, że zostałem przed chwilą bezceremonialnie wciągnięty do wanny. Wchodząc tu, miałem przygotowany zupełnie inny scenariusz, kochanie.

– Naprawdę? – Fanny czuła już narastające w głębi ciała pragnienie. – A co właściwie planowałaś?

– Hmm, niech sobie przypomnę – mruknął i przesunął łąbkę niżej. – Na początek zamierzałem uklęknąć przed wanną i pocałować cię, taką ciepłą i różową. Delikatnie masować twój kark i barki, aż ustąpi z nich napięcie i zaczniesz mruczeć z zadowolenia jak kotka.

– Och... – łąbka pływała teraz na powierzchni wody, a ręka Valentine'a była znacznie głębiej. – A... a potem?

– A potem? Chyba zamierzałem umyć ci włosy. Ale najpierw musiałabyś je, oczywiście, zamoczyć.

– Tak, chyba mogę...

Nie czekał, zanurzył jej głowę siłą, niejako w rewanżu.

– Wybacz, najśłodsza, ale zasady fair play wymagają zamiany ról. – Wsunął ręce pod jej plecy i kolana, wstał z nią w ramionach i ociekając wodą wyszedł z wanny.

– Wywołaliśmy powódź – zwróciła jego uwagę, całkiem niepotrzebnie.

– Niektóre rzeczy, kochanie, znacznie lepiej sprawdzają się w teorii niż w praktyce. – Postawił ją na podłodze i sięgnął po jeden z ogromnych białych ręczników. – Wanna w Brede Manor znacznie lepiej nadaje się do zaplanowanych przeze mnie celów.

Fanny westchnęła głośno i zamknęła oczy.

– Czy to... hmm... twierdzenie miało być pogrózką czy obietnicą? – zapytała, kiedy owinął ją ręcznikiem i znowu wziął na ręce. Tym razem ruszył z nią w stronę łóżka.

– Możesz otworzyć oczy, kochanie – powiedział Brede, gdy już ułożył ją w pościeli i wyciągnął się przy niej pod przykryciem.

– Nie, jeśli naśmiewasz się ze mnie, to nie otworzę. Jestem cała mokra i muszę okropnie wyglądać.

– Jak zmokła kura – stwierdził i wyciągnął spod niej ręcznik. – I pewnie ci zimno?

– Tak, to prawda. Wychodzą na jaw kolejne wady twojego planu, Brede.

Znaczył pocałunkami drogę wzdłuż jej szyi na wypukłość piersi.

– Czuję się jak nieokrzesany, napalony młodzik, przyznaję. Wszelkie dostojeństwo mnie opuściło, za co pełną odpowiedzialność ponosisz ty, droga żono.

Fanny próbowała się poruszyć, ale dolna część jej ciała była przygnieciona jego długą nogą.

– Lubię, kiedy jesteś taki. Niedoskonały. Ludzie nie powinni być doskonali.

– Doskonali? Daleko mi do tego, Fanny. Doskonała jest natomiast ta chwila, gdy leżymy razem obok siebie. I życie z tobą.

– Och, Brede, zaraz się rozplączę.

Uśmiechnął się szeroko.

– Ponieważ dotarło do ciebie, że przyjdzie ci spędzić całe życie u mojego boku?

– Nie, dlatego że jesteś taki bystry. Skąd wiedziałeś, że właśnie u twojego boku chciałabym spędzić życie?

– Wiedziałem o tym, a raczej miałem nadzieję, że tak jest, ponieważ... cię kocham. Całkowicie i bez reszty! I będę cię kochał aż do śmierci, a może nawet i po niej.

– Czy to jednak niezbędne? – zapytała Fanny, jej serce rozśpiewało się ze szczęścia.

– Absolutnie niezbędne, kochanie.

Westchnęła z rozkoszy. Czowała się przy nim bardzo drobna i krucha. I niezmiernie kobieca.

– Ja też myślę, że to niezbędne, Valentine. To znaczy moja miłość do ciebie. Kocham cię z całego serca. Teraz już wiem, co to znaczy. – Szepnęła wargami wtulonymi w jego pierś. – Mój biedaku.

Brede wybuchnął głośnym i swobodnym śmiechem i wciągnął Fanny na siebie. Chciał ją całować i kochać się z nią, bo ich serca wreszcie należały do siebie nawzajem.



